

Ross  
**MACDONALD**  
Śmiertelny wróg





**Ross Macdonald** uchodził za najwybitniejszego amerykańskiego autora powieści detektywistycznych. Był mistrzem precyzyjnie skonstruowanej intrygi. Jego nasycona psychologiczną głębią twórczość daleko wykraczała poza granice gatunku, stanowiąc inspirację dla wielu sław współczesnej prozy kryminalnej, jak Jonathan Kellerman, James Ellroy i Harlan Coben. Bohater Macdonalda,

prywatny detektyw Lew Archer, znalazł idealnego odtwórcę w Paulu Newmanie, który zagrał go w ekranizacjach **Ruchomego celu** i **Basenu topielców**.

## ŚMIERTELNY WRÓG

Lew Archer poszukuje 17-letniej Sandy Sebastian, która uciekła z niezrównoważonym psychicznie chłopakiem, Davem Spannerem, zwolnionym warunkowo z więzienia. Detektyw odnajduje uciekinierów, ale ci ponownie uciekają. Wydaje się, że Dave planuje zabójstwo Stephen Hacketta, właściciela firmy naftowej, w której pracuje ojciec Sandy. Od matki Hacketta, Ruth Marburg, Archer dostaje zlecenie odnalezienia jej syna porwanego przez Dave'a. Mąż Ruth został przed piętnastu laty zastrzelony na plaży. Przed piętnastu laty zginął też tajemniczo ojciec Dave'a, rozjechany przez pociąg. Wszystkie te wydarzenia spletają się w jedną wielką zagadkę – fałszywych tożsamości i pilnie strzeżonych tajemnic rodzinnych, dla których, pomimo upływu czasu, każdy interesujący się przeszłością staje się śmiertelnym wrogiem...

ISBN 83-7359-187-7



9 788373 591875

**Ross**  
**MACDONALD**

**Śmiertelny wróg**

Z angielskiego przełożył

ZYGMUNT HALKA

WARSZAWA 2004

000000 0 00000 00 0 0000 0 0000 0 0 000 0 0 000

0 000 0 00000000000 0 0 0000000 00 0 0000 000 00000 !"00000 0000 000 00#0  
0 000 0 0000 0\$0 000 0%0000 000#00000&00 ' 0#0 (00)0 ( 0000&00 0 0000\*0+0 000 (0),0-.. /0

00 0 00"12314 20"3230

5 000 0&0)60070 8 00+009 0 0:00;0)0 :0<0000060 :0+00060 (0004=03>.02-030 ' 0 0,0 ( 0000!\*\$0?0@--A2!102/"1->0  
@--A2!1-2 044>0--A24142.4430 ( ( (\*00000060:\*0|= ( ( (\*0 0 8 0 0\*000  
' 0#0 (00)0 ( 00BIC0B=5,0000 00#00 (00  
+0D)000, :001"=1>0".2/ /40E#0F0:0000\*0@4"A24-.21443>0\$0?0@4"A21/ /2011"0

0 0 ,0#0G0( 0000:0 ( 00  
0000 0000 ( 00:009 0 0000( 0000:0 ( 0 0  
(( (\*8 000\*000  
( ( (\*: 000, :0\* ( 0\*000  
( ( (\*000#\*000

' 0 5 0 ' 0000 0 ' <00B00 00H<00  
0 0 5HI 0 ;0+JH0K< ' 00 10  
0# 0 0#000:0 0 0000 0#00)00  
0: \*000),0\*044>. -23 -0' 0 0,0 ( 003"0

' 0 0,0 ( 00-.. /\*0 ' 0#0 000000  
0 :00#0B0 0000  
5 0 : 0 ' 15 10205 0 :0 0000B0 0>0<0 0000

5 # : 69% 07

# ROZDZIAŁ 1

Na Sepulveda panował leniwy, poranny ruch. Kiedy przejeżdżałem przez niską przelęcz, słońce było jeszcze ukryte za niebieską granią po przeciwnej stronie doliny. Przez minutę lub dwie, nim nastął dzień, świat wyglądał zachwycająco świeżo i młodo, jakby przed chwilą został stworzony.

W Canoga Park zjechałem z autostrady do drive-in, gdzie zjadłem śniadanie za 99 centów, po czym pojechałem do domu Sebastianów w Woodland Hills.

Keith Sebastian dał mi szczegółowe instrukcje, jak go znaleźć. Nowoczesny, geometryczny dom stał na zboczu, opadającym stromo ku krawędzi pola golfowego, zielonego po pierwszych zimowych deszczach, podparty wspornikami od strony pochyłości.

Wyszedł z domu w koszuli z krótkimi rękawami. Był przystojnym mężczyzną w wieku około czterdziestu lat o gęstych, kręconych brązowych włosach przyprószonej na skroniach siwizną. Nie zdążył się jeszcze ogolić, jego zarost sprawiał wrażenie włóknistego brudu, wtartego w dolną część twarzy.

— Dobrze, że pan zaraz przyjechał — powiedział, kiedy się przedstawiłem. — Wiem, że pora jest diabelnie wczesna...

— Nie pan ją wybrał, a ja nie mam pretensji. Rozumiem, że córka jeszcze nie wróciła.

— Nie. Po moim telefonie do pana odkryłem, że brakuje jeszcze czegoś. Zniknęła moja dubeltówka i pudełko naboji.

— Myśli pan, że je wzięła?

— Obawiam się, że tak. Szafa z bronią nie ma śladów włamania, a nikt inny nie wiedział, gdzie jest klucz. Oczywiście z wyjątkiem mojej żony.

W otwartych frontowych drzwiach pojawiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pani Sebastian. Szczupła i ciemna, i pomimo wymizerowania raczej przystojna, miała świeżo umalowane wargi, a na sobie żółtą lnianą suknię.

— Wejdźcie — powiedziała. — Na dworze jest zimno.

Otoczyła się drżącymi ramionami, ale dreszcz nie ustawał. Nadal się trzęsła.

— To jest pan Lew Archer — przedstawił mnie Sebastian. — Prywatny detektyw, do którego zadzwoniłem. — Powiedział to tak, jakby oferował jej gałązkę pokoju w postaci mojej osoby.

— Domyśliłam się tego — odparła niecierpliwie. — Proszę wejść. Przygotowałam kawę.

Usiadłszy między nimi za kuchennym barkiem, piłem gorzki napar z cienkiej filiżanki. Dom był wspaniale urządzone, lecz czuło się w nim pustkę. Wpadające przez okno światło miało w sobie jakąś okrutną jaskrawość.

— Czy Alexandra umie strzelać z dubeltówki? — spytałem ich.

— Każdy umie — mruknął ponuro Sebastian. — Wystarczy pociągnąć za spust.

Jego żona wtrąciła:

— Muszę przyznać, że Sandy jest dobrym strzelcem. Wcześniej w tym roku Hackettowie zabrali ją na polowanie na przepiórki. Chcę dodać, że wcale mi się to nie podobało.

— Wyraziłaś własną opinię. Ja uważam, że takie doświadczenie było dla niej korzystne.

— Nienawidziła tego. Napisała tak w swoim pamiętniku. Nienawidzi zabijania żywych stworzeń.

— A zatem pokonała odrazę do zabijania. Wiem, że sprawiła tym przyjemność panu i pani Hackett.

— Wróćmy do punktu wyjścia. Zanim to jednak zrobili, zapytałem ich:

— Kim, do diabła, są pan i pani Hackett?

Sebastian obrzucił mnie wiele mówiącym spojrzeniem, w którym obok protekcyjności wyczułem urazę.

— Pan Hackett jest moim szefem. Kieruje spółką holdingową, w skład której wchodzi firma oszczędnościowo-budowlana, w której pracuję. Jest prócz tego właścicielem wielu innych rzeczy.

— Włącznie z tobą — dodała jego żona. — Ale nie mojej córki.

— To nie fair, Bernice. Nigdy nie powiedziałem...

— Liczy się tylko to, co ty robisz.

Wstałem, przeszedłem na przeciwległą stronę kontuaru i stanąłem naprzeciw nich, patrząc im w oczy. Wydawali się zdziwieni i zawstydzeni.

— Wszystko razem jest bardzo interesujące — stwierdziłem. — Ale nie po to wstałem o piątej rano, żeby być sędzią w małżeńskiej kłótni. Skupmy się na waszej córce. Pani Sebastian, ile lat ma Sandy?

— Siedemnaście. Jest w ostatniej klasie.

— Dobrze się uczy?

— Zawsze się dobrze uczyła, prócz kilku ostatnich miesięcy. Od pewnego czasu jej stopnie znacznie się pogorszyły.

— Dlaczego?

Opuściła oczy, wpatrując się w kubek z kawą.

— W gruncie rzeczy nie wiem — odparła wymijająco, jakby wzbraniała się odpowiedzieć sobie samej na to pytanie.

— Dobrze wiesz dlaczego — wtrącił jej mąż. — Wszystko zaczęło się od czasu, gdy zaczęła się spotykać z tamtym łobuzem Davym czy jak mu tam.



— On nie jest łobuzem. To dziewiętnastoletni chłopak, a myśmy w całej tej sprawie zachowali się okropnie.

— W jakiej „całej sprawie”, pani Sebastian?

Rozłożyła ręce, jakby chciała ogarnąć nimi całą sytuację, po czym opuściła je gestem rozpaczy.

— W sprawie tego chłopca. Źle ją rozegraliśmy.

— To znaczy ja, jak zwykle — powiedział Sebastian. — Ale zrobiłem tylko to, co musiałem. Sandy zaczęła szaleć. Wymykała się ze szkoły na popołudniowe randki z tym człowiekiem, spędzała noce na Stripie i Bóg wie gdzie. Wczoraj wieczorem wyszedłem, żeby ich wyśledzić...

Żona przerwała mu.

— To nie było wczoraj, tylko przedwczoraj.

— Wszystko jedno. — Głos Keitha Sebastiana zaczął słabnąć pod wpływem zimnej dezaprobaty z jej strony, zmieniając się w coś w rodzaju śpiewnego złożeczenia. — Znalazłem ich w koszmarnej spelunie w West Hollywood. Siedzieli wśród ludzi, obejmując się. Powiedziałem, żeby się trzymał z dala od mojej córki, bo jeśli nie, to wezmę dubeltówkę i odstrzelę mu jego pieprzony łeb.

— Mój mąż ogląda sporo telewizji — stwierdziła sucho pani Sebastian.

— Możesz sobie ze mnie żartować, Bernice, ale ktoś musiał to zrobić. Moja córka prowadziła się z kryminalistą. Przywiozłem ją do domu i zamknąłem w jej pokoju. Jak inaczej powinien postąpić ojciec?

Jego żona po raz pierwszy nie odpowiedziała. Powoli kołysała ciemną głową z boku na bok.

— Skąd wiecie, że ten młody człowiek jest kryminalistą? — spytałem.

— Siedział w więzieniu za kradzież samochodu.

— Ukradł go, bo chciał się przejechać — powiedziała pani Sebastian.

— Nazwij to, jak chcesz, ale to nie było jego pierwsze przestępstwo.

— Skąd pan wie?

— Bernice wyczytała to w jej pamiętniku.

— Chciałbym obejrzeć ten słynny pamiętnik.

— Nie — zaprotestowała pani Sebastian. — Wystarczy, że sama go przeczytałam. Nie powinnam była tego robić. — Wzięła głęboki oddech. — Boję się, że nie byliśmy dobrymi rodzicami. Ale nie ma sensu, żeby pan w to wnikał.

— Zostawmy to tymczasem. — Byłem już znużony tą wojną między pokoleniami, wzajemnymi atakami i kontratakami, eskalacją oskarżeń i niekończącym się targiem. — Od jak dawna nie ma córki?

— Prawie od dwudziestu trzech godzin. Wypuściłem ją wczoraj rano z jej pokoju. Wydawała się uspokojona...

— Była wściekła — zaprzeczyła pani Sebastian. — Ale kiedy szła do szkoły, nie sprawiała wrażenia, iż w ogóle nie ma zamiaru tam się pokazać. Nie pomyślałam o takiej możliwości aż do szóstej wieczorem, gdy nie wróciła do domu na obiad. O tej porze było już ciemno. Skontaktowałam się z jej wychowawcą, od którego się dowiedziałam, że wagarowała przez cały dzień.

Wyrzała przez okno, jakby na zewnątrz było nadal ciemno i tak miało zostać już zawsze. Podążyłem za jej spojrzeniem. Dwoje ludzi kroczyło aleją golfową, mężczyzna i kobieta, oboje siwi, jakby postarzelisi w pogoni za małą białą piłeczką.

— Nie rozumiem jednej rzeczy — powiedziałem. — Jeśli wczoraj rano zdawało się wam, że córka wybiera się do szkoły, to co z bronią?

— Musiała schować ją w kufrze samochodu — odparł Sebastian.

— Rozumiem. Jeździ do szkoły samochodem.

— To jeden z powodów naszego zmartwienia. — Sebastian pochylił się ku mnie nad kontuarem. Czułem się jak barman, którego pijak pyta o radę, z tą różnicą, że ten był pijany strachem. — Ma pan doświadczenie w takich sprawach. Dlaczego, na miłość boską, wzięła moją dubeltówkę?

— Jest tylko jedno wytłumaczenie, panie Sebastian. Powiedział jej pan, że odstrzeli głowę jej przyjacielowi.

— Nie mogła potraktować tego poważnie.

— Nie jestem tego pewien.

— Ja też — dodała jego żona.

Sebastian zwiesił głowę jak więzień na ławie oskarżonych i niemal niesłyszalnie wymamrotał:

— Na Boga, zabiję go, jeżeli nie przyprowadzi jej z powrotem.

— Tak trzymaj, Keith — powiedziała jego żona.

## ROZDZIAŁ 2

Utarczki między tym dwojgiem zaczęły mi działać na nerwy. Poprosiłem Sebastiana, żeby mi pokazał szafę z bronią. Zaprowadził mnie do małego gabinetu, stanowiącego częściowo bibliotekę, a częściowo pomieszczenie na broń.

W mahoniowej szafie, za szybą, stał rząd lekkich i ciężkich strzelb. Puste miejsce w stojaku wskazywało na brak dubeltówki. Półki pod ścianą były wypełnione w większości bestsellerami i wydawnictwami klubów książkowych, a tylko na jednej stały nieefektywnie wyglądające podręczniki ekonomii i psychologii reklamy.

— Pracuje pan w reklamie?

— W biurze informacyjnym. Jestem szefem biura w Centennial Savings and Loan. Powinienem być teraz w firmie. Pracujemy nad programem na przyszły rok.

— Czy to może poczekać jeden dzień?

— Nie wiem.

Odwróciwszy się ode mnie, otworzył szafę z bronią, a potem dolną szufladę, gdzie były naboje. Obie otwierały się tym samym mosiężnym kluczem.

— Gdzie przechowywał pan ten klucz?

— W górnej szufladzie mojego biurka. — Otworzył szufladę i pokazał mi, w którym miejscu leżał. — Sandy wiedziała gdzie.

— Mógł go łatwo znaleźć ktoś inny.  
— To prawda, ale jestem pewny, że to ona.  
— Skąd ta pewność?  
— Czuję to.  
— Czy broń ją fascynuje?  
— Na pewno nie. Jeśli ktoś umie obchodzić się z bronią, nie musi to oznaczać, że staje się jej miłośnikiem.

— Kto ją tego nauczył?  
— Oczywiście ja. Jestem jej ojcem.

Podszedł do szafy i pogłaskał lufę ciężkiej strzelby. Potem zamknął starannie oszklone drzwi i przekręcił klucz. Musiało mu mignąć odbicie własnej twarzy w szybie, bo cofnął się, obejmując dłonią podbródek.

— Wyglądam jak dzikus. Nic dziwnego, że Bernice się mnie czepia.

Przeprosił mnie i poszedł doprowadzić się do porządku. Spojrzałem na własne odbicie w szybie. Nie promieniowałem zadowoleniem z życia. Wczesne godziny ranne nie były porą mojej największej lotności umysłu, mimo to uświadomiłem sobie niewygodę mego położenia, gdyż podobnie jak Sandy, którą wydzielali sobie wzajemnie skłócenia rodzice, w tym momencie znalazłem się w tej samej sytuacji.

Pani Sebastian weszła cicho do pokoju i stanęła obok mnie przy szafie.

— Wysłałam za męża za skauta.  
— Bywają większe nieszczęścia.

— Wymienię pierwsze. Matka zawsze przestrzegła mnie przed związkiem z przystojnym mężczyzną. „Wyjdź za inteligenta” — radziła. Ale nie posłuchałam jej. Powinnam była pozostać przy zawodzie modelki. Przynajmniej zależałabym jedynie od własnego ciała.

— Poklepała się po biodrze.

— Ma pani dobre ciało. W dodatku jest pani szczerą.  
— Myślałam o tym wszystkim dziś w nocy.  
— Proszę pokazać mi pamiętnik córki.  
— Nie pokażę go panu.

— Czy jest w nim coś wstydliviego?  
— Wstydę się za siebie — odparła. — Co takiego chce pan znaleźć w pamiętniku, na co sama nie mogłabym odpowiedzieć?  
— Na przykład, czy pani córka sypiała z tym chłopakiem.  
— Oczywiście, że nie — odparła z nutą złości w głosie.  
— Albo z kimś innym.  
— To nonsens. — Jej twarz przybrała ziemistą barwę.  
— Mówi pani prawdę?  
— Ależ tak! Sandy jak na swój wiek jest dość niewinna.  
— Albo była. Miejmy nadzieję, że nic się nie zmieniło.  
Pani Sebastian odwróciła wzrok.

— Ja... my nie zaangażowaliśmy pana po to, żeby pan kwestionował prowadzenie się mojej córki.

— Przede wszystkim jeszcze nie zostałem zaangażowany. W sprawach loteryjnych, takich jak ta, zwykle pobieram zaliczkę.

— Co pan nazywa loteryjną sprawą?

— Córka może w każdej chwili wrócić do domu. Pani, bądź mąż, możecie zmienić zdanie...

Przerwała mi niecierpliwym gestem ręki.

— W porządku, ile pan chce?

— Honorarium za dwa dni plus koszty. Powiedzmy dwieście pięćdziesiąt.

Usiadła przy biurku, wyjęła z drugiej szuflady książeczkę czekową i wypisała czek.

— Co jeszcze?

— Parę ostatnich zdjęć córki.

— Proszę usiąść. Przyniosę panu.

Kiedy wyszła, sprawdziłem książeczkę czekową. Po zapłaceniu mi zaliczki, Sebastianom zostało na koncie niecałe dwieście dolarów. Ten szykowny nowy dom, stojący na skraju urwiska, stanowił doskonałe odzwierciedlenie ich sytuacji życiowej.

Bernice Sebastian wróciła z plikiem zdjęć. Sandy była poważnie wyglądającą dziewczyną, ciemną karnacją przypominającą swoją matkę.

Większość zdjęć przedstawiała ją w akcji: na koniu lub na rowerze, na trampolinie przed skokiem do wody albo w pozycji strzeleckiej. Strzelba kalibru 0.22 wyglądała na jedną z arsenału spoczywającego w oszklonej szafie. Sposób, w jaki ją trzymała, świadczył, iż jest z nią obznajomiona.

— Skąd to zdjęcie z bronią, pani Sebastian? Czy to był pomysł Sandy?

— Nie, Keitha. Jego ojciec zaszczepił w nim pasję do myślistwa, a Keith przeniósł rodzinną tradycję na córkę — odparła drwiąco.

— To wasze jedyne dziecko?

— Tak. Nie mamy syna.

— Mogę przeszukać jej pokój?

Kobieta zawahała się.

— Co pan spodziewa się tam znaleźć? Ślady transwestytyzmu? Narkotyki?

Jej głos nadal brzmiał szyderczo, lecz nie robiło to na mnie wrażenia. Widywałem bardziej szokujące rzeczy w pokojach młodych ludzi.

Pokój Sandy był słoneczny, pełen świeżych, słodkich zapachów. Znalazłem w nim to, czego można się spodziewać po sypialni niewinnej, poważnej uczennicy ostatniej klasy szkoły średniej. Mnóstwo swetrów, spódniczek i książek, zarówno podręczników szkolnych, jak i powieści — kilka dobrych, między innymi *„The Catcher in the Rye”*; *„8 1/2”*; *„Menagerie of Smiling Animals”*. Proporzycyki uniwersytetów, przeważnie Ivy League \*. Ozdobiona różową falbanką toaletka z ułożonymi w geometryczny wzorek kosmetykami. Na ścianie, w srebrnej ramce, fotografia uśmiechniętej młodej dziewczyny.

— Kto to?

— Heidi Gensler, najlepsza przyjaciółka Sandy.

— Chciałbym z nią porozmawiać.

\* Ivy League — osiem prestiżowych uniwersytetów we wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

Pani Sebastian zawahała się. Jej namysły były krótkie, ale głębokie i poważne, jak u kogoś biorącego pod uwagę kolejne posunięcia w grze o wysoką stawkę.

— Genslerowie nie wiedzą o tym — powiedziała.

— W jaki sposób zamierzacie szukać córki, utrzymując to jednocześnie w tajemnicy? Czy Genslerowie są waszymi przyjaciółmi?

— To nasi sąsiedzi. Dziewczyny są dobrymi przyjaciółkami. — Podjęła szybką decyzję. — Poproszę Heidi, żeby przed pójściem do szkoły do nas wpadła.

— Czemu nie zaraz?

Kiedy wyszła z pokoju, przejrzałem pośpiesznie miejsca, w których można byłoby coś ukryć: pod różowym dywanikiem z owczej wełny, między materacem i sprężynami, na wysokiej ciemnej półce w szafie, pod rzeczami w komódce i za nimi. Przetrzęsnałem niektóre z książek. Z jednej z nich, noszącej tytuł *Wypadek przy pracy* wypadł świstek papieru.

Podniosłem go z dywanika. Była to część kartki z notesu, na której ktoś napisał starannym czarnym piśmem:

W dniu 15 października 1960 roku (poniedziałek) o godzinie 10:00  
w czasie spaceru w parku, w pobliżu jeziora, zauważono osobę  
nieznaną, która w sposób tajemniczy i podejrzany, wyciągnęła  
z torby papierowy przedmiot, który następnie zniszczyła.  
Wobec powyższego, w celu wyjaśnienia okoliczności sprawy,  
proszę o kontakt z policją w najbliższym czasie.

Pani Sebastian stała na progu, obserwując mnie.

— Jest pan bardzo skrupulatny, panie Archer. Co to jest?

— Wierszyk. Zastanawiam się, czy napisał go Davy. Wyjęła mi z ręki kartkę i przeczytała wiersz.

— Nie widzę w tym żadnego sensu.

— Ja również. — Odebrałem jej kartkę i schowałem w portfelu.

— Czy Heidi przyjdzie?

— Za chwilę tu będzie. Kończy śniadanie.

— To dobrze. Ma pani jakieś listy Davy'ego?

— Oczywiście, że nie.



— Mam na myśli listy do Sandy. Chciałbym skonfrontować charakter jego pisma z tym, którym został napisany ten wiersz.

— Nie wiem, czy to jego charakter.

— Założę się, że tak. Ma pani zdjęcie Davy'ego?

— Skąd mogłabym je wziąć?

— Z tego samego miejsca, co pamiętnik córki.

— Nie musi mi pan tego wypominać.

— Nie miałem zamiaru. Po prostu chciałem go przeczytać. To by mi bardzo pomogło.

Znów popadła w jedno ze swoich chłodnych zamyśleń, wpatrując się niewidzącymi oczami w perspektywę przyszłego czasu.

— Gdzie jest pamiętnik, pani Sebastian?

— Już nie istnieje — powiedziała ostrożnie. — Zniszczyłam go.

Byłem pewny, że kłamie, i nie starałem się tego ukryć.

— W jaki sposób?

— Jeśli chce pan koniecznie wiedzieć, to przeżułam go i połknęłam. Muszę pana teraz przeprosić. Mam potworny ból głowy.

Poczekwała na korytarzu, aż wyjdę z pokoju, po czym zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Zamek był niedawno założony.

— Czyj to był pomysł z tym zamkiem?

— Sandy. W ostatnich miesiącach chciała mieć więcej prywatności. Więcej, niż mogła wykorzystać.

Poszła do innej sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Znalazłem Sebastiana w kuchni. Zdążył się umyć i ogolić, wyszczotkował swoje brązowe, kędzierzawe włosy, włożył krawat i marynarkę. Pił kawę w znacznie lepszym nastroju niż ten, w którym go poznałem.

— Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję. — Wyjąłem mały czarny notes i usiadłem obok Sebastiana. — Proszę mi opisać Davy'ego.

— Wygląda jak młody zbir.

- Zbiry mają kształty i wymiary. Jakiego jest wzrostu?
- Mniej wię

— Jak można go określić?

— Próżniak. Niebezpieczny próżniak. — Odwrócił się w moją stronę nienaturalnie szybkim ruchem i spojrział mi w twarz szeroko otwartymi oczami, jakbym to ja wypowiedział te słowa. — Słuchaj pan, muszę jechać do biura. Mamy ważną naradę nad programem działania na przyszły rok, a potem jestem umówiony na lunch z panem Hackettem.

Zanim wyszedł, wydobyłem z niego szczegółowy opis samochodu córki. Był to jednoroczny dwudrzwiowy seledynowy dart, zarejestrowany na niego. Nie zgodził się, by go wciągnąć na oficjalną listę poszukiwanych samochodów ani na powiadomienie policji o sprawie.

— Nie zna pan specyfiki mojego zawodu — powiedział. — Muszę prezentować nieskazitelne oblicze. Jeśli mi się nie uda, wypadam z gry. Podstawą sukcesu w branży oszczędnościowo-budowlanej jest zaufanie.

Odjechał nowym oldsmobilem, który — jak wskazywały wypłaty w książeczce czekowej — kosztował go sto dwadzieścia dolarów miesięcznie.

## ROZDZIAŁ 3

Kilka minut później otworzyłem drzwi przed Heidi Gensler. Była schludnie wyglądającą nastolatką: żółte proste włosy sięgały jej aż do szczupłych ramion i nie nosiła makijażu. Na ramieniu miała torbę z książkami. Jasnoniebieskie oczy dziewczyny patrzyły niepewnie.

— Czy to z panem miałam porozmawiać? Powiedziałem, że tak.

— Nazywam się Archer. Proszę wejść, panno Gensler. Zajrzała obok mnie w głąb domu.

— Czy wszystko w porządku?

Pani Sebastian, ubrana w puszysty różowy szlafrok, wyłoniła się ze swojego pokoju.

— Heidi, kochanie, nie bój się. To miło, że przyszłaś. Wejź do środka. — W jej głosie nie było opiekuńczości.

Heidi przeszła przez próg i zatrzymała się w korytarzu.

— Czy coś się stało Sandy?

— Nie wiemy, kochanie. Zrelacjonuję ci wszystkie fakty, jeśli mi obiecasz, że nikomu ich nie powtórzysz: ani w domu, ani w szkole.

— Nie powtórzę. Nigdy tego nie zrobiłam.

— Co miałaś na myśli, mówiąc: „Nigdy tego nie zrobiłam”?

Heidi przygryzła wargę.

— Miałam na myśli... właściwie nic szczególnego.

Pani Sebastian ruszyła ku niej. Z czujnie wyciągniętą ciemną głową wyglądała jak różowy ptak.

— Wiedziałaś o tym, co się dzieje między nią a tym chłopakiem?

— Nie mogłam temu zapobiec.

— Dlaczego nam o tym nie powiedziałaś? Nie okazałaś się naszą przyjaciółką, kochanie.

Dziewczyna była bliska łez.

— Sandy jest moją przyjaciółką.

— W porządku. Świetnie. W takim razie teraz pomożesz nam sprowadzić ją bezpiecznie do domu, zgoda?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Czy Sandy uciekła z Davym Spannerem?

— Zanim ci odpowiem, musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie wspomnisz.

Wtrąciłem się:

— To niepotrzebne, pani Sebastian. Poza tym wolałbym sam zadawać pytania.

— Skąd mogę mieć pewność, że zachowa pan dyskrecję? — spytała urażonym tonem.

— Nie może pani. Sytuacja jest poza pani kontrolą. Nie może jej pani opanować, więc byłoby lepiej, gdyby pani sobie poszła i zostawiła tę sprawę mnie.

Pani Sebastian nie miała jednak zamiaru odejść. Sprawiała wrażenie, jakby zamierzała mnie odprawić. Było mi wszystko jedno. Sprawa wyglądała na taką, która nie tworzy nowych przyjaźni i przynosi mało pieniędzy.

Heidi dotknęła mojego ramienia.

— Zechce pan mnie odwieźć do szkoły, panie Archer? Gdy nie ma Sandy, nie mam się z kim zabrać.

— Oczywiście. Kiedy chciałabyś pojechać?

— Jak tylko będzie pan mógł. Jeżeli przyjadę przed pierwszą lekcją, będę mogła odrobić trochę domowych zadań.

— Czy wczoraj pojechałaś do szkoły z Sandy?

— Nie. Pojechałam autobusem. Zadzwoiła rano, mniej więcej o tej samej porze co teraz, i powiedziała, że nie pojedzie do szkoły.

Pani Sebastian pochyliła się do przodu.

— Czy powiedziała ci, dokąd jedzie?

— Nie. — Na twarzy Heidi pojawił się wyraz upartej skrytości. Jeżeli wiedziała coś więcej, nie zamierzała zdradzić się z tym przed matką Sandy.

— Mam wrażenie, że kłamiesz, Heidi — stwierdziła pani Sebastian.

Dziewczyna zaczerwieniła się, jej oczy zwilgotniały.

— Nie ma pani prawa tak mówić. Nie jest pani moją matką.

Wtrąciłem się ponownie, wiedząc, iż w domu Sebastianów Heidi nie powie mi niczego istotnego.

— Chodź — powiedziałem do dziewczyny. — Zawiozę cię do szkoły.

Wyszliśmy z domu, wsiedliśmy do mojego samochodu i ruszyliśmy w dół, w stronę autostrady. Heidi siedziała bardzo spokojnie, odgradzona ode mnie torbą na książki. Pewnie wiedziała, że nie wolno jej wsiadać do samochodu z obcym mężczyzną. Po minucie odezwała się:

— Pani Sebastian ma do mnie pretensje. To nie fair.

— O co ma do ciebie pretensje?

— O wszystko, co robi Sandy. To, że Sandy mi się zwierza, nie znaczy, że jestem za nią odpowiedzialna.

— Zwierza ci się?

— Na przykład opowiada mi o Davym. Nie mogę biegać do pani Sebastian ze wszystkim, co mi mówi Sandy. Nie jestem kapusiem.

— Mogę sobie wyobrazić gorsze rzeczy.

— Na przykład? — Powiedziała to z pewną przekorą, zapewne dlatego, iż zakwestionowałem jej zasady.

— Na przykład pozwolenie na to, żeby twoja najlepsza przyjaciółka wpadła w kłopoty.

— Na nic nie pozwoliłam. Jak mogłabym powstrzymać ją od czegokolwiek? Poza tym ona nie wpadła w kłopoty, przynajmniej nie takiego rodzaju, o jakich pan myśli.

— Nie mówię o zajściu w ciążę. To niewielki problem w porównaniu z innymi rzeczami, które mogą się stać z dziewczynami.

— Z jakimi innymi rzeczami?

— Kiedy mówią, że nie chcą mieć dzieci albo że odechciewa im się żyć.

Heidi pisnęła jak przestraszone zwierzątko.

— To właśnie w pewnym sensie przydarzyło się Sandy — powiedziała cicho. — Skąd pan wie?

— Wiem, jak było z innymi dziewczynami, które się za bardzo spieszyły. Czy znasz Davy'ego?

Zawahała się, zanim odpowiedziała.

— Poznałam go.

— Co o nim myślisz?

— Ma dość ciekawą osobowość — odparła ostrożnie. — Mimo to myślę, że nie jest odpowiednim chłopakiem dla Sandy. Jest szorstki i gwałtowny. Myślę, że jest zwariowany. Sandy jest zupełnie inna. — Przerwała na moment, zastanawiając się nad czymś. — Spotkało ją coś złego, to wszystko. Po prostu zdarzyło się.

— Masz na myśli to, że zakochała się w Davym?

— Myślę o kimś innym. Davy Spanner w porównaniu z tamtym nie jest taki zły.

— Kto to jest?

— Nie powiedziała mi, jak się nazywa ani nic na jego temat.

— Na jakiej podstawie uważasz, że Davy to coś lepszego?

— To bardzo proste. Sandy jest szczęśliwsza niż poprzednio. Zanim go poznała, mówiła bez przerwy o samobójstwie.

— Kiedy to było?

— W lecie, przed rozpoczęciem szkoły. Miała zamiar pójść na Zuma Beach i wypłynąć w morze. Przekonałam ją, żeby tego nie robiła.

— Co ją do tego skłoniło? Przygoda miłosna?

— Można to tak nazwać.

Nie mogłem wydobyć z niej nic więcej. Złożyła Sandy uroczystą przysięgę, że nie powie nikomu ani słowa, a tymczasem złamała ją.

— Czytałaś kiedykolwiek jej pamiętnik?

— Wiem, że go pisała, ale nigdy nikomu go nie pokazywała. — Przekręciła się na siedzeniu w moją stronę, obciągając spódniczkę za kolana. — Mogę pana o coś zapytać, panie Archer?

— Nie krępuj się.

— Co się stało Sandy? Mam na myśli ostatnie dni.

— Nie wiem. Wyjechała z domu dwadzieścia cztery godziny temu. Poprzedniego dnia wieczorem jej ojciec przyłapał ją na randce z Davym w West Hollywood. Zabrał ją do domu i zamknął na całą noc.

— Nic dziwnego, że uciekła — stwierdziła Heidi.

— Rzecz w tym, że zabrała z sobą dubeltówkę ojca.

— Po co?

— Nie wiem. Mam wrażenie, że Davy ma kryminalną przeszłość.

Heidi nie zareagowała na zawartą w moim stwierdzeniu wątpliwość. Siedziała ze zwieszoną głową, wpatrując się we własne zacisnięte pięści, oparte na kolanach. Dojechaliśmy do podnóża zbrocza i skierowaliśmy się w stronę Ventura Boulevard.

— Myśli pan, że jest teraz z Davym, panie Archer?

— Przypuszczam, że tak. Którędy do szkoły?

— Chwileczkę. Proszę stanąć na poboczu.

Zaparkowałem w gęstym porannym cieniu dębu, który jakimś cudem przetrwał budowę autostrady i bulwaru.

— Wiem, gdzie mieszka Davy — oświadczyła Heidi. — Sandy kiedyś mnie zabrała do jego nory. — Użyła tego określenia z niejaką dumą, jakby chciała mi pokazać, że jest dorosła. — Mieszka w Laurel Apartments w Pacific Palisades.



Powiedział Sandy, że ma tam pokój za darmo, w zamian za zajmowanie się basenem i porządkami.

— Co się działo, kiedy tam byłeś?

— Nic się nie działo. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy. To było bardzo interesujące.

— O czym rozmawialiście?

— O życiu we współczesnym społeczeństwie. O złych zasadach, według których żyją ludzie.

Zaproponowałem Heidi, że odwiozę ją do szkoły, ale powiedziała, że złapie autobus. Zostawiłem ją, stojącą na rogu — łagodne stworzenie, sprawiające wrażenie zagubionego w świecie wysokich prędkości i niskich standardów moralnych.

## ROZDZIAŁ 4

Dojechałem Sepulveda do Bulwaru Zachodzącego Słońca, pojechałem nim aż do handlowej dzielnicy Pacific Palisades, po czym skręciłem w lewo w Chautauqua. Budynek Laurel Apartments stał przy Elder Street — długiej pochyłej ulicy, opadającej łagodnie ku morzu.

Dom był jednym z nowszych, a zarazem mniejszych w tej okolicy. Zostawiłem samochód przy krawężniku i wszedłem na dziedzińiec.

Woda w basenie skrzyła się w słońcu. Krzaki w ogrodzie były starannie przystrzyżone, czerwone kwiatki hibiskusa i purpurowe „kwiaty księżniczki” połyskiwały kolorowo wśród świeżej zieleni liści.

Z jednego z parterowych mieszkań wyszła przystojna kobieta, która dobrze pasowała do tego kwietnego □□□□ □ □□ Odziana w błyszczący pomarańczowo-czarny peniuar poruszała się jak ktoś przyzwyczajony do tego, iż ściąga na siebie powszechną uwagę. Ufarbowane na rudo włosy nadawały jej twarzy nieco wulgarny charakter. Zgrabne brązowe nogi były bose.

Miłym, nieco afektowanym głosem, świadczącym o tym, iż me otarła się o uniwersytet, zapytała, czego sobie życzę.

— Czy pani jest menedżerem? — zapytałem.

— Tak. Nazywam się Smith. Jestem właścicielką tego domu.  
W tej chwili nie mam wolnych miejsc.

Przedstawiłem się.

— Chciałbym zadać pani parę pytań, jeśli pani się zgodzi.

— Na jaki temat?

— Zatrudnia pani pracownika nazwiskiem Davy Spanner.

— Czyżby?

— Wiem, że tak.

Odpowiedziała tonem znużonej bezbronności:

— Czemu nie możecie zostawić go na chwilę w spokoju?

— Nie wiem nawet, jak wygląda.

— Ale jest pan policjantem, prawda? Jeśli będziecie ciągle go śledzili, to znów wyprowadzicie go z równowagi. Czy tego właśnie chcecie? — Mówiła cichym, lecz silnym głosem, przywodzącym na myśl huk ognia pod płytą paleniska.

— Nie jestem policjantem.

— Jeśli nie policjantem, to kuratorem. Dla mnie jesteście tacy sami. Davy Spanner jest dobrym chłopcem.

— Widzę, że ma przynajmniej jednego dobrego przyjaciela — powiedziałem, mając nadzieję zmienić ton rozmowy.

— Zgoda, jeśli ma pan na myśli mnie. Ale czego pan chce od Davy'ego?

— Chcę mu zadać parę pytań.

— Proszę je zadać mnie.

— W porządku. Zna pani Sandy Sebastian?

— Poznałam ją. Uroczę stworzenie.

— Jest tutaj?

— Ona tu nie mieszka. Ma rodziców gdzieś w Dolinie.

— Nie ma jej w domu od wczoraj. Czy była tu?

— Wątpię.

— A Davy?

— Widziałam go dziś rano. Właśnie wstawałam. — Spojrzała w niebo jak kobieta, która lubi dzieńne światło, ale rzadko w nim przebywa. — Więc jest pan gliną.

— Jestem prywatnym detektywem. Wynajął mnie ojciec Sandy. Myślę, że jest pani dość rozsądna, żeby mi pozwolić porozmawiać z Davym.

— Ja z nim porozmawiam. Sądzę, że nie chce pan doprowadzić do tego, żeby stracił panowanie nad sobą.

Zaprowadziła mnie do małego pokoiku na tyłach, obok wjazdu do garaży. Nazwisko „David Spanner” na białej karteczce, przyczepionej na drzwiach, było napisane tym samym starannym pismem co wiersz, który wypadł z książki Sandy.

Pani Smith zapukała delikatnie, a kiedy nie było odpowiedzi, zawołała:

— Davy?

Za drzwiami dał się słyszeć młody głos męski, a potem dziewczęcy, który spowodował, że nieoczekiwanie serce zaczęło mi bić żywiej. Usłyszałem ciche kroki i po chwili drzwi stanęły otworem.

Davy nie był wyższy ode mnie, ale zdawał się wypełniać całą szerokość framugi. Czarna bluza od dresu ukrywała potężne mięśnie. Twarz i głowa, porośnięte jasnymi włosami, sprawiały wrażenie nie do końca ukształtowanych. Wyrżał na światło słoneczne jak człowiek czyniący coś zakazanego.

— Pan do mnie?

— Jest u ciebie twoja przyjaciółka? — Ton głosu pani Smith był zagadkowy; pomyślałem, że może jest zazdrosna o dziewczynę.

Davy zrozumiał ten ton.

— Więc to o nią chodzi?

— Ten pan jej szuka. Twierdzi, że twoja przyjaciółka zginęła.

— Jak mogła zginąć? Jest tutaj. — Mówił bezbarwnym głosem, jakby starał się zamaskować swoje uczucia. — Jestem Pewny, że to jej ojciec pana przysłał — powiedział, zwracając się do mnie.

— Zgadłeś.

— Wracaj pan i powiedz Sebastianowi, że żyje w drugiej połowie dwudziestego wieku. Może były czasy, że ojciec mógł bezkarnie zamknąć córkę w pokoju, ale dawno minęły. Powiedz to pan jej staremu.

— On nie jest stary, choć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny bardzo się postarzał.

— To dobrze. Mam nadzieję, że umrze. Sandy też by tego chciała.

— Mogę z nią porozmawiać?

— Ma pan minutę. — Zwrócił się do pani Smith: — Proszę na minutę nas zostawić.

Mówił do nas obojga z odcieniem władczości, w której czuło się odrobinę szaleństwa. Kobieta zdawała się to rozumieć. Odeszła bez słowa, nie oglądając się, jakby chciała, żeby się poczuł usatysfakcjonowany. Usiadła przy basenie, a ja próbowałem sobie odpowiedzieć na pytanie, w jakim właściwie celu go zaangażowała.

Blokując ciałem wejście do pokoju, odwrócił się i zawołał do dziewczyny:

— Sandy? Przyjdź na chwilę.

Pojawiła się u progu w ciemnych okularach, pozbawiających jej twarz wszelkiego wyrazu. Miała na sobie czarną bluzę od dresu, podobnie jak Davy. Oparła się o niego wyzywająco wulgarnym gestem, jaki widziałem tylko u bardzo młodych dziewcząt. Miała bladą i nieruchomą twarz, a kiedy zaczęła mówić, jej usta ledwie się poruszały.

— Nie znam pana.

— Przysłała mnie twoja matka.

— Żeby mnie pan zaciągnął z powrotem do domu?

— Twoi rodzice interesują się twoimi planami... jeżeli w ogóle jakieś masz.

— Proszę im powiedzieć, że wkrótce je poznają. — Mówiła bez gniewu, raczej chłodno i obojętnie. Ukryte za ciemnymi okularami oczy zdawały się być zwrócone na Davy'ego zamiast na mnie.

Czuło się, że są ogarnięci jakąś wspólną pasją, wydzielającą zło-  
wrogi dymny zapach — jak pożar, wzniecony gdzieś w niewiadomym  
miejsku przez dzieci, bawiące się zapałkami.

Nie miałem pojęcia, jak do nich trafić.

— Panno Sebastian, pani matka źle się czuje. Z pani powodu.

— Poczuje się jeszcze gorzej.

— To brzmi jak groźba.

— To jest groźba. Gwarantuję, że poczuje się gorzej. Davy dał  
jej znak głową.

— Koniec rozmowy. Nie mów nic więcej. — Zrobił mały pokaz  
sprawdzania czasu na ręcznym zegarku, a ja w błysku olśnienia zro-  
zumiałem, jaki proces odbywał się w jego głowie: rozległe zamiary i  
misterne plany działania nie szły w parze z ich realizacją. — Miał pan  
swoją minutę. Do widzenia.

— Dzień dobry po raz wtóry. Potrzebna mi jeszcze jedna minuta,  
może nawet dwie. — Nie zamierzałem rozmyślnie przeciwstawić się  
Davy'emu, lecz także nie starałem się tego uniknąć. Chciałem się  
dowiedzieć, do jakiego stopnia jest szalony. — Panno Sebastian, ze-  
chciej zrobić mi łaskę i zdejmij okulary, żebym mógł cię zobaczyć.

Sięgnęła obiema rękami do okularów i zdjęła je. Spojrzała na  
mnie zagubionym wzrokiem.

— Włóż je z powrotem — powiedział Davy.

Posłuchała go.

— Masz słuchać tylko mnie, kotku. Nikogo innego. — Zwraca-  
jąc się do mnie, rzekł: — A co do pana, to chcę, żebyś mi zniknął z  
oczu w ciągu minuty. To rozkaz.

— Jesteś za młody, żeby wydawać komukolwiek rozkazy. Kiedy  
będę stąd odjeżdżał, panna Sebastian pojedzie ze mną.

— Tak pan myśli? — Wepchnął ją do pokoju i zamknął drzwi.  
— Nie pozwolę, żeby wróciła do tamtego karceru.

— Lepszy tamten „karcer” niż życie z psycholem.

— Nie jestem psycholem!

Dla udowodnienia tego zamachnął się prawą pięścią w moją głowę. Udało mi się uniknąć ciosu, lecz błyskawiczna poprawka z lewej trafiła mnie w szyję, rzucając w tył, do ogrodu. Niebo zakotłosało się nade mną, zahaczyłem piętą o krawędź betonowego pasa, otaczającego basen, i upadłem, uderzając głową w cement.

Na tle nieba zobaczyłem Davy'ego. Przetoczyłem się w bok i wtedy kopnął mnie dwukrotnie w plecy. W jakiś sposób zdołałem się podnieść, po czym złapałem go chwytem zapaśniczym, lecz było to jak walka z niedźwiedziem. Uniósł mnie w górę i straciłem kontakt z ziemią.

— Przestań! — powiedziała pani Smith tonem, jakim wydaje się rozkaz wytresowanemu zwierzęciu. — Chcesz wrócić do więzienia?

Stał nieruchomo, trzymając mnie w niedźwiedzim uścisku, który tamował mi oddech. Rudowłosa kobieta podeszła do kranu z wodą i odkręciwszy go, skierowała strumień wody z węża na Davy'ego. Trochę wody opryskało także mnie.

— Puść go — poleciła mu pani Smith.

Davy rozluźnił uścisk. Kobieta nadal trzymała go pod strumieniem wody, wycelowanym w środek jego ciała. Nie reagował, patrząc uparcie na mnie. Ja patrzyłem na świerszcza, który pełził po betonie przez rozlaną wodę jak maleńka, niezdarzna karykatura człowieka.

Pani Smith powiedziała do mnie przez ramię:

— Zabieraj się stąd, prowokatorze.

Doznałem nie tylko urazu, lecz także obrazy, mimo to usłuchałem jej. Poszedłem za róg, gdzie zostawiłem samochód, okrążyłem kwartał domów i ponownie zaparkowałem na spadzistej ulicy powyżej Laurel Apartments. Z mojego punktu obserwacyjnego nie było widać dziedzińca ani wychodzących nań drzwi mieszkań, za to mogłem dokładnie widzieć wejście do garażu.

Siedziałem w samochodzie przez pół godziny. Zranione uczucie miłości własnej stopniowo wygaszło, ale plecy nadal mnie bolały.

Nie spodziewałem się, że zostanę pokonany. Fakt, że tak się stało, oznaczał, że albo się zestarzałem, albo Davy okazał się trudnym przeciwnikiem. Dojście do wniosku, iż obie prawdy nie wykluczają się wzajemnie, trwało krócej niż pół godziny.

Ulica, na której zaparkowałem, nazywała się Los Baños. Była względnie porządna, z nowymi parterowymi domami, rozlokowanymi tarasowo na dźwigarach wzdłuż zbocza. Każdy z domów był osobno zaprojektowany, tak, by różnił się od wszystkich pozostałych. Dom po przeciwnej stronie ulicy, z zaciągniętymi zasłonami, miał dziesięciostopową płytę ze skały wulkanicznej wbudowaną we frontową ścianę. Na podjeździe stał nowy cougar.

Z domu wyszedł mężczyzna w marynarce z miękkiej skóry. Otworzył bagażnik i wydobyl z niego mały płaski dysk, który zwrócił moją uwagę. Wyglądał jak krążek taśmy magnetycznej. Zauważywszy moje zainteresowanie, schował go do kieszeni marynarki.

Potem zrobił jeszcze coś. Przeciwny krokiem waźniaka ulicę, podszedł do mojego samochodu. Był duży i ciężki, miał łysą piegowatą czaszkę i ostre, twarde oczy, które w jego dużej, zwiotczalej i uśmiechniętej twarzy raziły jak kamyki w kremie.

— Mieszkasz gdzieś w okolicy, przyjacielu? — spytał.

— Robię rozpoznanie, czy warto tu zamieszkać.

— Nie lubimy obcych, którzy tu węszą. Co byś powiedział na propozycję zabrania się stąd?

Nie chcąc budzić zainteresowania, odjechałem. Zapamiętałem numer rejestracyjny cougara i numer domu: 702 Los Baños Street.

Okazało się, że miałem dobre wycucie czasu albo czas okazał się dla mnie łaskawy. W chwili kiedy ruszałem, spostrzegłem seledynowy samochód wyjeżdżający tyłem z garażu Laurel Apartments. Gdy skręcałem w dół ulicy ku nadbrzeżnej autostradzie, zobaczyłem Sandy przy kierownicy, a obok niej na przednim siedzeniu Davy'ego.



Pojechałem za nimi. Skręciwszy w prawo na autostradę, przejechali na żółtym świetle skrzyżowanie na początku Bulwaru Zachodzącego Słońca, zostawiając mnie, zgrzytającego ze złości zębami, przed czerwonym światłem.

Przejechałem całą drogę aż do Malibu, próbując ich odnaleźć, ale nie miałem szczęścia. Wróciłem do Laurel Apartments przy Elder Street.

## ROZDZIAŁ 5

Napis na kartce przyklepionej do drzwi mieszkania numer jeden głosił: „Laurel Smith”. Otworzywszy drzwi bez zwalniania łańcucha, warknęła:

— Przepłoszył go pan. Powinien pan być usatysfakcjonowany.

— Sądzi pani, że już nie wrócą?

— Nie będę z panem rozmawiała.

— Lepiej, żeby się pani namysliła. Nie mam zamiaru sprawiać kłopotu, ale z tego mogą wyniknąć kłopoty. Jeżeli Davy Spanner jest pod nadzorem kuratorskim, to atakując mnie, złamał warunek zwolnienia.

— Sprowokował go pan.

— Zależy, jak na to popatrzeć. Widzę, że pani jest po stronie Davy'ego. W obecnej sytuacji lepiej współdziałać ze mną.

Przez moment się zastanawiała.

— Jak współdziałać?

— Chcę odnaleźć tę dziewczynę. Jeśli odnajdę ją w dobrej formie, a przy tym stosunkowo szybko, na przykład dzisiaj, nie wniosę oskarżenia przeciw Davy'emu. W przeciwnym wypadku zrobię to.

Zdjęła łańcuch z drzwi.

— Zgoda, Panie Wszechmogący. Niech pan wejdzie. Mieszkanie nie wygląda najlepiej, ale pan też nie jest w najlepszym stanie.

Uśmiechnęła się połową twarzy i jednym okiem. Przyszło mi do głowy, że postanowiła się na mnie gniewać, lecz w jej życiu wydarzyło się tyle rzeczy, że nie potrafiła gniewać się zbyt długo. Poczulem w jej oddechu alkohol.

Zegar na kominku wskazywał wpół do jedenastej. Szklany klosz, pod którym stał, sprawiał wrażenie, jakby miał chronić Laurel Smith przed mijaniem czasu. Inne rzeczy w saloniku — wyścietane meble, świecidełka, porozrzucone magazyny — odbierały mieszkaniu przytulność. Wyglądało jak poczekalnia, w której nie można się zrelaksować, wiedząc, iż lada moment zostanie się zaproszonym na fotel dentysty lub psychiatry.

W rogu pokoju stał mały telewizor. Był włączony, z wyciszonym dźwiękiem. Laurel Smith powiedziała usprawiedliwiająco:

— Nigdy nie oglądałam telewizji, ale ten odbiornik wygrałam parę tygodni temu w konkursie.

— W jakim konkursie?

— W jednym z tych telefonicznych konkursów. Zadzwonili do mnie i spytali, jakie miasto jest stolicą Kalifornii. Powiedziałam, że Sacramento, a oni na to, że wygrałam przenośny telewizor. Myślałam, że ktoś robi sobie jaja, ale godzinę później przywieźli mi go.

Wyłączyła telewizor. Siedliśmy po przeciwległych stronach sofy, przedzieleni szklanym blatem stolika do kawy. Panoramiczne okno za nami było wypełnione błękitem nieba i morza.

— Proszę mi opowiedzieć o Davym.

— Nie mam wiele do opowiedzenia. Przyjęłam go parę miesięcy temu.

— W jakim charakterze?

— Do sprzątania posesji. Potrzebował dorywczej pracy. Ma zamiar studiować w dwuletniej szkole wyższej. To ambitny młody człowiek, wbrew temu, jak zachował się dziś rano.

— Czy przyjmując go, wiedziała pani, że siedział w więzieniu?  
— Oczywiście, że tak. To mnie w nim zainteresowało. Sama miewałam różne kłopoty...  
— Z prawem?  
— Tego nie powiedziałam. Ale nie mówmy o mnie, dobrze? Trochę mi się poszczęściło w nieruchomościach i chciałam podzielić się tym szczęściem z innymi. Dlatego dałam Davy'emu pracę.  
— Czy rozmawialiście ze sobą? Parsknęła śmiechem.  
— Pewnie. Ten chłopak potrafi gadać jak katarynka.  
— O czym z panią rozmawiał?  
— O wszystkim. Głównie o tym, jak ten kraj schodzi na psy. Co do tego ma rację. Powiedział, że pobyt w więzieniu otworzył mu oczy na te rzeczy.  
— Mądrała z sali bilardowej.  
— Davy jest czymś więcej — zaprotestowała. — Wprawdzie dużo mówi, ale nie jest knajpianym mędrkiem. Jest poważny.  
— Co w nim jest poważnego?  
— Chce dorosnąć, stać się porządnym człowiekiem i robić coś pożytecznego.  
— Myślę, że panią oszukuje, pani Smith.  
— Nie. — Pokręciła głową. — Możliwe, że trochę oszukuje sam siebie. Bóg wie, jakie ma problemy. Rozmawiałam z jego kuratorem... — Zawahała się.  
— Kto jest jego kuratorem?  
— Zapomniałam jego nazwiska. — Poszła do książki telefonicznej w korytarzu i spojrzawszy na okładkę, powiedziała: — Pan Belsize. Zna go pan?  
— Owszem. To przyzwoity człowiek.  
Usiadła bliżej mnie. Wydawała się przyjaźniejsza, lecz wzrok miała nadal czujny.  
— Pan Belsize powiedział mi, że dał Davy'emu szansę. To znaczy

wystąpił dla niego o zwolnienie warunkowe, bo uważa, że rokuje nadzieję. Odpowiedziałam, że ja też dam Davy'emu szansę.

— Dlaczego?

— Nie można żyć tylko dla siebie. Przekonałam się o tym. — Uśmiechnęła się. — Podjęłam ryzyko, prawda?

— Jeszcze jakie! Czy Belsize powiedział pani, na czym polega problem Davy'ego?

— Ma zaburzenia emocjonalne. Kiedy wpadnie w szal, zdaje mu się, że wszyscy dokoła są jego wrogami, nawet ja. Mimo to nigdy nie podniósł na mnie ręki. Na nikogo innego też... aż do dziś rano.

— Według pani.

— Wiem, że miał kłopoty w przeszłości — odparła — ale dałam mu kredyt zaufania. Nie ma pan pojęcia, przez co przeszedł: sierocińce, zastępcze domy... dostawał od życia same kopniaki. Nie ma ojca ani matki.

— Powinien się nauczyć panować nad sobą.

— Wiem. Myślałam, że poczuł pan do niego sympatię.

— Współczuję Davy'emu, ale to mu nie pomoże. Zabawia się z młodą dziewczyną. Musi odprowadzić ją z powrotem, bo inaczej jej rodzice doprowadzą do tego, że najlepsze lata życia spędzi w więzieniu.

Przycisnęła ręce do piersi.

— Nie możemy do tego dopuścić.

— Dokąd mógł ją zabrać, pani Smith?

— Nie wiem.

Przesunęła palcem po ufarbowanych włosach, po czym wstała, podeszła do panoramicznego okna i stanęła przy nim, odwrócona do mnie tyłem. Jej ciało na tle światła było jedynie kształtem: miała figurę odaliski. Obramowany ciemnoczerwonymi zasłonami ocean był odwieczny jak Morze Śródziemne, odwieczny jak grzech.

— Czy ona już tu kiedyś była? — spytałam czarnopomarańczowych pleców.

— Przywiózł ją raz, żeby mi przedstawić. W zeszłym tygodniu... a może tydzień wcześniej.

— Zamierzają się pobrać?

— Nie sędzę. Są za młodzi. Jestem pewna, że Davy ma inne plany.

— Jakie plany?

— Już panu mówiłam, że ma zamiar pójść do szkoły. Chce zostać lekarzem lub prawnikiem.

— Będzie miał dużo szczęścia, jeśli nie trafi do więzienia. Odwróciła się ku mnie, splatając i rozplatając nerwowo dłonie.

Pocieranie skóry powodowało suchy, przejmujący szelest.

— W jaki sposób mogę mu pomóc?

— Proszę pozwolić mi przeszukać jego pokój. Milczała dłuższą chwilę, patrząc na mnie takim wzrokiem, jakby trudno jej przychodziło wzbudzić w sobie zaufanie do mężczyzny.

— Myślę, że to dobry pomysł.

Wydobyła ciężki pęk kluczy — pobrękującą pętlę, wyglądającą jak bransoleta na nogę słońca. Kartka z napisem „David Spanner” zniknęła z drzwi jego pokoju, co mogło oznaczać, iż nie zamierza wrócić. Mieszkanie składało się z jednego pokoju z dwoma rozkładanymi łózkami stojącymi w rogu pod kątem prostym do siebie. Oba łóżka były nie postane. Pani Smith odciągnęła przykrycia i zbadła prześcieradła.

— Nie wygląda na to, że spali ze sobą — powiedziała.

— Przypuszczam, że tak.

Spojrzała na mnie z troską.

— Mam nadzieję, że nie jest nieletnią nimfomanką?

— Nie, ale jeśli zabrał ją gdzieś wbrew jej woli... albo jeśli będzie chciała wrócić do domu, a on użyje przemocy...

— Wiem, to będzie uprowadzenie. Ale Davy nie zrobi jej tego. Lubi ją.

Zajrzałem do szafy. Była pusta.

— Jeśli chodzi o odzież, to miał jej niewiele — powiedziała. — Nie interesuje się takimi rzeczami.

— A co go interesuje?

— Samochody. Ale na zwolnieniu warunkowym nie wolno mu prowadzić. Myślę, że dlatego zainteresował się tą dziewczyną. Ona ma samochód.

— Jej ojciec miał również dubeltówkę. Teraz ma ją Davy.

Odrzuciła się tak szybko, że dół peniuaru się otworzył.

— Nie powiedział mi pan tego wcześniej.

— Czemu to takie ważne?

— Może kogoś zastrzelić.

— Kogoś określonego?

— Nie ma wrogów — odparła nieprzekonująco.

— To dobrze.

Przeszukałem resztę pomieszczenia. W małej lodówce było parę plasterków szynki, mleko i ser. Na biurku przy oknie leżało parę książek. % □ □ : □, □ książka o Clarence Darrow i jeszcze jedna o amerykańskim lekarzu, który zbudował szpital w Burmie. Niewiele to mówiło o lokatorze.

Nad biurkiem wisiała lista dziesięciu zakazów, napisanych tym samym starannym charakterem, który przypisywałem Davy'emu.

□ \*□ □ □ □ □ □ ( □ #0□ □ □ 8 □ ) □ □ # □ \*□  
- \*□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ : □ □ □ □ □ \*□  
1 \*□ □ □ □ □ □ , □ □ □ □ # □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ L O □ □ □ — □ □ ) □ □ □ □ □ □ □ □ , □ ( M □ □ □ M \*□  
/ \*□ □ □ □ □ ) □ □ # O □ # □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ : \*□  
4 \*□ □ □ □ □ , □ ( □ □ □ □ □ □ □ □ ( □ ) □ □ □ □ , □ □ □ □ O □ □ \*□  
! \*□ □ □ □ □ : □ □ □ □ □ \*□  
3 \*□ □ □ □ □ □ G □ ( □ □ □ ( □ □ □ □ □ , 8 L ( \*□  
" \*□ □ □ □ □ □ □ # O □ & □ , ) , □ □ □ □ □ > □ □ , 8 □ D □ □ □ M ) □ □ □ □ □ , □ □ , □ □ D ) □ \*□  
\*□ □ □ □ □ & □ □ □ □ □ # , □ \*□  
□ . \*□ □ □ □ □ # □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ D P □ □ , □ □ □ □ F □ □ ( □ □ — □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ F □ □ □ □ 9 □ □ □ □ □ □ □ □ ( □ 2  
□ □ 8 \*

— Teraz pan wie, jaki to chłopak — usłyszałem zza pleców głos Laurel. — Nie daje łatwo za wygraną.

— Ma pani słabość do niego, prawda?

Nie odpowiedziała wprost.

— Gdyby pan go znał, też by go pan polubił.

— Możliwe. — Lista samoograniczeń Davy'ego była rozbijająca, lecz dostrzegałem w niej coś innego niż Laurel. Chłopak zaczynał poznawać sam siebie i nie był zadowolony z własnego wizerunku.

Zajrzałem do biurka. Nic w nim nie było, prócz kartki w głębi dolnej szuflady. Rozłożyłem ją na blacie biurka. Był to plan rancza lub dużej posiadłości, sporządzony odręcznie długopisem. Poszczególne elementy mapy były opisane dziewczęcym, niewyrobionym charakterem pisma: „dom mieszkalny”, „garaż z mieszkaniem L.”, „sztuczne jezioro i tama”, „droga do autostrady” przechodząca przez zamkniętą bramę.

Pokazałem pani Smith kartkę.

— Czy ten plan coś pani mówi?

— Nic a nic. — Mimo zaprzeczenia jej oczy stały się czujne. — A powinien?

— To wygląda na rezultat zaplanowanego rekonesansu.

— Raczej na gryzmoły.

— Możliwe, że to gryzmoły. — Złożyłem plan i wsunąłem go do wewnętrznej kieszeni.

— Co pan ma zamiar z nim zrobić? — spytała.

— Odszukać to miejsce. Jeśli pani wie, gdzie się znajduje, oszczędzi mi pani sporo wysiłku.

— Nie wiem — powiedziała szorstko. — A teraz, skoro pan już skończył, zajmę się moimi sprawami.

Poczekala przy drzwiach, dopóki nie wyszedłem. Kiedy się żegnałem, potrząsnęła ponuro głową.

— Nie jest pan tu mile widziany, ale zapłacę panu za zostawienie Davy'ego w spokoju. Za wycofanie się z tej całej cholernej sprawy.

— Nie mogę tego zrobić.

— Na pewno pan może. Dam panu pięćset dolarów.

— Nie.



— Niech będzie tysiąc. W gotówce, poza tym nie zapłaci pan podatku.

— Wykluczone.

— Daję panu tysiąc i siebie. Bez ubrania wyglądam lepiej. — Oparła się piersią o moje ramię, ale poczułem jedynie ból w nerkach.

— To miła oferta, nie mogę jej jednak przyjąć. Zapomniała pani o dziewczynie. Nie mogę sprawić zawodu jej rodzicom.

— Do diabła z nią i do diabła z panem.

Odeszła do swojego mieszkania, dzwoniąc kluczami.

Wszedłem do garażu. Pod tylną poczerńiałą ścianą stał stół, na którym leżały różne narzędzia: młotek, śrubokręty, obcęgi, klucze, piła. Do stołu było przykręcone małe imadło. Wokół niego i na betonowej podłodze pełno było świeżych błyszczących opiłków, zmieszanych z drobinkami kurzu.

Opiłki nasunęły mi osobliwe skojarzenie. Przeszukałem dokładnie garaż aż po krokwie. Znalazłem dwie lufy i łożę, które Davy odpiło wał od dubeltówki. Zawinięte w brudny ręcznik plażowy i kawałek dywanu, nasuwały przykre porównanie z poważną amputacją.

## ROZDZIAŁ 6

Włożywszy odcięte lufy i łożę do bagażnika samochodu, pojechałem do mojego biura przy Sunset. Stamtąd zatelefonowałem do Keitha Sebastiana w Centennial Savings and Loan. Jego sekretarka poinformowała mnie, że właśnie wyszedł na lunch.

Umówiłem się na spotkanie z nim we wczesnych godzinach popołudniowych. Żeby nie tracić czasu, przed wyjściem z biura zadzwoniłem do Jacoba Belsize'a.

Pamiętał mnie i kiedy wspomniałem nazwisko Davy'ego Spannera, zgodził się spotkać ze mną na lunchu w restauracji w pobliżu jego domu przy South Broadway.

Czekał na mnie we wnętrzu restauracji. Nie widziałem go od lat, w międzyczasie zdążył się postarzeć. Włosy miał niemal białe, a linie wokół ust i oczu przypominały spękaną glinę wokół dziur wodnych na pustyni.

Na stole stały dwa sandwiche, dwie kawy, dwie frytki i dwie kawy. Belsize zamówił taki zestaw, ja również. Kiedy kelnerka przyjęła zamówienie, zapytał cicho, nie podnosząc głosu ponad poziom gwaru rozmów i brzęku sztućców:

— Byłeś dość tajemniczy przez telefon. Czy Davy coś przeszkrobał?

— Skopał mnie po nerkach. To się kwalifikuje jako czynny napad.

Jake wzniosł oczy do nieba. Był dobrym człowiekiem, jednym z tych, którzy nigdy nie przestają się troszczyć o swoich podopiecznych.

— Zamierzasz wnieść skargę?

— Mógłbym, ale to nie koniec zarzutów, które go obciążają. Nie mogę wymienić nazwisk, bo mój klient, którego córka jest w ostatniej klasie średniej szkoły, zastrzegł to sobie. Nie było jej w domu przez cały dzień i noc, a tę noc spędziła w mieszkaniu Davy'ego.

— Gdzie są teraz?

— Odjechali jej samochodem w stronę Malibu. Straciłem ich z oczu na autostradzie.

— Ile lat ma dziewczyna?

— Siedemnaście. Wziął głęboki oddech.

— To niedobrze. Ale mogłoby być gorzej.

— Jest gorzej. Nie znasz szczegółów. Jest znacznie gorzej.

— Powiedz coś więcej. Co to za dziewczyna?

— Widziałem ją przez dwie minuty. Sprawia wrażenie osoby, która ma poważne kłopoty z samą sobą. Wygląda na to, że to jest jej druga przygoda seksualna. Pierwsza, jak twierdzi jej przyjaciółka, doprowadziła ją do samobójczych myśli. Tym razem może być gorzej. Mam niejasne przeczucie, że oboje, to znaczy dziewczyna i Davy, działają jedno na drugie pobudzająco i mogą zrobić coś rzeczywiście szalonego.

Belsize nachylił się ku mnie nad stołem.

— Co twoim zdaniem mogą zrobić?

— Myślę, że są na najlepszej drodze do jakiegoś przestępstwa.

— Jakiego rodzaju?

— Powinienem zapytać o to ciebie. To twój chłopak.

Belsize potrząsnął głową. Bruzdy na jego twarzy pogłębiły się,

jakby ilustrowały pęknięcia w jego wyobrażeniu o sobie samym.

— Jest mój, ale nie mogę śledzić go po ulicach i na autostradzie. Mam stu pięćdziesięciu podopiecznych... stu pięćdziesięciu takich Davych Spannerów. Śnią mi się po nocach.

— Wiem, że nie jesteś w stanie zająć się wszystkimi w takim stopniu, jak byś chciał — powiedziałem — i nikt nie może mieć do ciebie pretensji. Poprosiłem cię o spotkanie, ponieważ chciałem poznać twoją opinię na temat Davy'ego. Czy mógłby popełnić przestępstwo?

— Do tej pory go nie popełnił, ale jest do tego zdolny.

— Zabójstwo?

Belsize kiwnął głową.

— Davy jest paranoidalną osobowością. Kiedy czuje się zagrożony lub odrzucony, traci równowagę. Któregoś dnia omal nie rzucił się na mnie w moim biurze.

— Jak to wyglądało?

— To było przed wydaniem wyroku na niego. Powiedziałem mu, że będę się domagał sześciu miesięcy więzienia przed zwolnieniem warunkowym. Wywołało to w nim atawistyczny odruch... coś, co tkwiło w nim od dzieciństwa. Nie wiem, co to mogło być. Nie znamy jego przeszłości. Wiemy, że stracił rodziców i wczesne lata spędził w sierocińcu, dopóki nie wzięli go przybrani rodzice. Krótko mówiąc, kiedy powiedziałem mu, co zamierzam zrobić, musiał się znów poczuć odrzucony, z tą różnicą, że był już wielki i silny i chciał mnie zabić. Na szczęście udało mi się przemówić mu do rozsądku. Nie wycofałem mojego wniosku o zwolnienie warunkowe.

— Wierzyłeś w niego.

Belsize wzruszył ramionami.

— Jestem wskrzesicielem wiary w siebie. Wiele lat temu nauczyłem się dawać ludziom szansę. Gdybym nie dawał im szans, nie mógłbym oczekiwać od nich, żeby dali szansę sobie samym.

Kelnerka przyniosła sandwicze i przez kilka minut zajmowaliśmy się jedzeniem. Skończyłem swój, ale Belsize jadł bardzo wolno, jakbyśmy obaj z Davym pozbawili go apetytu. W końcu zostawił jedzenie i odepchnął talerz.

— Nauczyłem się nie mieć zbyt dużych nadziei — powiedział. — Zmuszam się do pamiętania o tym, że są już po dwóch ciosach, zanim ja się z nimi spotykam. Po kolejnym mogą zostać znokautowani. — Podniósł głowę. — Chciałbym znać wszystkie fakty związane z Davym.

— Nie staniesz się przez to szczęśliwszy, a ja nie chcę, żebyś podniósł alarm w sprawie jego i dziewczyny. Przynajmniej dopóki nie porozumiem się z moim zleceniodawcą.

— Co chcesz, żebym zrobił?

— Odpowiedz mi jeszcze na parę pytań. Jeśli miałeś tak dobre mniemanie o Davym, to czemu zalecałeś sześciomiesięczny pobyt w więzieniu?

— To mu było potrzebne. Kradł samochody, prawdopodobnie od lat.

— Na sprzedaż?

— Dla zabawy, żeby sobie pojeździć. Albo dla zabicia smutku, jak to nazwał. Przyznał się, kiedy ustaliliśmy na podstawie raportów policyjnych, że jeździł po całym stanie. Powiedział mi, że szukał rodziców... swoich naturalnych rodziców. Uwierzyłem mu. Miałem wewnętrzne opory przed posłaniem go do więzienia, ale doszedłem do wniosku, że sześć miesięcy rygoru pozwoli mu ochłonąć... że w tym czasie wydorosłeje.

— I tak się stało?

— Częściowo. Skończył średnią szkołę, przeczytał dużo lektury nadobowiązkowej. Oczywiście nadal ma problemy, z którymi musi się uporać. Zrobi to, jeśli znajdzie motywację i czas.

— Problemy psychologiczne?

— Nazwałbym je raczej problemami życiowymi — powiedział Belsize. — Ten chłopak nigdy nie miał nikogo ani niczego, co mógłby

nazwać swoją własnością. Jest zresztą mnóstwo takich „nigdy nie miał”. Pomyślałem sobie, że mógłby mu pomóc psychoterapeuta, ale ten, który go badał, orzekł, że chłopak nie rokuje większej nadziei.

— Dlatego, że jest w pewnym stopniu psychotykiem?

— Nie kategoryzuję młodych ludzi. Dostrzegam w nich burze dręczące dorosłych. Spotkałem się ze wszystkimi przypadkami, jakie można znaleźć w podręczniku psychologii nienormalności. Ale często, kiedy burze miną, zmieniają się na lepsze. — Przekreślił ręce, dłońmi do góry.

— Albo na gorsze.

— Jesteś cynikiem, panie Archer.

— Nie. Ja jestem jednym z tych, którzy zmienili się na lepsze. Przynajmniej odrobinę. Wstąpiłem do policji, zamiast zostać lumpem.

Na pomarszczonej twarzy Belsize'a pojawił się uśmiech.

— A ja do tej pory nie wiem, jaki jestem. Moi podopieczni myśla, że jestem gliną, natomiast policja myśli, że jestem przyjacielem mętów. Ale tu nie chodzi o nas.

— Domyślasz się, dokąd Davy mógł pojechać?

— Mógł pojechać wszędzie. Rozmawiałeś z jego chlebobawczynią? Zapomniałem, jak się nazywa, pamiętam tylko, że jest ruda...

— Laurel Smith. Rozmawiałem z nią. Jak ona pasuje do całej tej układanki?

— Zaoferowała mu dorywcze zajęcie za pośrednictwem naszego biura. To było mniej więcej dwa miesiące temu, kiedy wyszedł z więzienia.

— Znali się przedtem?

— Raczej nie. Myślę, że to kobieta, która chciała komuś pomóc.

— Czego oczekuje od niego w zamian?

— Jesteś cyniczny — stwierdził Belsize. — Ludzie często czynią dobro z wewnętrznej potrzeby. Myślę, że pani Smith ma swoje własne problemy.

— Co cię skłania, żeby tak myśleć?

— Wywiedziałem się o niej w biurze szeryfa w Santa Teresa, kiedy Davy wyszedł z więzienia.

— To był oficjalny wywiad?

— Półoficjalny. Przyszedł do mojego biura człowiek szeryfa nazwiskiem Fleischer. Chciał, żebym mu zrelacjonował wszystko, co wiem na temat Laurel Smith i Davy'ego. Powiedziałem mu bardzo mało. Szczerze mówiąc, nie podobał mi się, poza tym nie wyjaśnił, po co mu ta informacja.

— Sprawdziłeś kartotekę Laurel Smith?

— Nie. Sądziłem, że to niepotrzebne.

— Na twoim miejscu zrobiłbym to. Gdzie Davy mieszkał, zanim poszedł do więzienia?

— Po zrezygnowaniu ze szkoły średniej wałkonił się przez rok lub więcej. W lecie mieszkał na plażach, w zimie podejmował dorywcze zajęcia.

— A wcześniej?

— Mieszkał z przybranymi rodzicami, od których przyjął nazwisko. Nazywają się Spannerowie.

— Wiesz, gdzie mieszkają?

— W zachodnim Los Angeles. Znajdziesz ich w książce telefonicznej.

— Czy Davy jest z nimi w kontakcie?

— Nie wiem. Zapytaj ich sam.

Zapłaciliśmy kelnerce i Belsize wstał, gotów do wyjścia.

## ROZDZIAŁ 7

Budynek Centennial Savings przy Wilshire był nowym dwunastopiętrowym wieżowcem z elewacją ze szkła i aluminium. Automatyczna winda zawiozła mnie do biura Sebastiana na drugim piętrze.

Fioletowooka sekretarka poinformowała mnie, iż Sebastian mnie oczekiwał.

— Ale w tej chwili — dodała z nutą ważności w głosie — jest u niego pan Stephen Hackett.

— Główny szef we własnej osobie?

— Ćśśś... — powiedziała, marszcząc czoło. — Po lunchu z panem Sebastianem przyszli tu, ale pan Hackett lubi zachowywać incognito. Widzę go tutaj dopiero drugi raz. — Była tak przejęta, jakby zaszczycił ich wizytą ktoś z rodziny królewskiej.

Usiadłem na kanapie pod ścianą. Dziewczyna wstała zza maszyny do pisania i ku mojemu zdumieniu usiadła na kanapie obok mnie.

— Jest pan policjantem, lekarzem czy jeszcze kimś innym?

— Jeszcze kimś innym.

Poczuła się urażona.

— Nie musi pan mi mówić, jeśli pan nie chce.



— Wiem o tym.

Przez chwilą milczała.

— Martwię się o pana Sebastiana.

— Ja też. Dlaczego pani pomyślała, że jestem lekarzem albo ginią?

— Po sposobie, w jaki mówił o panu. Obawia się pana.

— Nie powiedział dlaczego?

— Nie, ale dziś rano usłyszałam, że płacze. — Wskazała na drzwi wewnętrznej pokoju. — Zawsze jest bardzo opanowany, ale dziś płakał. Weszłam do niego i zapytałam, czy mogę pomóc. Powiedział, że nie i że jego córka jest bardzo chora. — Odwróciła się i spojrzała mi głęboko w oczy swoim fioletowym spojrzeniem. — Czy to prawda?

— Możliwe. Zna pani Sandy?

— Wiem, jak wygląda. Czy coś się z nią stało?

Nie miałem zamiaru dzielić się z nią moją opinią. Usłyszałem cichy szelest kroków w wewnętrznej pokoju. Zanim Sebastian zdążył otworzyć drzwi, dziewczyna siedziała już nieruchomo przy biurku, wyglądając jak martwy posąg we wnęce.

Stephen Hackett był zażywnym mężczyzną około czterdziestki, młodszym, niż się spodziewałem. Doskonale skrojony tweedowy garnitur, wyglądający, jakby został kupiony na Bond Street, nieco wyszczuplał jego kłocowatą figurę. Obdarzył mnie pogardliwym spojrzeniem, jakbym był źle ustawionym meblem, psującym harmonię wnętrza. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego pieniądze są tym samym, co dla innych podwyższające wkładki do butów.

Sebastian był wyraźnie zawiedziony, iż Hackett wychodzi. Chciał odprowadzić go do windy, lecz tamten ucisnął mu pospiesznie rękę na progu, żegnając go stanowczym:

— Do widzenia. Trzymaj tak dalej.

Sebastian odwrócił się ku mnie.

— To był pan Hackett. Oceniał bardzo wysoko mój program — rzekł z dumą, adresując to zarówno do dziewczyny, jak i do mnie.

— Wiedziałam, że mu się spodoba — powiedziała. — To genialny program.

— Owszem, ale nigdy nie można być pewnym.

Zaprowadził mnie do swojego pokoju, zamykając za nami drzwi. Pokój nie był duży, lecz ponieważ znajdował się na samym rogu budynku, pozwalał widzieć bulwar i parking. Zobaczyłem, jak Stephen Hackett wsiada do czerwonego sportowego wozu i odjeżdża.

— Jest bardzo usportowiony — zauważył Sebastian. Zdziwiło mnie jego uwielbienie dla Hacketta.

— Czy to wszystko, czym się zajmuje?

— Dbaj oczywiście o swoje interesy, ale nie zarządza nimi.

— W jaki sposób doszedł do swojego majątku?

— Odziedziczył go po ojcu. Mark Hackett był jednym z teksaskich magnatów naftowych. Ale Stephen sam potrafi robić pieniądze. W ostatnich paru latach kupił Centennial Savings i zbudował ten gmach.

— Wspaniały człowiek. Niezwykle wspaniały człowiek.

Sebastian spojrział na mnie ze zdziwieniem i usiadł za biurkiem. Na blacie, obok sterty projektów reklam, stała oprawiona w ramkę fotografia jego żony i Sandy. Na leżącym na wierzchu projekcie, napisane staroświeckim liternictwem, widniało motto: „Dbamy o pieniądze naszych klientów jak o nasze własne”.

Czekałem cierpliwie, aż Sebastian zmieni bieg. Zajęło to dobrą chwilę. Musiał przejść ze świata pieniędzy — w którym bycie własnością milionera stanowiło ukoronowanie jego marzeń — do własnej trudnej rzeczywistości. Widząc łzy w kącikach jego oczu, spojrzałem na niego ciepłej.

— Widziałem przed paroma godzinami pańską córkę.

— Naprawdę? Nic jej się nie stało?

— W sensie fizycznym nic. A czy umysłowo... trudno powiedzieć.

— Gdzie pan ją znalazł?

— W mieszkaniu jej przyjaciela. Obawiam się, że nie ma zamiaru wrócić do domu. Sprawia wrażenie, jakby miała jakiś żal do pana i pańskiej żony.

Powiedziałem to pytającym tonem. Sebastian wziął do ręki fotografię córki i przez chwilę jej się przyglądał, jakby chciał w niej znaleźć odpowiedź na tę kwestię.

— Od dzieciństwa była zwariowana na moim punkcie — mruknął. — Byliśmy najlepszymi kumplami. Aż do ostatniego lata.

— Co się stało ostatniego lata?

— Odwróciła się ode mnie, od nas obojga. Albo wcale z nami nie rozmawiała, albo wybuchwała gniewem i obrzucała nas wyzwiskami.

— Słyszałem, że ostatniego lata miała romans.

— Romans? Jest na to za młoda.

— To nie był szczęśliwy romans — dodałem.

— Kto to był?

— Miałem nadzieję, że pan mi to powie.

Jego twarz przybrała nowy wyraz. Mięśnie rozluźniły się, oczy sprawiały wrażenie, jakby spoglądały w głąb pamięci.

— Kto panu o tym powiedział?

— Jej przyjaciółka.

— Ma pan na myśli stosunki seksualne?

— Bez wątpienia od ostatniego lata zaczęła je mieć. Nie ma się czym martwić, to nic strasznego.

Coś go jednak martwiło. Miał minę zbitego psa i strach w oczach. Położył zdjęcie Sandy twarzą w dół na biurku, jakby nie chciał, żeby dziewczyna na niego patrzyła. Wyjąłem ręcznie sporządzony plan, znaleziony w biurku Davy'ego, i rozłożyłem go na blacie.

— Proszę się temu przyjrzeć. Czy poznaje pan to pismo? — spytałem Sebastiana.

— Wygląda na charakter Sandy. — Wziął do ręki plan i przyjrzał mu się uważniej. — Tak, to pismo Sandy. Co to jest?

— Nie wiem. Zna pan jakąś posiadłość, na terenie której jest sztuczne jezioro?

Sebastian podrapał się po głowie i kosmyk kędzierzawych włosów opadł mu na oko, nadając jego twarzy wyraz tajemnej niegodziwości. Odgarnął kosmyk, ale wyraz niegodziwości pozostał.

— To wygląda na posiadłość pana Hacketta — stwierdził.

— Gdzie ona leży?

— Na wzgórzach nad Malibu. To bardzo atrakcyjne miejsce. Nie wiem jednak, w jakim celu Sandy narysowała jego plan. Nie domyśla się pan?

— Mam pewną hipotezę. Zanim o niej opowiem, chciałbym panu coś pokazać. Odnalazłem pańską strzelbę, a przynajmniej jej część.

— Co to znaczy „część”?

— Zejdźmy na parking, to panu pokażę. Nie chciałem jej wnieść do budynku.

Udaliśmy się do windy i zjechaliśmy na parking. Otworzywszy bagażnik, pokazałem mu obcięte drewniane łoża dubeltówki z lufami.

Sebastian wziął je do ręki.

— Kto to zrobił? — zapytał, zaszokowany i rozwścieczony. — Sandy?

— Raczej Davy.

— Co za wandal! Zapłaciłem za nią sto pięćdziesiąt dolarów.

— Nie sądzę, że to był akt wandalizmu. Obawiam się czegoś gorszego. To oznacza, iż Davy dysponuje teraz obrzynem. Jeśli połączyć ten fakt z narysowaną przez Sandy mapą posiadłości Hacketta...

— Na Boga, czy pan sugeruje, że zamierzają go wziąć jako zakładnika?

— Sugeruję, że należy go uprzedzić o takiej możliwości.

Sebastian zrobił gwałtowny ruch w stronę budynku, lecz zatrzymał się i odwrócił ku mnie. Był wyraźnie przestraszony, co znalazło potwierdzenie w jego odpowiedzi:

— Nie możemy tego zrobić. Chyba nie żąda pan ode mnie, żebym mu powiedział, iż moja córka...

— Narysowała mapę. Czy dobrze zna tę posiadłość?

— Bardzo dobrze. Hackettowie bardzo ją lubią.

— Nie sądzi pan, że należy ich ostrzec?

— Z pewnością nie na tym etapie. — Wrzucił ze szczękiem kawałki strzelby do kufra. — Nie mamy pewności, czy coś planują. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to nieprawdopodobne. Niech pan nie oczekuje, że pojadę tam i zniszczę moje dobre stosunki z nimi. Nie mówią o Sandy...

— Z pewnością będzie bardziej przegrana, kiedy jej przyjaciel zrobi na nich skok. Pan również.

Zamyślił się, wpatrzony w asfalt u stóp. Spojrzałem na ruch uliczny, przetaczający się po Wilshire. Zwykle czułem się w takich przypadkach odprężony, nie musząc być jego częścią. Dziś jednak nie.

— Czy Hackettowie przechowują w domu pieniądze i biżuterię?

— Stephen nie trzyma w domu pieniędzy, ale ona ma diamenty, mają też cenną kolekcję dzieł sztuki. Pan Hackett spędził sporo czasu w Europie, kupując obrazy. — Zamilkł na chwilę. — Co by pan powiedział Hackettowi, chcąc go ostrzec? W taki sposób, żeby nie mieszać w to Sandy?

— Zastanawiam się, jak to zrobić.

— Czemu nie zabrał jej pan do domu po odnalezieniu?

— Nie chciała ze mną wrócić, a ja nie mogłem jej zmusić. Tak samo nie mogę zmusić pana, żeby ostrzegł pan Hacketta, choć uważam, że powinien pan to zrobić. Albo powiadomić policję.

— Po to, żeby wsadzili ją do więzienia?

— Nie wsadzą jej do więzienia, jeśli niczego nie robi. Bywają gorsze miejsca niż więzienie.

Spojrzał na mnie z niechęcią.

— Zapomniał pan, że chodzi o moją córkę.

— Mam na uwadze wyłącznie jej dobro. Pan prócz tego kieruje się jeszcze innymi motywami. Stoimy w miejscu, a tymczasem wszystko zaczyna nam się wymykać z rąk.

Sebastian zagryzł wargi. Patrzył na budynek z metalu i szkła, jakby szukał w nim inspiracji, czegoż jednak mógł się spodziewać po pomniku postawionym na cześć pieniądza? Podeszedłszy do mnie, objął moje ramiona, jakby chciał w ten sposób wyrazić mi swoje uznanie, a zarazem ocenić moją siłę w przypadku, gdyby doszło do wymiany ciosów.

— Słuchaj pan, Archer. Może pan tam pojedzie i porozmawia z Hackettem, nie mówiąc mu, kto jest w to zamieszany? Nie wspominając o mnie ani o Sandy.

— Chce pan, żebym tak zrobił?

— To jedyne sensowne rozwiązanie. Nie wierzę, żeby oni planowali coś haniebnego. Sandy nie jest kryminalistką.

— Młoda dziewczyna zwykle dostosowuje się do partnera, z którym ucieka.

— Ale nie moja córka. Nigdy jeszcze nie była w nic wmieszana.

Zmęczyło mnie spieranie się z Sebastianem. Był człowiekiem, który uwierzyłby we wszystko, co w danym momencie poprawiłoby mu samopoczucie.

— Założmy, że pan się nie myli. Czy Hackett po wyjściu stąd wracał do domu?

— Myślę, że tak. Więc pojedzie pan tam?

— Skoro pan nalega...

— I nie powie mu pan o nas?

— Nie wiem, czy mi się uda. Proszę pamiętać, że Hackett widział mnie w pańskim biurze.

— Niech pan zmyśli jakąś historyjkę. Na przykład, że uzyskał pan informację, z którą przyszedł pan do mnie, wiedząc, że dla niego pracuję. Znamy się od dawna, nic więcej.

Na tym stanęło. Niczego mu nie obiecałem. Powiedział mi, jak dojechać do posiadłości Hacketta, i dał mi zastrzeżony numer jego telefonu.

## ROZDZIAŁ 8

Zadzwoiłem pod ten numer z Malibu. Odpowiedziała jakaś kobieta, informując mnie z cudzoziemskim akcentem, że męża nie ma w domu, ale spodziewa się go lada chwila. Kiedy wymieniłem nazwisko Sebastiana, powiedziała, iż wyda polecenie, żeby ktoś czekał na mnie przy bramie.

Posiadłość znajdowała się zaledwie parę mil od centrum Malibu. Wysoka na dziesięć stóp brama była zwieńczona drutem kolczastym. Po obu stronach ciągnął się jak okiem sięgnąć płot z mocnej siatki drucianej, opatrzonej tabliczkami z napisem: PRZEJŚCIE WZBRONIONE.

Czekający na mnie przy bramie człowiek był szczupłym Latynosem. Obcisłe spodnie i rozwichrzone włosy nadawały mu młodzieńczy wygląd, kontrastujący z ciemnymi, dojrzałymi oczami. Nie starał się ukryć wypychającego mu kurtkę ciężkiego rewolweru u pasa.

Zanim otworzył mi bramę, zażądał okazania fotokopii mojej licencji.

— Myślę, że jest w porządku — powiedział.

Pozwolił mi wjechać, po czym znów zamknął bramę, podczas gdy ja czekałem za jego jeepem.

— Czy pan Hackett już wrócił?

Pokręcił przecząco głową, wsiadł do jeepa i ruszył przodem prywatną asfaltową drogą. Teren za pierwszym zakrętem okazał się pusty i odludny jak pierwotny interior. W zaroślach wrzeszczały przepiórki, a mniejsze ptaszki skubały czerwone jagody głogownika. Para sępów, zataczająca ciasne kółka w kominie termicznym, obserwowała z coraz większej wysokości okolicę.

Droga wiodła przez niską przełęcz między wzgórzami i dalej wzdłuż ziemnej tamy, spiętrzającej wody sztucznego jeziora. Na wodzie pełno było kaczek, rożeńców i rudobrazowych cyranek, a w przybrzeżnej trawie buszowały łyski.

Mój przewodnik wyjął rewolwer i bez zatrzymywania jeepa zastrzelił najbliższą łyskę. Pomyślałem, że chciał się przede mną popisać. Kaczki zerwały się i odleciały, a wszystkie łyski, prócz jednej, rzuciły się do wody, co przypominało paniczną ucieczkę przerażonych ludzików z filmów rysunkowych.

Położony na pochyłości po przeciwnej stronie jeziora dom był uroczy. Niski i rozłożysty, gustownie wpasowany w krajobraz, wyglądał jak jego harmonijny element.

Na frontowym tarasie czekała na mnie pani Hackett. Była w brązowym wełnianym kostiumie; długie żółte włosy, upięte w luźny kok, opadały jej z tyłu na szyję. Miała bardzo jasną karnację, była ładna i pulchna i mogła mieć nieco ponad trzydzieści lat.

— Czy to ty strzelałeś? — zapytała z gniewem mężczyznę w jeepie.

— Zastrzeliłem łyskę.

— Mówiłam ci, żebyś tego nie robił. To odstrasza kaczki.

— Za dużo jest tych łysek.

Kobieta pobladała.

— Nie sprzeciwiaj mi się, Lupe.

Patrzyli sobie wyzywająco w oczy. Jego twarz — jak wy-modelowana w twardej, wyprawionej skórze, naprzeciw jej — z drezdeńskiej porcelany. Zwyciężyła porcelanowa. Lupe ruszył i po chwili zniknął między budynkami gospodarczymi.



Przedstawiłem się. Kobieta odwróciła się ku mnie, lecz Lupe zniknął tylko fizycznie.

— Jest nieposłuszny — powiedziała. — Nie wiem, jak z nim postępować. Jestem w tym kraju od dziesięciu lat, ale ciągle nie mogę zrozumieć Amerykanów. — Mówiła ze środkowoeuropejskim akcentem, wyglądającym na austriacki lub niemiecki.

— Ja tu mieszkam od przeszło czterdziestu i też nie rozumiem Amerykanów, zwłaszcza Latynosów.

— W takim razie niewiele pan mi może pomóc. — Uśmiechnęła się, wzruszając bezradnie trochę zbyt szerokimi ramionami.

— Jaką funkcję on tu pełni?

— Pilnuje posiadłości.

— Sam?

— Nie ma tu aż tyle pracy. Mamy kontrakt na sprzątanie domu i terenu z firmą, która przysyła pracowników, gdy są potrzebni. Mój mąż nie lubi mieć stałej służby domowej. Brakuje mi jej... w domu zawsze miałam służących.

— W którym domu?

— W Bawarii — odparła ze smutkiem. — Niedaleko Monachium. Moja rodzina mieszka tam od czasów napoleońskich.

— Od jak dawna przebywa pani w Ameryce?

— Od dziesięciu lat. Stephen przywiózł mnie tu przed dziesięcioma laty, ale jeszcze nie zdążyłam przywyknąć do tego kraju. W Niemczech służba odnosi się do swoich chlebodawców z szacunkiem.

— Lupe nie wygląda na zwykłego służącego.

— I nie jest nim. Moja teściowa uparła się, żebyśmy go przyjęli. On o tym wie. — Sprawiała wrażenie kobiety, która nie ma z kim porozmawiać i zdaje sobie z tego sprawę. — Obawiam się, że za dużo mówię. Ale czemu pan mnie wypytuje?

— To cecha zawodowa. Jestem prywatnym detektywem.

W jej oczach pojawił się błysk niepokoju.

— Po co pan tu przyjechał? Czy Stephen miał wypadek?

— Mam nadzieję, że nie.

Popatrzyła na mnie oskarżycielsko, jakbym był zwiastunem złych wiadomości.

— Przedstawił się pan przez telefon jako przyjaciel Keitha Sebastiana.

— To mój znajomy.

— Czy coś się stało mojemu mężowi i chce mi pan to delikatnie zakomunikować?

— Nie. Najlepiej będzie, jeśli pani powiem, po co tu przybyłem. Mogę usiąść?

— Naturalnie, ale wejdźmy do środka. Zaczyna mi być zimno na tym wietrze.

Przeszliśmy przez szklane drzwi, potem po kilku stopniach w górę i dalej przez jasno oświetloną galerię, pełną obrazów. Zobaczywszy wśród nich dzieła Klee, Kokoschki i Picassa, przestałem się dziwić, iż posiadłość jest otoczona płotem.

Z salonu widać było ocean, który z tej wysokości wydawał się wznosić w górę aż po horyzont. Kilka białych żagli wyglądało jak ćmy, przylepione do niebieskiego okna.

Pani Hackett posadziła mnie na metalowo-skórzanym krześle, które okazało się bardzo wygodne.

— Bauhaus — wyjaśniła z dumą. — Czego pan się napije? Lubi pan benedyktynekę?

Wyjęła z baru na kółkach kamionkową butelkę i kieliszki i naleła do nich likieru, po czym usiadła poufale obok mnie, niemal dotykając krągłymi kolanami w jedwabnych pończochach moich nóg.

— Proszę mi teraz powiedzieć, o co tu chodzi.

Powiedziałem jej, iż na podstawie pewnych przesłanek, wynikających z prowadzonego przeze mnie dochodzenia, którego istoty nie mogę wyjawić, obawiam się, iż ona i jej mąż mogą stać się ofiarami rabunku lub szantażu.

— Kto nam zagraża?

— Nie mogę ujawnić nazwisk, radzę jednak wzmocnić ochronę.

Moja rada została zaakcentowana dalekim staccato dźwięków przypominających terkot karabinu maszynowego. Zobaczyliśmy czerwony sportowy samochód Hacketta, okrążający jezioro w drodze do domu.

— Ach! — westchnęła pani Hackett. — Przywiózł ze sobą matkę.

— Matka nie mieszka tutaj?

— Nie, Ruth mieszka w Bel-Air. Nie jesteśmy skłócone, ale nie lubimy się. Zawsze trzyma stronę Stephena. Jej mąż jest młodszy od niego.

Miałem wrażenie, że traktuje mnie jak powiernika, nie byłem jednak pewny, czy to mi odpowiada. Była przystojna, lecz nieco zbyt tęga i tępawa, obiecująca różnorodność nieprzewidywalnych reakcji.

Jej mąż zatrzymał się przed tarasem i pomógł matce wysiąść z samochodu. Wyglądała na równą mu wiekiem i była odpowiednio do tego ubrana, lecz skoro on miał czterdzieści lat, to ona musiała mieć przynajmniej pięćdziesiąt sześć lub siedem. Kiedy szła przez taras, opierając się o jego ramię, mimo młodzieżowej fasady widać było jej lata.

Pani Hackett podeszła do okna i leniwie pomachała do przybyłych. Sprawiała wrażenie, jakby widok męża i matki wyssał z niej całą energię.

Przedstawiono mi matkę Stephena jako panią Marburg. W taksującym spojrzeniu postarzałej zawodowej piękności, którym mnie obrzuciła, zawarte było nieme pytanie: „Czy warto pójść z nim do łóżka?”.

Wzrok jej syna był równie chłodny i rzeczowy, zainteresowało go jednak coś innego.

— Czy myśły się już nie spotkali? W biurze Keitha Sebastiana?

— Owszem.

— Śledził mnie pan aż stamtąd? Dlaczego? Widzę, że pan się tu zadomowił.

Popatrzył na szklanki na stoliku kawowym. Jego żona zaczerwieniła

się w poczuciu winy, a matka powiedziała ze strofującą kokieterią:

— Znam twoje upodobanie do prywatności, Stephen, ale bądź nieuprzejmy. Ten miły pan z pewnością ma jakiś ważny powód.

Wyciągnęła do niego rękę, chcąc dotknąć jego dłoni, lecz Hackett się wywinął. Zrezygnował jednak ze swojego sztywnego tonu i powiedział łagodnie:

— Proszę się wytłumaczyć.

— To był pomysł Sebastiana. — Usiadłem i powtórzyłem tę samą historyjkę, którą opowiedziałem jego żonie.

Wszyscy troje okazali zaniepokojenie. Hackett wyjął z podręcznego barku butelkę burbona. Nie zaproponowawszy go nikomu, nalał sobie solidną porcję i wypił ją jednym haustem.

Jego niemiecka żona zaczęła bezgłośnie płakać; jej włosy się rozluźniły i rozsypały na ramionach. Siedząca obok niej matka Hacketta klepała ją pocieszająco jedną ręką po szerokich plecach. Drugą skubała w zamyśleniu opaskę na szyi, maskującą ślady zniszczeń spowodowanych przez nieubłagany czas.

— Dobrze by było — powiedziała do mnie pani Marburg — gdyby pan nam podał wszystkie fakty. A przy okazji... nie dosłyszałam pańskiego nazwiska.

— Lew Archer. Przykro mi, ale nic więcej nie mogę państwu powiedzieć.

— Kim są ci ludzie? Skąd wiadomo, że istnieją?

— Ponieważ tak mówię.

— A może zależy panu na posadzie ochroniarza? — wtrącił się Hackett.

— Posada ochroniarza kłóci się w moim pojęciu z przyzwoitą pracą. Mogę państwu polecić dobrą firmę... jeżeli będziecie zainteresowani. — Żadne z nich się nie odezwało. — Decyzja oczywiście należy do was. Ale ludzie zwykle słuchają moich rad.

Hackett zauważył, iż zbieram się do wyjścia.

— Proszę nie odchodzić, panie Archer — poprosił. — Doceniam chęć pomocy. — Whisky nieco go ucłowieczyła łagodząc ton jego głosu i zmieniając perspektywę patrzenia na otoczenie. — Nie zamierałem być niegościnnie. Proszę sobie nalać drinka.

— Jeden wystarczy, dziękuję. — Poczulem do niego odrobinę sympatii. — Nie miał pan telefonów z pogrózkami? Albo listów z żądaniem pieniędzy?

Hackett spojrział pytająco na żonę, po czym oboje pokręcili przecząco głowami.

— Zadam panu pytanie — powiedział. — Skąd pan wie, że ów domniemany spisek jest skierowany przeciw mnie? Przeciw nam?

— Tego nie wiem. Wiem natomiast, że ci ludzie mieli plan pańskiej posesji.

— Tej posesji czy domku na plaży?

— Tej posesji. Pomyślałem sobie, iż to wystarczający powód, żeby tu przyjechać i ostrzec pana.

— Jest pan bardzo opiekuńczy — stwierdziła Ruth Marburg. Miała miły, nieco szorstki głos i mówiła z charakterystycznym dla mieszkańców zachodniego wybrzeża przeciąganiem samogłosek. — Myślę, że powinniśmy zapłacić panu Archerowi za stracony czas. — Kiedy mówiła o pieniądzach, coś w jej głosie implikowało, iż był czas, kiedy ich nie miała.

Hackett wydobył portfel i spośród pliku banknotów wyjął dwudziestkę.

— To powinno wynagrodzić pański czas — oświadczył.

— Dziękuję. Już mi zapłacono.

— Śmiało, niech pan weźmie — zachęcała pani Marburg. — To dobre, czyste pieniądze z ropy.

— Nie, dziękuję.

Hackett spojrział na mnie ze zdumieniem. Zastanawiałem się, kiedy ostatnio ktoś nie chciał wziąć od niego pieniędzy. Gdy opuściłem salon, poszedł za mną do galerii i zaczął wymieniać nazwiska autorów obrazów.

— Lubi pan malarstwo?

— Owszem. Nawet bardzo.

Ale jego popis prędko mnie znudził. Przy każdym obrazie informował mnie, ile za niego kiedyś zapłacił i ile wart jest teraz. Powiedział, że zarobił na wszystkich, które kupił w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

— Brawo! Gratuluję — powiedziałem. Spojrzał na mnie podejrzliwie.

— Czy to miał być żart?

— Nie.

— To dobrze. — Zauważyłem jednak, że jest poirytowany. Nie okazałem szacunku dla niego i jego pieniędzy. — Powiedział pan, że interesuje pana malarstwo. Tu jest kilka najcenniejszych okazów współczesnego malarstwa, jakie znajdują się na terenie Kalifornii.

— Już pan to mówił.

— Skoro nie jest pan zainteresowany... — Odwrócił się, by odejść, lecz rozmyślił się. — Nie rozumiem, skąd w tym wszystkim wziął się Keith Sebastian?

Powiedziałem mu kłamstwo, którego starałem się uniknąć.

— Wiedziałem, że Keith pracuje w jednej z pańskich firm. Udałem się do niego, a on przysłał mnie tutaj.

— Rozumiem.

Zanim zaczął coś naprawdę rozumieć, wsiadłem do samochodu i ruszyłem ku bramie. Lupe towarzyszył mi w swoim jeepie.

Kaczki nie wróciły na jezioro. Przeniosły się na przeciwległy brzeg. Z tej odległości wyglądały jak kongregacja żałobników.

## ROZDZIAŁ 9

W drodze powrotnej do miasta zatrzymałem się przy Laurel Apartments, chcąc sprawdzić, czy Davy i Sandy nie wrócili. Drzwi do mieszkania Laurel były uchylone. Nie odpowiedziała na moje pukanie. Gdzieś w głębi słychać było głośnie chrapanie. Pomyślałem, że Laurel upiła się do nieprzytomności.

Kiedy jednak po wejściu znalazłem ją w wannie, stwierdziłem, że powaliło ją coś mocniejszego niż alkohol. Ze spuchniętego nosa sączyła się krew, miała zamknięte oczy i pokaleczone wargi. Wanna była sucha, jeśli nie liczyć plam krwi. Laurel nadal miała na sobie pomarańczowo-czarny szlafrok.

Podszedłem do telefonu i wezwałem policję, poprosiłem też o karetkę. Zanim przybyli, zrobiłem szybki przegląd mieszkania. Pierwszą rzeczą, którą zbadałem, był przenośny telewizor. Wygranie go przez Laurel w konkursie trąciło jakimś kantem.

Kiedy odkręciłem tylną ściankę, zobaczyłem przyklejony od wewnątrz do obudowy miniaturowy nadajnik radiowy, nie większy niż paczka papierosów. Umocowałem z powrotem ściankę, nie ruszając pluskwy.

Następną niezwykłą rzeczą, która mnie uderzyła podczas pospiesznych poszukiwań, był brak jakichkolwiek dokumentów lub

fotografii związanych z przeszłością Laurel. W torebce, którą odkryłem w sypialnianej komóдке, znalazłem książeczkę czekową z sumą ponad sześciu tysięcy dolarów na koncie i sfatygowaną kartę ubezpieczenia społecznego na nazwisko Laurel Blevins.

W tej samej komóдке znalazłem skąpo zapisaną książeczkę adresową, a w niej dwa znane mi nazwiska: Jacoba Belsize'a oraz pana Edwarda Spannera i jego żony. Adres wskazywał, iż mieszkają w pobliżu mnie w West Los Angeles. Zanotowawszy go, włożyłem wszystko z powrotem do komóдки i zamknąłem szufladę.

Z Pacific Coast Highway dobiegało wycie syreny policyjnej. Nienawidziłem tego dźwięku, kojarzył mi się z dramatami biedoty miejskich peryferii. Wycie wspięło się na Chautauqua, po czym ucichło jak wilk zastrzelony na Elder Street. W dali słychać było sygnał ambulansu.

Znałem obu przybyłych policjantów, Janowskiego i Prince'a, sierżantów detektywów z komisariatu przy Purdue Street. Obaj po trzydziestce, byli dobrymi fachowcami, dumnymi z wykonywanego zawodu. Wy tłumaczyłem im, w jaki sposób się tu znalazłem, zataiwszy jedynie istnienie Sandy. Wymieniłem natomiast nazwisko Davy'ego Spannera.

— Czy to może być jego robota? — spytał Prince, wskazując łazienkę, gdzie dwaj sanitariusze z ambulansu przenosili Laurel Smith z wanny na nosze.

— Wątpię. Byli dobrymi przyjaciółmi.

— Na ile dobrymi? — spytał Janowski. Miał szeroką, pospolitą twarz o słowiańskich rysach i delikatnej, jasnej karnacji.

— Dała mu pracę, kiedy wyszedł z więzienia.

— To rzeczywiście świadczy o przyjaźni — mruknął Prince. — Za co siedział?

— Za kradzież samochodu.

— A teraz przeszedł do rękoczynów. — Najwyraźniej Prince traktował obrażenia ciała bardzo współczująco. Zdobywca Złoty



Rękawic w wadze półśredniej miał do wyboru dwie drogi. Podobnie jak ja.

Nie sprzeczałem się z nim. Gdyby złapali Davy'ego, prawdopodobnie wyszłoby mu to na dobre. Popołudnie mijało, a ja chciałem jeszcze odwiedzić Spannerów, zanim zrobi się za późno.

Wyszliśmy z mieszkania, patrząc, jak sanitariusze wnoszą Laurel Smith do ambulansu. Troje lub czworo mieszkańców domu zgromadziło się na chodniku, same kobiety. Niewątpliwie znały Laurę — była właścicielką budynku — lecz nie podeszły do niej. Chrupiącą kobietę otaczała aura nieszczęścia.

Janowski spytał jednego z sanitariuszy:

— Jak ciężko jest ranna?

— Przy urazach głowy trudno to ocenić. Ma złamany nos i szczękę, może nawet pękniętą czaszkę. Nie sądzę, żeby to były obrażenia od uderzenia pięścią.

— A od czego?

— Od kija lub pałki.

Prince wypytywał mieszkanki budynku, ale żadna niczego nie usłyszała ani nie zauważyła. Były jak ptaki, kiedy w pobliżu grasuje jastrząb, ciche i przygaszone.

Karetka odjechała, kobiety wróciły do budynku, a Prince wsiadł do samochodu policyjnego i niskim, monotonnym głosem nadał mel-dunek.

Janowski wrócił do mieszkania Laurel. Ja poszedłem na Los Baños Street, żeby jeszcze raz popatrzeć na dom z wbudowaną we frontową elewację skałą wulkaniczną. Zastony były nadal zaciągnięte, ale stojący poprzecznie na podjeździe cougar zniknął.

Obszedłszy dom, odkryłem z tyłu szklane przesuwne drzwi, niczym nie zasłonięte. W pokoju nie było żadnych mebli. Rozejrzałem się po małym ogródku. Był otoczony pięciostopowym, drucianym płotem z winoroślą i porośnięty wyschniętą, zachwaszczoną trawą, której nie zdołały ożywić deszcze.

Z sąsiedniego ogródka wyjrzała utleniona blondynka o pomalowanych purpurowym cieniem powiekach.

— Czego pan szuka?

— Lokatora tego domu.

— Duży, z łysą czaszką?

— Zgadza się.

— Wyjechał przed godziną. Wygląda na to, że się wyprowadził.

Ale to mi odpowiada.

— Dlaczego?

Posłała mi nad płotem rozognione spojrzenie.

— Jest pan jego przyjacielem?

— Nie całkiem.

— Czego pan chce od niego?

— To on mnie szukał. Zadzwoił do mnie, żebym mu coś naprawił.

— W jego urządzeniach elektronicznych?

— Tak.

— Spóźnił się pan. Zabrał je ze sobą. Zapakował wszystko do bagażnika i odjechał. Szczęśliwej drogi, dobrze się stało.

— Miała pani z nim kłopoty?

— Właściwie nie można mu było nic zarzucić, ale siedzieć samemu w pustym domu, to niesamowite... Czułam się nieswojo. Myślałam, że mnie podsłuchiwał.

— Skąd pani wie, że dom był pusty?

— Mam dobre oczy. Kiedy się wprowadzał, przywiózł łóżko polowe, składane krzeselko, stół do kart i sprzęt radiowy... nic więcej. Zabrał to wszystko dziś ze sobą.

— Jak długo tu mieszkał?

— Parę tygodni. Byłam już zdecydowana poskarżyć się panu Santee. Facet mieszkający bez mebli jest podejrzany.

— Kim jest pan Santee?

— Alex Santee? Jest agentem mieszkaniowym, od którego wynajęłam ten dom. Zarządza również tamtym.

— Gdzie go można znaleźć?

— Ma biuro na Bulwarze. — Wskazała ręką centrum Palisades

i dodała: — Muszę pana przeprosić, zostawiłam gotowanie na kuchni.

Przeszedłem na drugą stronę ogródka i spojrzałem w dół nad kilkoma innymi ogródkami. Zobaczyłem na wprost mnie otwarte mieszkanie Laurel Smith i sierżanta detektywa Janowskiego, który w tym momencie wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ 10

Alex Santee był niskim mężczyzną w średnim wieku o przenikliwym spojrzeniu, nieco zmiękczonej okularami. Zamierzał właśnie zamknąć biuro swojej agencji nieruchomości, lecz ucieszył się z perspektywy zrobienia interesu.

— Mam tylko kilka minut czasu. Jestem umówiony z klientem, który chce obejrzeć dom.

— Chodzi mi o dom przy Los Baños Street pod numerem siedemset dwa. Ten z elewacją ze skały wulkanicznej.

— Imponujący, prawda? Niestety jest wynajęty.

— Od kiedy? Przecież jest pusty.

— Od piętnastego listopada tego roku. Chce pan powiedzieć, że klient jeszcze się nie wprowadził?

— Sąsiadka twierdzi, że się wprowadził, ale dziś się wyniósł.

— To dziwne. — Santee wzruszył ramionami. — Cóż, jego sprawa. Jeśli Fleischer się wyprowadził, to dom będzie do wynajęcia od piętnastego tego miesiąca. Trzysta pięćdziesiąt miesięcznie, umowa na rok, pierwszy i ostatni miesiąc płatne z góry.

— Może najpierw z nim pomówię. Twierdzi pan, że nazywa się Fleischer?

— Jack Fleischer. — Santee zajrzał do swoich notatek i przeliterował nazwisko. — Podał mi swój adres: Dorinda Hotel w Santa Monica.

— Powiedział, czym się zajmuje?

— Jest emerytowanym szeryfem z jakiegoś miasteczka na północy stanu. — Ponownie zajrzał do swoich notatek. — Santa Teresa. Może postanowił tam wrócić.

Recepcjonista w hotelu Dorinda, ponury mężczyzna o bujnych, zaczesanych do góry włosach, nie pamiętał Jacka Fleischera. Dopiero przejrawszy wykaz gości ustalił, iż człowiek o takim nazwisku mieszkał przez dwa dni w hotelu na początku listopada, czyli przed miesiącem.

W korytarzu na tyłach recepcji znalazłem kabinę telefoniczną, skąd zadzwoniłem do Spannerów. Odpowiedział mi basowy męski głos:

— Rezydencja Edwarda Spannera.

— Pan Spanner?

— Tak.

— Nazywam się Lew Archer. W trakcie rozmowy z panem Jacobem Belsize'em wypłynęło pańskie nazwisko. Prowadzę dochodzenie i bardzo mi zależy na rozmowie z panem...

— Na temat Davy'ego? — Głos w słuchawce stał się mniej pewny.

— Na temat Davy'ego i jeszcze paru innych rzeczy.

— Znów coś przeskrobał?

— Jego pracodawca został pobity. Niedawno zabrali go do szpitala.

— Pani Smith? Davy nigdy nie uderzył kobiety.

— Nie powiedziałem, że to on. Pan zna go lepiej niż ktokolwiek inny, panie Spanner. Proszę mi poświęcić pięć minut.

— Właśnie siadamy do kolacji. Nie wiem, dlaczego nie dajecie nam wszyscy spokoju. Davy nie mieszka u nas od lat. Nigdy go nie adoptowaliśmy i nie jesteśmy za niego odpowiedzialni przed prawem...

Przerwałem mu:

— Będę za pół godziny.

Kiedy opuszczałem hotel, zachodziło słońce. Wyglądało jak ogień, zagrażający zachodniemu krańcowi miasta. W Los Angeles noce zapadają bardzo szybko. Zanim dojechałem do domu Spannerów, ogień zdążył się wypalić; zmierzch wisiał w powietrzu jak rzadki dym.

Dom był przedwojennym otynkowanym bungalowem, wciśniętym w rząd dokładnie takich samych domów. Edward Spanner otworzył przede mną drzwi z nieukrywaną niechęcią. Był wysokim szczupłym mężczyzną o pociągłej twarzy i wyrazistych oczach, porośniętym gęstymi czarnymi włosami — nie tylko na głowie, lecz również na ramionach i na grzbietach dłoni. Miał na sobie prążkowaną koszulę z podwiniętymi rękawami. Promieniował staroświecką, skwaśniałą aurą dobrych chęci.

— Proszę wejść, panie Archer. Witamy w naszych skromnych progach. — Mówił jak człowiek, który nauczył się poprawnego wyrażania z książek.

Poprowadził mnie przez salon pełen wytartych mebli i wypisanych na ścianach aforyzmów do kuchni, gdzie przy stole siedziała jego żona. Była w domowej sukni, której prostota uwypuklała kośćciostwo ciała. Jej twarz nosiła ślady przebytych cierpień, złagodzone przez miękkie usta i szczere oczy.

Byli do siebie w pewien sposób podobni, w dodatku — rzecz niezwykła u ludzi w średnim wieku — respektowali się wzajemnie. Wydawało się, że pani Spanner boi się męża lub może boi się o niego.

— To jest pan Archer, Martho. Chce z nami porozmawiać o Davym.

Zwiesiła głowę, a Spanner powiedział usprawiedliwiającym tonem:

— Po pańskim telefonie Martha coś mi wyznała. Davy przyszedł do nas dziś po południu... kiedy byłem w pracy. Myślę, że nie zamierzała mi tego powiedzieć. — To, co mówił, było adresowane bardziej do niej niż do mnie. — Wiem tylko, że przychodził tu codziennie za moimi plecami.

Posunął się za daleko i to wytrąciło ją z równowagi.

— To nieprawda, dobrze o tym wiesz. Miałam ci o tym powiedzieć, ale nie chciałam popsuć ci kolacji. — Odwróciwszy się ku mnie, by uniknąć spojrzenia Spannera, dodała usprawiedliwiająco: — Mój mąż ma wrzód żołądka. Te przejścia dały się nam obojgu we znaki.

Jakby dla podkreślenia jej słów, Spanner zasiadł u szczytu stołu ze zwieszonymi rękami. Popatrzył na talerz na pół zjedzonego brązowego gulaszu. Usiadłszy naprzeciw jego żony, spytałem:

— Kiedy zjawił się Davy?

— Parę godzin temu.

— Czy ktoś z nim był?

— Jego przyjaciółka. Narzeczona. Śliczna dziewczyna. — Pani Spanner wydawała się zaskoczona tym faktem.

— W jakim byli nastroju?

— Byli podnieceni. Proszę sobie wyobrazić, że mają zamiar się pobrać.

Edward Spanner parsknął ironicznie.

— Czy to Davy tak pani powiedział?

— Oboje. — Uśmiechnęła się z rozmarzeniem. — Wiem, że są jeszcze bardzo młodzi, ale ucieszyłam się, że wybrał taką miłą dziewczynę. Dałam im dziesięć dolarów jako prezent ślubny.

— Dałaś im dziesięć dolarów?! — wykrzyknął żałośnie Spanner. — Muszę ostrzec dziesięć głów, żeby tyle zarobić.

— To nie były twoje pieniądze. Zaoszczędziłam je.

Spanner potrząsnął smętnie głową.

— Nic dziwnego, że się wykoleił. Psułaś go od pierwszego dnia, kiedy się u nas zjawił.

— Nie psułam go. Otoczyłam go miłością. Potrzebował jej... po tych wszystkich latach spędzonych w sierocińcu.

Pochyliwszy się, dotknęła kojąco ramienia męża, jakby on i Davy byli jej równie bliscy.

Ale on wpadł w jeszcze głębszą rozpacz.

— Powinniśmy byli zostawić go w sierocińcu.

— Z pewnością nie myślisz tak, Edwardzie. Przeżyliśmy we troje dziesięć szczęśliwych lat.

— Czyżby? Nie było dnia, żebym nie musiał użyć pasa. Gdybym mógł więcej o nim nie słyszeć, to...

Zatkała mu ręką usta.

— Nie mów tak. Martwisz się o niego tak samo jak ja.

— Po tym, co nam zrobił?

Popatrzyła na mnie.

— Mój mąż stał się zgorzkniały i nie potrafił się z tego otrząsnąć. Włożył w Davy'ego dużo uczucia. Był dla niego dobrym ojcem. Ale Davy potrzebował więcej, niż mogliśmy mu ofiarować. Kiedy pierwszy raz popadł w tarapaty, Święte Bractwo Niepokalanego Poczęcia zabroniło Edwardowi wygłaszania kazań. To był dla niego straszny cios. Opuściliśmy miasto i przenieśliśmy się tutaj. Wtedy Edward zachorował na wrzód i przez ostatnie trzy lata nie bardzo mógł pracować. W tych warunkach niewiele mogliśmy zrobić dla Davy'ego. Rozpuścił się i zaczął żyć swoim życiem.

Spanner poczuł się zawstydzony szczerością swojej żony.

— To stara historia.

— Właśnie to mnie interesuje. Wspomniała pani, że przenieśliście się tutaj z innego miasta?

— Większą część życia spędziliśmy w Santa Teresa.

— Czy znają państwo człowieka nazwiskiem Jack Fleischer?

Spojrzała na męża.

— Czy to nie ten sam, który tu był przed miesiącem?

— Potężny mężczyzna z łąską głową — powiedziałem. — Twierdzi, że jest emerytowanym policjantem.

— To on — stwierdziła. — Wypytywał o Davy'ego, głównie o jego pochodzenie. Powiedzieliśmy mu wszystko, co sami wiedzieliśmy. Wzięliśmy Davy'ego z sierocińca w Santa Teresa, kiedy miał sześć lat. Nie miał nazwiska, więc nadaliśmy mu nasze. Chciałam go adoptować, ale Edward uważał, że nie stać nas na to.



— Rzecz w tym — wtrącił Spanner — że gdybyśmy go adoptowali, hrabstwo nie płaciłoby na jego utrzymanie.

— Ale traktowaliśmy go tak, jakby był naszym dzieckiem. Nie mieliśmy własnych dzieci. Nigdy nie zapomnę tamtego dnia, kiedy zobaczyłam go pierwszy raz w biurze sierocińca. Podeszedł prosto do nas, stanął obok Edwarda i nie pozwolił się odciągnąć. „Chcę stać obok tego pana” — powiedział. Pamiętasz, Edwardzie?

Błysk dumy w oczach Spannera, zmieszany ze smutkiem, był najlepszym świadectwem, iż pamiętał.

— Teraz jest już taki wysoki jak pan. Szkoda, że pan go nie zna.

Była kwintesencją kobiecości: z opornego męża i uciekającego chłopaka usiłowała stworzyć rodzinę — elementarną spójność w świecie zawiedzionych nadziei.

— Czy pani wie, kim byli jego prawdziwi rodzice, pani Spanner?

— Nie. Był po prostu sierotą. Pewien umierający robotnik rolny zostawił go w sitowiu. Dowiedziałam się o tym od Fleischera.

— Czy Fleischer nie powiedział, dlaczego interesuje się Davym?

— Nie zapytałam go o to, bo się bałam. Davy jest pod opieką kuratora, i w ogóle. — Zawahała się, zerkając na mnie. — Pozwoli pan, że spytam go o to samo?

Spanner mnie wyręczył.

— Laurel Smith została pobita. Już ci to mówiłem.

Jej oczy się rozszerzyły.

— Davy nie postąpiłby tak z panią Smith. Była jego najlepszą przyjaciółką.

— Nie byłbym taki pewny — odparł ponuro Spanner. — Pamiętaj, że pobił nauczyciela w szkole średniej i od tamtego czasu wszystko się zaczęło.

— Czy tym nauczycielem była kobieta? — spytałem.

— Nie, mężczyzna. Nazywał się Langston. Jedna rzecz jest w szkole niewybaczalna, a tą rzeczą jest uderzenie nauczyciela.

Nie pozwolili mu potem wrócić do szkoły. Nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Nie mógł dostać pracy. To jeden z powodów, dla których przeprowadziliśmy się tutaj. Od tego czasu wszystko idzie źle. — Mówił o tych przenosinach, jakby zostali skazani na banicję.

— To było coś więcej niż uderzenie nauczyciela — powiedziała jego żona. — Henry Langston był psychologiem szkolnym. Davy uderzył go, kiedy tamten próbował się nim zająć.

— Co chciał zrobić z Davym?

— To było dość niejasne.

Spanner zwrócił się do żony.

— Davy ma kłopoty z psychiką. Nigdy nie chciałaś przyjąć tego do wiadomości, ale już najwyższy czas. Miał kłopoty z psychiką od chwili, kiedy wzięliśmy go z sierocińca. Nigdy mnie nie polubił. Nie był normalnym dzieckiem.

Pokręciła głową w upartym zaprzeczeniu.

— Nie wierzę w to.

Ich kłótnie musiały toczyć się od lat i zanosilo się, iż potrwają do ich śmierci. Wtrąciłem się:

— Davy był tu dzisiaj. Czy odniosła pani wrażenie, że ma jakieś kłopoty?

— Jak by to powiedzieć... Nigdy nie był radosnym dzieckiem, dziś jednak wydał mi się jakiś szczególnie spięty. Ale taki jest w dzisiejszych czasach każdy młody człowiek, przygotowujący się do małżeństwa.

— Mówili serio o małżeństwie?

— Powiedziałabym, że bardzo serio. Niecierpliwią się. — Odwróciła się ku mężowi. — Nie chciałam ci tego mówić, ale i tak by się to wydało. Davy miał nadzieję, że udzielisz im ślubu. Wytłuma czyłam mu, że nie masz prawa, będąc tylko kaznodzieją.

— Nie udzieliłbym mu ślubu, nawet gdybym mógł. Mam zbyt duży szacunek dla kobiet.

— Czy powiedzieli coś więcej o swoich planach, pani Spanner? Kiedy chcą wziąć ślub?

— Nie powiedzieli.

— A dokąd jechali?

— Nie wiem. — Widziałem po jej oczach, że kielkuje w niej jakaś myśl, jakby coś sobie przypomiwała.

— Nie domyśla się pani?

Zawahła się.

— Niech pan najpierw odpowie na moje pytanie. Czemu interesuje się pan Davym? Czy uważa pan, że to on pobił panią Smith?

— Nie. Ale ludzie ciągle mnie zaskakują.

Popatrzyła na mnie, oparłszy łokcie na stole.

— Nie mówi pan jak glina. Jest pan policjantem?

— Kiedyś byłem. Teraz jestem prywatnym detektywem. Nie staram się wykopać czegokolwiek przeciw Davy'emu.

— To jaki jest pański interes w tej sprawie?

— Chcę się upewnić, że dziewczyna jest bezpieczna. Wynajął mnie jej ojciec. Ona ma dopiero siedemnaście lat. Powinna być dziś w szkole, zamiast włóczyć się nie wiadomo gdzie.

Każda kobieta jest skłonna idealizować stan małżeński, niezależnie od tego, jak dalece niezachęcające było jej własne małżeństwo. Obserwowałem, jak umierają marzenia pani Spanner o ślubie.

— Kiedy przygotowywałam w kuchni herbatę dla nich — powiedziała — słyszałam, jak rozmawiają w saloniku. Czytali głośno motta na ścianach i zaśmiewali się z nich. To nie było ładne z ich strony, ale może nie powinnam była podsłuchiwać. Żartowali na temat Niewidzialnego Gościa. Davy powiedział, że niewidzialny gość odwiedzi w nocy Tatę Warbuckska.

Spanner wybuchnęła:

— To bluźnierstwo!

— Czy powiedzieli coś więcej na ten temat?

— Zapytał dziewczynę, czy jest pewna, że zdoła go ze sobą przemycić. Odpowiedziała, że to łatwe, bo Louis ją zna.

— Louis? A może Lupe? — spytałem.

— Możliwe, że Lupe. Tak! Na pewno Lupe. Wie pan, o kim mowa?

— Obawiam się, że tak. Mogę skorzystać z telefonu?

— Proszę, jeżeli to nie będzie zamiejscowa rozmowa — odparł rzeczowo Spanner.

Dałem im dolara i wykręciłem numer Hacketta w Malibu. Odezwał się kobiecy głos, którego z początku nie rozpoznałem. Spytałem:

— Czy jest pan Hackett?

— Kto mówi?

— Lew Archer. Czy to pani Marburg?

— Tak. — Jej głos był cichy i oschły. — Jest pan dobrym prorokiem, panie Archer.

— Coś się stało pani synowi?

— Okazał się pan tak dobrym prorokiem, że zaczęłam się zastanawiać, czy to było tylko prorocstwo. Gdzie pan teraz jest?

— W West Los Angeles.

— Niech pan tu zaraz przyjedzie, dobrze? Powiem mężowi, żeby otworzył panu bramę.

Opuściłem Spannerów, nie mówiąc im, dokąd jadę. W drodze do Malibu wstąpiłem do mojego mieszkania i wziąłem rewolwer.

# ROZDZIAŁ 11

Brama wjazdowa do posiadłości Hackettów była otwarta. Spodziewałem się zastać przed domem policyjne wozy, ale jedynym samochodem stojącym przed frontem z zapalonymi światłami był nowy niebieski kabriolet Mercedesa. Jego właściciel, młody mężczyzna, wyszedł z domu, żeby mnie przywitać.

— Pan Archer? Nazywam się Sidney Marburg.

Wyciągnął do mnie rękę, wypróbując siłę mojego uścisku.

Z bliska nie wyglądał tak młodo. Jego uśmiech był prawdopodobnie porcelanowy, a rozchodzące się promieniście od ust linie śmiechu mogły brać się równie dobrze ze zmartwień. W świetle jego wąskie, czarne oczy wydawały się matowe.

— Co tu się dzieje, panie Marburg?

— Sam dobrze nie wiem. Nie było mnie tu, kiedy to się stało. Stephen został uprowadzony. Młoda laska i chłopak z dubeltówką wywieźli go stąd samochodem.

— Gdzie był wtedy Lupe?

— Był tutaj. Leży nieprzytomny, z zakrwawioną głową. Chłopak był ukryty w kufrze samochodu. Wskoczył z niego i trzymał Lupe pod lufą, a dziewczyna uderzyła go młotkiem albo łyżką do opon.

— Dziewczyna uderzyła Lupe?

Skinął głową.

— Co dziwniejsze, ta dziewczyna podobno była znana rodzinie. Żona chce z panem pomówić.

Zaprowadził mnie do biblioteki, gdzie pod lampą, przy telefonie, siedziała jego żona z rewolwerem pod ręką. Była pozornie spokojna, lecz jej twarz miała wyraz wyniosłego zaskoczenia. Uśmiechnęła się z przymusem.

— Dzięki za przybycie. Sidney jest czarującym chłopcem, ale zupełnie niepraktycznym. — Zwróciła się do niego: — Idź pobawić się swoimi farbami albo zajmij się czymś innym.

Stał urażony między nią i drzwiami. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zaraz jednak je zamknął.

— Grzeczny chłopiec, ale teraz już idź. Mam do pomówienia z panem Archerem.

Marburg wyszedł. Usiadłem na skórzanym pufie, dobranym kolorystycznie do jej fotela.

— Gdzie jest pani Hackett? — spytałem.

— Gerda załamała się... u niej to normalne. Na szczęście zawsze mam przy sobie środek nasenny. Dałam jej kilka kapsułek, po których wypłakała się i zasnęła.

— Czyli sytuacja jest opanowana?

— Sytuacja jest całkowicie otwarta i pan o tym wie. Pomoże mi pan przywrócić ją do poprzedniego stanu?

— Mam zobowiązania wobec klienta.

Zignorowała to.

— Dobrze panu zapłacę.

— Ile?

— Sto tysięcy.

— To by było za dużo.

Przyglądała mi się badawczo przymrużonymi oczami.

— Widziałam dziś, jak pogardził pan dwudziestoma dolarami, ale jeszcze nie widziałam człowieka, który by pogardził stoma tysiącami.

— To nierealna suma. Proponuje mi ją pani, sądząc, iż jestem współnikiem w szantażu. Źle pani trafiła.

— W takim razie skąd pan wiedział wcześniej o porwaniu?

— Trafiłem na ślad przygotowań. Zostawili na wierzchu plan posiadłości, jakby niemal chcieli, żeby im przeszkodzić. Co nie znaczy, że są mniej niebezpieczni.

— Wiem, że są niebezpieczni. Widziałam ich. Weszli prosto do salonu i wyprowadzili Stephena do swojego samochodu. W ciemnych okularach wyglądali jak przybysze z innej planety.

— Rozpoznała pani któregoś z nich?

— Gerda natychmiast rozpoznała dziewczyną. Wielokrotnie gościli ją w tym domu. Nazywa się Alexandra Sebastian.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Byłem rad, iż tajemnica wyszła na jaw.

— Keith Sebastian jest moim klientem.

— Wiedział o tym?

— Wiedział tylko tyle, że jego córka uciekła. Potem dowiedział się pewnych szczegółów ode mnie, ale nie było ich wiele. Nie obwinajmy się wzajemnie. Przede wszystkim musimy uwolnić pani syna.

— Zgadzam się z panem. Podtrzymuję moją ofertę. Sto tysięcy, jeśli Stephen wróci bezpiecznie do domu.

— Policja zrobi to za darmo.

Pomachała ręką na znak, że się nie zgadza.

— Nie chcę policji. Najczęściej znajdują sprawcę, ale ofiara przy tym ginie. Mój syn musi wrócić żywy.

— Nie mogę tego zagwarantować.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparła niecierpliwie. — Po-dejmy się pan? — Przycisnęła dłoń do piersi, a potem podała mi je. Jej emocje wyglądały teatralnie, lecz były prawdziwe.

— Spróbuję — powiedziałem. — Mimo wszystko sądzę, że robi pani błąd. Powinna pani zwrócić się do policji.

— Już powiedziałam, że nie chcę. Nie ufam im.

— A mnie pani ufa?

— A nie powinnam? Ufam panu... w pewnym stopniu.

— Podobnie jak Keith Sebastian. Muszę go powiadomić o pani ofercie.

— Nie ma potrzeby. Jest jednym z naszych pracowników.

— Nie poza godzinami pracy. Proszę pamiętać, że jego córka zaginęła. Kocha ją tak samo jak pani swojego syna. — Nie byłem o tym do końca przekonany, jednak udzieliłem Sebastianowi kredytu wątpliwości.

— Sprowadzimy go tu. — Sięgnęła gwałtownym ruchem po telefon. — Jaki jest jego numer?

— Szkoda czasu.

— Pytam pana o jego numer.

Zajrzałem do mojego czarnego notesu. Wykręciła numer. Sebastian musiał siedzieć przy aparacie, bo odezwał się po pierwszym sygnale.

— Pan Sebastian? Mówi Ruth Marburg, matka Stephena Hacketta. Dzwonię z jego domu w Malibu. Chciałabym, żeby pan tu przyjechał... Tak, dziś. W gruncie rzeczy natychmiast. Za ile pan może być?... Doskonale, oczekuję pana za pół godziny. Proszę mnie nie zawieść.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na mnie spokojnie, niemal słodko. Jej ręka nadal spoczywała na aparacie, jakby zdalnie badała puls Sebastiana.

— Jest pan pewny, że nie jest w zмовie z córką? Wiem, że nie lubi korzystać z wynajętej pomocy.

— Czyż nie postępujemy tak samo, pani Marburg?

— Proszę nie zmieniać tematu. Zadałam panu konkretne pytanie.

— Moja odpowiedź brzmi: Nie! Nie starczyłoby mu jaj. Poza tym prawie modli się do pani syna.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona.

— Pieniądze. To jego największa pasja.

— Jest pan pewny, że nie wykorzystał do tego córki?

— Jestem pewny.

— To co ona, do diabła, sobie myśli?



— Wygląda na to, że jest zbuntowana przeciw wszystkim, którzy przekroczyli trzydziestkę. Pani syn był najgrubszą zwierzyną w jej zasięgu, choć wątpię, żeby to ona wybrała cel. Przypuszczam, że głównym inspiratorem był Davy Spanner.

— Czego on chce? Pieniędzy?

— Jeszcze nie wiem. Czy pani coś wie o jakichkolwiek powiązaniach między nim i pani synem? Możliwe, że to jakaś osobista sprawa.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Może bym sobie przypomniała, gdyby mi pan powiedział, co o nim wie.

Opowiedziałem jej pokrótce o Davym Spannerze, synu najemnego robotnika rolnego, osieroconym w wieku trzech lub czterech lat, oddanym do sierocińca, a później wychowywanym przez przybranych rodziców, agresywnym uczniu ze średniej szkoły, wałęsającym się nastolatku, złodzieju samochodów, pensjonariuszu więzienia, perspektywicznym ciężkim przestępcy, prawdopodobnie w jakimś stopniu nienormalnym.

Ruth Marburg słuchała mojej relacji, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Mówi pan o nim z sympatią.

— To prawda — odparłem, choć jeszcze czułem ból w nerkach.

— Davy Spanner nie dokonał tego sam.

Odpowiedziała ostro:

— Niech pan mi nie wciska kitu. Znam psychopatów. Są jak psy, kąsające ręce, które je żywią.

— Czy Spanner miał wcześniej jakieś kontakty z pani rodziną?

— Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

— Ale dziewczyna miała.

— Nie ze mną. Z Gerdą, żoną Stephena. Interesowała się językami, a przynajmniej udawała zainteresowanie nimi. W lecie zeszłego roku Gerda się nią zajęła. Następnym razem będzie ostrożniej szła... jeśli rodzina przetrwa kryzys.

Zacząłem się niecierpliwić. Miałem wrażenie, że siedzimy już

bardzo długo. Wypełniony książkami pokój ze szczelnie zaciągniętymi zasłonami był jak podziemny schron, odcięty od świata.

Ruth Marburg musiała to zauważyć lub podzielała moje odczucia. Podeszła do okna i odciągnęła zasłony. Popatrzyliśmy na zygzakowaty naszyjnik świateł wokół jeziora.

— Ciągłe nie mogę uwierzyć w to, co się stało — powiedziała. — Stephen był zawsze taki dbały. To jeden z powodów, dla którego nie mieli służby.

— A Lupe?

— Nie traktujemy go jako służącego. Jest raczej zarządzającym posiadłością.

— Czy to pani przyjaciel?

— Nie ujęłabym tego w ten sposób. Jesteśmy w dobrych stosunkach. — Poza, którą przybrała, i półuśmiech na ustach nadały jej odpowiedzi seksualny podtekst.

— Mogę z nim porozmawiać?

— Na razie nie. Został mocno uderzony.

— Może potrzebny mu doktor?

— Mam zamiar wezwać lekarza. — Odwróciła się i spojrzała mi w twarz, dygocząc od wewnętrznej złości. — Niech pan nie bierze na siebie odpowiedzialności za rzeczy, za które nie jest pan odpowiedzialny. Wynajęłam pana po to, żeby pan odnalazł mojego syna.

— Jeszcze mnie pani nie wynajęła.

— Może wcale tego nie zrobię. — Wróciła do okna. — Co go zatrzymuje?

Splotła dłonie i zacisnęła palce. Trzask kłykci przypomniał mi, że Ruth Marburg ma w sobie szkielet z kości.

Jakby to słysząc lub wyczuwając jej niecierpliwość, sekundę później zjawił się Sebastian. Jego wielki samochód rzucił snop światła na przełęcz między wzgórzami, okrążył jezioro i zadymał się przed domem.

Nie spieszył się pan — powitała go przy drzwiach pani Marburg.

— Przepraszam. Tuż przez wyjazdem miałem telefon. Musiałem go odebrać.

Wydawał się niezwykle podekscytowany. Oczy mu się świeciły i był bardzo blady. Przeniósł wzrok z kobiety na mnie.

— Czemu zostałem wezwany?

Ruth Marburg powiedziała ponuro:

— Niech pan wejdzie. Zaraz panu wyjaśnię, czemu pan został wezwany. — Zaprowadziwszy nas do biblioteki, zatrzasnęła drzwi gestem więziennego dozorca. — Pańska najdroższa córeczka ukradła mi syna.

— O czym pani mówi?

— Przyjechała z młodym byczkiem, ukrytym w kufrze, i ogłuszyła naszego zarządcę łyżką do opon. Potem oboje z byczkiem weszli do domu, wyprowadzili Stephena i wywieźli.

— To absolutnie szalone.

— Ale się zdarzyło.

— Kiedy?

— Tuż przed zmierzchem. Chyba było wpół do szóstej. Teraz jest po ósmej. Pytanie brzmi: co pan zamierza z tym zrobić?

— Wszystko. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Spóźniony strumień łez niemal go oślepił. Wytrzeł je palcami, po czym zakrywszy dłońmi oczy, stanął pod lampą, chwielejąc się.

— Czy to na pewno była Sandy?

— Tak. Moja synowa dobrze ją zna. Obecny tu pan Archer przewidział, że tak się stanie. To odpowiedź na pytanie, dlaczego pana tu wezwałam. Chcę, żeby pan Archer odnalazł mojego syna.

— Co oznacza — wtrąciłem się — iż pan i ja możemy się znaleźć po przeciwnych stronach barykady. Pańska córka jest współuczestniczką poważnego przestępstwa. Obawiam się, iż nie mogę ochronić jej przed konsekwencjami.

— Ja natomiast oczekuję od pana współpracy z panem Archerem — powiedziała pani Marburg. — Jeśli pańska córka się odezwie, musi pan go o tym zawiadomić.

— Oczywiście. — Pokiwał energicznie głową. — Przyrzekam, że będę z nim współpracował. Dziękuję za... dziękuję za powiadomienie mnie.

Wskazała mu ręką drzwi.

— I co — powiedziała do mnie, kiedy Sebastian wyszedł — nadal pan sądzi, że nie są w zмовie?

— Dobrze pani wie, że to nieprawda.

— Proszę mi nie mówić, co ja wiem. Ludzie są zdolni do wszystkiego. Nawet najprzypoіtsi, a on z pewnością taki nie jest. — Umilkła, lecz po chwili dodała: — Ja też taka nie jestem... mówię to na wszelki wypadek, gdyby pan miał wątpliwości.

— Tracimy czas.

Ostatnie słowo należało do niej.

— Płacę za pański czas. Kiedy pan będzie wychodził, proszę powiedzieć mężowi, żeby mi przyniósł podwójną szkocką. Padam z nóg.

Przestała grać rolę i zapadła w fotelu, pozwalając, by jej twarz i ciało oklapło, jakby były z plasteliny. Jej mąż oglądał obrazy w oświetlonej galerii. Przekazałem mu polecenie.

— Dzięki, stary. Nie przykładaj się zbyt do tego zlecenia, dobrze? Jeśli Stephen nie wróci, te obrazy przejdą na Ruth i na mnie. Lubię dobre malarstwo.

Mówił jak człowiek, którym w istocie był: na półserio. Wyszedłszy na zewnątrz, zobaczyłem, że w moim samochodzie siedzi Sebastian. Czekał na mnie, ssąc paznokiec kciuka, który krwawił.

Usiadłem za kierownicą.

— Chce mi pan coś powiedzieć?

— Tak. Bałem się mówić przy niej. Telefon, który odebrałem przed przyjazdem tutaj, był od Sandy. Chciała, żebym po nią przyjechał.

— Dokąd?

— Do Santa Teresa. Rozmowa została przerwana, zanim zdążyła powiedzieć coś więcej.

— Powiedziała, skąd dzwoni?

— Nie, ale rozmowa była na koszt odbiorcy, więc operator wiedział. Dzwoniła z biurowego telefonu na stacji benzynowej Power Plus w Santa Teresa. Stacja jest przed samym miastem, patrząc od naszej strony. Jeździliśmy tam często podczas weekendów i zatrzymywaliśmy się na tej stacji.

— Jadę tam.

— Niech pan mnie weźmie z sobą. Proszę.

Przekreśliwszy się na siedzeniu, spojrzałem mu w twarz. Nie podobał mi się i nie miałem do niego zaufania, ale z upływem czasu zacząłem patrzeć na niego przychylniej.

— Dobrze pan prowadzi?

— Nie miałem jeszcze wypadku i nie piłem.

— To dobrze. Pojedziemy moim samochodem.

Zostawił swój wóz na parkingu w Malibu, w sąsiedztwie drive-in. Zjadłem kanapkę, która pachniała spalinami z autostrady, a on w tym czasie zatelefonował do żony. Potem zadzwonił do stacji Power Plus w Santa Teresa.

— Są otwarci do północy — powiedział. — Facet zapamiętał Sandy.

Na moim zegarku było kwadrans po dziewiątej. To był długi dzień roboczy, a spodziewałem się, iż przeciągnie się na większą część nocy. Położyłem się na tylnym siedzeniu i zasnąłem.

## ROZDZIAŁ 12

Ze snu, iż lecę odrzutowcem, wyträciło mnie wyłączenie silnika. Samochód stał przy pompach, w jaskrawym białym świetle stacji Power Plus. Z biura wyszedł młody człowiek w kombinezonie. Jedną stopę miał znacznie mniejszą i nosił specjalny but. Poruszał się rześko, choć było już późno i na jego twarzy widać było zmęczenie.

— Czym mogę służyć? — spytał Sebastiana.

— Dzwoniłem wcześniej. Chodzi o moją córkę. — Jego głos był cichy i niepewny, jakby żebrał.

— Rozumiem. — Zmęczona twarz pracownika stacji przestała być oficjalna, przybierając wyraz sympatii. — Poszła na gigant albo na coś takiego?

— Na coś takiego. — Wsiadłem, by z nim porozmawiać. — Przyjechała seledynowym samochodem?

— Tak. Stała w tym samym miejscu, gdzie pan się zatrzymał, i poprosiła, żebym napełnił zbiornik. Był prawie pusty: nalałem dziewiętnaście galonów.

— Zauważył pan jakichś innych pasażerów?

— Był tylko jeden. Duży, ostrzyżony na jeża. Siedział w samochodzie, dopóki nie zobaczył, że dziewczyna gdzieś dzwoni. Przedtem powiedziała, że chce skorzystać z toalety, więc kiedy benzyna się

nalewała, poszedłem do biura po klucz. Potem spytała, czy może zamówić zamiejscową rozmowę. Pozwoliłem pod warunkiem, że będzie na koszt odbiorcy. Stałem przy niej, żeby tego przypilnować. Zaczęła rozmawiać, a tu nagle wpadł ten facet i przerwał rozmowę.

— Czy użył siły?

— Nie uderzył jej. Objął ją ramionami, to był raczej uścisk. Zaczęła płakać i wtedy zaprowadził ją do samochodu. Usiadła za kierownicą, zapłaciła za benzynę i odjechali w stronę miasta. — Wskazał ręką w kierunku Santa Teresa.

— Nie miał broni?

— Nie. Ale z jej zachowania wynikało, że się go bała.

— Czy coś mówił?

— Tylko wtedy, gdy wpadł do biura. Oświadczył, że to idiotyzm dzwonić do domu i że rodzice są najgorszymi wrogami.

Sebastian mruknął coś nieartykułowanego.

— Dla niej czy dla niego? — spytałem.

— Dla obojga. Powiedział, zdaje się: „naszymi najgorszymi wrogami”.

— Oddałeś mi przysługę. Jak się nazywasz?

— Fred Cram.

Dałem mu dolara.

— Nie musi mi pan płacić. — Powiedział to z uprzejmą stanowczością. — Przykro mi, że nie zrobiłem nic więcej. Może powinienem ich zatrzymać, wezwać policję lub zrobić coś podobnego. Nie byłem pewny, czy mam prawo się wtrącić.

Na stację zajechał stary chevrolet, pomalowany brązową farbą podkładową. Z przodu siedziało paru wyrostków, a bosa stopy dwóch innych wystawały przez tylne okienko. Kierowca zatrąbił, wzywając obsługę.

Spytałem jeszcze raz Freda Crama:

— Jesteś pewny, że w samochodzie nie było nikogo trzeciego?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

— Nie, chyba żeby wliczyć w to psa.

— Co to był za pies?

— Nie wiem. Wydawał się wielki.

— Nie widziałeś go?

— Był w bagażniku. Słyszałem, jak oddychał i jakby skomlił.

— Skąd wiesz, że to był pies?

— Ona tak powiedziała. Sebastian jęknął.

— Myśli pan, że to mógł być człowiek? — spytał Fred Cram.

— Nie wiem.

Popatrzył na mnie pytającym wzrokiem. Twarz mu się wydłużała, w miarę jak zaczynał sobie uświadamiać, w jakie kłopoty wdepnął. Wyrostek znów władczo zatrąbił i Fred popędził ku niemu na swoich nierównych stopach.

— Chryste — powiedział Sebastian. — To się naprawdę stało. Musimy ją z tego wyciągnąć.

— Wyciągniemy ją — oświadczyłem stanowczo, starając się, by nie usłyszał w moim głosie nurtujących mnie wątpliwości: czy ją w ogóle znajdziemy i znacznie poważniejszej: czy jeśli nam się to uda, prawo pozwoli mu zatrzymać córkę w domu. — Najbardziej mi pan pomoże, kontaktując się z żoną i polecając jej, żeby nie odchodziła od telefonu. Sandy już raz dzwoniła i może to zrobić powtórnie.

— Jeśli on jej pozwoli.

Mimo to zgodził się na moją sugestię. Wynajęliśmy dwa sąsiednie pokoje w motelu plażowym w pobliżu centrum Santa Teresa. Był środek sezonu zimowego i motel był niemal pusty. Port jachtowy poniżej mojego okna wyglądał jak mgliste, blade wspomnienie lata.

Boy hotelowy otworzył kluczem drzwi pomiędzy naszymi pokojami. Słuchałem, jak Sebastian rozmawia z żoną przez telefon. Powiedział jej ze sztucznym ożywieniem, że sprawa posuwa się naprzód i że nie powinna się martwić. Jego hurra optymizm przypomniał mi



pracownika stacji benzynowej z niedorozwiniętą stopą, który kulejąc poruszał się szybciej niż inni.

— Ja też cię kocham — powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

Stanąłem na progu.

— Jak żona przyjmuje to wszystko?

— Wspaniale. Po prostu wspaniale.

Mówiąc to, rozglądał się po pokoju, taksując wzrokiem szczegóły swojej niedoli: samotne łóżko, bezosobowe ściany i moją twarz.

Zmusiłem się do uśmiechu.

— Teraz stąd wyjdę. Skontaktuję się z panem później.

— Co pan zamierza robić?

— Złożę wizytę paru osobom w mieście.

— Trochę za późno na wizyty.

— Tym lepiej. Łatwiej zastanę ich w domu.

Wróciłem do mojego pokoju, wyjąłem z szuflady stolika na telefon spis abonentów i odszukałem Henry'ego Langstona, psychologa szkolnego, który miał scysję z Davym Spannerem. Telefon odebrała młoda dziewczyna, a ja przez moment miałem wrażenie, że jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności to Sandy.

— Z kim rozmawiam? — zapytałem.

— Z Elaine. Jestem opiekunką do dziecka. Pan i pani Langston wyszli na cały wieczór.

— Kiedy można się spodziewać ich powrotu?

— Obiecali wrócić przed północą. Czy coś im przekazać?

— Nie, dziękuję.

W mojej pracy szczęśliwe zbiegi okoliczności rzadko się zdarzają. Jeśli się kopie głęboko, niemal zawsze można znaleźć jakieś rozwidlające się korzenie. Prawdopodobnie wyjazd Jacka Fleischera bezpośrednio po tym, jak pobito Laurel Smith, nie miał nic wspólnego z tym ostatnim faktem. Zapewne po prostu wrócił do swojego mieszkania w Santa Teresa. Odszukałem w książce telefonicznej jego adres: 33 Pine Street.

Była to ulica starszych domów, ocienionych sosnami, zamieszkiwanych przez klasę średnią, znajdująca się w niewielkiej odległości od gmachu sądu. Większość domów przy ulicy była ciemna. Zaparkowałem na rogu, przed starym kościołem, i powędrowałem dalej pieszo, szukając z latarką numeru Fleischera.

Zobaczyłem dwie zardzewiałe metalowe trójki, przymocowane do werandy białego, drewnianego, dwupiętrowego domu. Za zaciągniętymi żółtymi zasłonami paliło się światło. Zapukałem do drzwi.

Usłyszałem niepewne kroki, zbliżające się do drzwi, a potem kobiecy głos:

— Kto tam?

— Czy pan Fleischer jest w domu?

— Nie.

Mimo to otworzyła drzwi, żeby mi się przyjrzeć. Jej twarz nosiła ślady starannego makijażu zrobionego w ciągu dnia. Była blondynką w średnim wieku. Jej oczy lustrowały mnie upartym spojrzeniem owej zranionej podejrzliwości, która wykształca się przez wiele lat.

W jej oddechu czuć było alkohol, co nasunęło mi skojarzenie, iż mogła być starszą siostrą Laurel Smith.

— Czy pani Fleischer? Skinęła głową.

— Chyba się nie znamy?

— Znam pani męża. Nie wie pani, gdzie mógłbym go znaleźć?

Rozłożyła ręce. Jej ciało pod różowym, pikowanym szlafrokiem tchnęło smutkiem.

— Proszę mnie zrewidować.

— To ważna sprawa. Przyjechałem specjalnie z Los Angeles. Wyciągnęła rękę i złapała mnie za ramię. Poczułem się jak alter ego Fleischera.

— Co Jack tam robił?

— Obawiam się, że to poufna sprawa.

Może mi pan powiedzieć. Jestem jego żoną. — Pociągnęła mnie

do mieszkania. — Niech pan wejdzie, zrobię panu drinka. Przyjaciele Jacka są...

Pozwoliłem zaprowadzić się do dużego ponurego salonu, wyglądającego, jakby lokatorzy domu zamierzali się umartwiać. Głównymi ozdobami były stojące na kominku nagrody strzeleckie Fleischera.

— Na co ma pan ochotę? Ja piję gin z lodem.

— Proszę o to samo.

Wyszła z pokoju i za chwilę wróciła, niosąc dwie pękate szklanki pełne ginu i lodu. Wypiłem łyk z mojej.

— Na zdrowie.

— Niech pan usiądzie. — Wskazała mi przykrytą pokrowcem wersalkę i sama usiadła obok, przyciskając się do mnie. — Miał mi pan powiedzieć, w co Jack się tam zaangażował.

— Nie znam wszystkich szczegółów. Zdaje się, że kogoś śledzi...

Przerwała mi niecierpliwie.

— Niech pan się nie pozwoli zwieść. I niech go pan nie kryje. W tym jest jakaś kobieta, prawda? Jack ma garsonierę w Los Angeles i ta kobieta znów z nim mieszka. Mam rację?

— Pani go zna lepiej ode mnie.

— Zgadł pan. Jesteśmy małżeństwem od trzydziestu lat i połowę tego czasu spędził na uganianiu się za tą samą spódniczką. — Pochyliła się ku mnie, jej usta wyrażały pożądliwość. — Zna pan tę kobietę?

— Znam.

— Jeżeli pokażę panu jej zdjęcie, to powie mi pan, czy to ta sama?

— Pod warunkiem, że pani mi powie, gdzie jest Jack.

Potraktowała na serio moją propozycję.

— Pojechał w stronę Zatoki, Bóg wie po co. Myślałam, że chociaż przenocuje, ale wziął tylko prysznic, przebrał się, zjadł kolację, którą mu przygotowałam, i znów wyjechał.

— W który rejon Zatoki?

— Na półwysep. Słyszałam, jak przed wyjazdem dzwonił do Pa-  
ło Alto i zarezerwował pokój w motelu Sandmana. Tyle wiem. Znów  
niczego mi nie mówi, a ja wiem czemu. Goni za tą samą spódniczką.  
Ma w oczach ten sam błysk. — Uraza w jej głosie brzmiała jak brzę-  
czenie szerszenia zaplątanego w pajęczynę. Spłukała go ginem. —  
Przyniosę jej zdjęcie.

Postawiła pustą szklanekę na stoliku, inkrustowanym wypo-  
lerowanymi odłamkami skały, i wyszła z pokoju, ale zaraz wróciła.  
Wręczyła mi małe zdjęcie i zapaliła potrójną lampę.

— To ta kobieta, prawda?

Było to zdjęcie dwudziestoletniej Laurel Smith, przedstawiające  
ciemnowłosą dziewczynę en face. Nawet na małej, kiepskiej fotogra-  
fii widać było wyraźnie jej urodę. Przypomniałem sobie jej pokale-  
czoną twarz, kiedy wnosili ją do ambulansu, i doznałem spóźnionego  
uczucia przykrości na widok piękna zniszczonego przez czas i prze-  
moc.

Pani Fleischer powtórzyła pytanie. Powiedziałem wymijająco:

— Zdaje się, że to ona. Skąd pani ma to zdjęcie?

— Wyjęłam je z portfela Jacka, kiedy brał prysznic. Znów je no-  
si przy sobie. To stare zdjęcie, ma je od dawna.

— Od jak dawna?

— Policzmy... — Zaczęła liczyć na palcach. — Od piętnastu lat.  
Poderwał ją piętnaście lat temu. Trzymał ją w Rodeo City, twierdząc,  
iż jest świadkiem i że wszystkie jego poczynania wobec niej to sprawa  
służbowa. Ale jedynym przestępstwem, które mogła poświadczyć,  
było ściągnięcie spodni przez zastępcę szeryfa, Jacka Fleischera.

Jej oczy błyszczały złośliwą satysfakcją. Rewanżowała się swo-  
jemu mężowi, zdradzając go przede mną w tym samym stopniu, co on  
ją, jednocześnie zdradzając także, iż jest żoną starego gliniarza.

Wyjęła mi z ręki zdjęcie, położyła je na stole i podniosła szklan-  
kę.

Wypijmy. Przyniosę następną porcję.

Nie oponowałem. Sprawy otwierają się rozmaicie. Ta otworzyła się nie tak łatwo jak drzwi czy grób i z pewnością nie jak róża lub inny kwiat — tylko jak stara, smutna blondynka, mająca zadrę w duszy.

Opróżniłem szklankę, którą zaraz zabrała do kuchni, aby ją napełnić. Kiedy nie było jej przez dłuższy czas, pomyślałem, że przygotowała dodatkowy drink i wypłała go sama. Wracając, zawadziła o framugę i wylała sobie gin na ręce.

Wyjąłem z jej rąk obie szklanki i postawiłem na kamiennym stoliku. Zatoczyła się. Jej oczy, otoczone pajęczyną delikatnych linii, wcinających się głęboko w skórę, straciły ostrość widzenia. Widać było, iż walczy, żeby znów ją odzyskać.

— To ta sama kobieta, prawda? — zapytała ponownie.

— Jestem prawie pewny, że tak. Wie pani, jak się nazywa?

— W Rodeo City nazywała się Laurel Smith.

— Nadal się tak nazywa.

— Jack mieszka z nią w LA, prawda?

— O ile wiem, mieszka sama.

— Niech pan mnie nie oszukuje. Wy, mężczyźni, zawsze kryjecie się wzajemnie. Ale ja wiem, kiedy mężczyzna wydaje pieniądze na kobietę. W ostatnim miesiącu podjął z naszego konta ponad tysiąc dolarów, a ja muszę zebrać, żeby mi dał dwanaście na fryzjera. — Przeszła palcami gęste faliste włosy. — Dalej jest taka piękna?

— Nie da się ukryć, że tak. — Zebrawszy się w sobie, wysadziłem się na komplement: — Prawdę mówiąc, jesteście do siebie podobne.

— One zawsze są do mnie podobne. Kobiety, które mu się podobają, wyglądają tak jak ja. Z tą różnicą, że są młodsze. — Jej głos był niczym bat biczownika: smagała się nim z pasją. Po chwili skierowała go przeciw Fleischerowi. — Wstrętny skurwiel! Ma czelność wydawać nasze ciężko zarobione pieniądze na tę dziwkę. Potem wraca i opowiada mi, że zainwestował je, żebyśmy byli do końca życia bogaci.

— Czy mówi, gdzie je zainwestował?

— Pan to powinien wiedzieć. Jesteście kumplami, prawda?

Wzięła ze stołu szklankę i opróżniła ją. Miałem wrażenie, że rzuca ją w moją głowę. Nie byłem jej mężem, ale nosiłem spodnie.

— Niech pan skończy swojego drinka — powiedziała. — Ja już wypiałam.

— Oboje mamy już dość.

— Proszę mówić za siebie.

Zabrała swoją szklankę i wyszła. Sunęła, nie odrywając kłapek od podłogi, pochylona do przodu, jakby zjeżdżała ze stoku, bez nadziei na powrót — coraz dalej w stronę czyścica porzuconych kobiet. Usłyszawszy w kuchni hałas, zajrzałem tam i zobaczyłem, że rozbija w zlewie naczynia.

Nie wtrąciłem się. To były jej naczynia. Wróciłem do salonu, zabrałem ze stołu fotografię Laurel i wyszedłem.

Na sąsiednim ganku stał siwowłosy mężczyzna w płaszczu kąpielowym, nasłuchując. Kiedy mnie zobaczył, odwrócił się i zniknął za drzwiami. Zanim je zamknął, usłyszałem, jak mówi:

— Jack Fleischer znów wrócił.

## ROZDZIAŁ 13

Parterowy dom Henry'ego Langstona był położony przy nowym trakcie na północnym obrzeżu miasta. Wewnątrz i na zewnątrz paliło się światło. Drzwi przylegającego do domu garażu były otwarte, lecz nie było w nim samochodu, tylko oparty o ścianę trójkołowy dziecienny rowerek.

Z domu wyszła młoda kobieta w płaszczu z futrzanym kołnierzem. Miała ciemne błyszczące oczy i owalną twarz o ostrych rysach. Zobaczywszy mnie, stanęła jak wryta, najwyraźniej przestraszona.

— Szukam pana Langstona — powiedziałem.

— Dlaczego? Czy coś się stało?

— Jeśli tak, to nic mi o tym nie wiadomo.

— Jest bardzo późno.

— Przykro mi. Próbowałem się z nim wcześniej skontaktować.

Czy jest w domu?

Spojrzała przez ramię na otwarte drzwi frontowe. Była przestraszona, jakby wyczuwała we mnie listonosza kłopotów. Uśmiechnąłem się.

— Proszę się nie martwić. To nie dotyczy pani. Chcę mu zadać parę pytań związanych z jego byłym uczniem.

— Jestem pewna, że nie zechce dziś z panem rozmawiać.

— A ja jestem pewny, że zechce. Proszę mu powiedzieć, że rzecz dotyczy Davy'ego Spannera.

— Znów jego. — Odrzuciła głowę do tyłu, jakby rywalizowali ze sobą, po czym przygryzła wargę. — Ma nowe kłopoty czy nic się nie zmieniło?

— Wolałbym to omówić z mężem. Pani jest żoną Henry 'ego Langstona, prawda?

— Tak, ale jest mi zimno, jestem zmęczona i chcę się położyć. Spędziliśmy cudowny wieczór z przyjaciółmi, a pan wszystko popsuł.

Nie wypła zbyt wiele, najwyżej jeden lub dwa drinki, mimo to przesadnie okazywała — prawdopodobnie rozmyślnie — swoje odczucia. Była wystarczająco przystojna, żeby sobie na to pozwolić.

— Przykro mi.

— Jeśli jest panu przykro, to proszę sobie pójść.

Weszła do domu i zatrzasnęła za sobą drzwi ze starannie wykalculowaną siłą, zawierającą się w przedziale sześciu do siedmiu stopni skali Richtera. Nie ruszyłem się z mojego miejsca na chodniku. Drzwi znów się otworzyły, co nasunęło mi skojarzenie z ponownym rozpoczęciem rozprawy sądowej. Na progu stała pani Langston.

— Proszę mi wybaczyć. Wiem, że to musi być ważna sprawa, bo inaczej nie przeszedłby pan tutaj. Jest pan policjantem?

— Prywatnym detektywem. Nazywam się Archer.

— Henry za moment wróci. Pojechał odwiedzić opiekunkę do dziecka. Proszę wejść, na dworze jest chłodno.

Cofnęła się w głąb domu. Poszedłem za nią do salonu. Wnętrze było pełne mebli i książek. W centralnym miejscu salonu stał mały fortepian.

Pani Langston zatrzymała się obok fortepianu niczym zdenerwowana solistka przed występem.

— Zrobię panu kawę.

Proszę sobie nie zadawać trudu. I proszę się nie bać.

— To nie o pana chodzi. Boję się Davy'ego Spannera.



— Bała się pani już przedtem, zanim wymieniłem jego nazwisko.

— Rzeczywiście? Może ma pan rację. Patrzył pan na mnie tak dziwnie, jakbym miała umrzeć.

Nie chciało mi się jej przypominać, że kiedyś to i tak się stanie. Gdy zdjęła płaszcz, zobaczyłem, że jest mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży.

— Jeśli pan pozwoli, pójdę się położyć. Proszę zbyt długo nie męczyć Henry'ego.

— Postaram się. Dobranoc.

Zatrzepotała na pożegnanie palcami i wyszła, zostawiając po sobie wrażenie drżącego niepokoju. Kiedy usłyszałem nadjeżdżający samochód, wyszedłem z domu.

Langston wysiadł z kombi, nie gasząc silnika ani świateł. Czuję, że dom jest przesiąknięty atmosferą strachu, co znajdowało potwierdzenie w wyrazie jego twarzy. Był dużym, prostolinijnym młodym człowiekiem o płowych włosach i marzycielskich oczach.

— Czy Kate dobrze się czuje?

— Z żoną wszystko w porządku. Wpuściła mnie i poszła do łóżka. — Powiedziałem mu, kim jestem. — Davy Spanner był dziś w mieście.

Oczy mu się zapadły, jakbym dotknął niewidzialnych czułek. Wrócił do samochodu i wyłączył silnik i światła.

— Porozmawiajmy w samochodzie. Nie chcę jej niepokoić.

Usiedliśmy na przednich siedzeniach, nie zatrzaszkując drzwi, tylko je przymykając.

— Nie widział pan przypadkiem dziś Davy'ego?

Zanim odpowiedział, zawahał się.

— Widziałem się z nim. Bardzo krótko.

— Gdzie?

— Przyjechał tutaj.

— O której?

— O ósmej. Kate akurat pojechała po Elaine. To dziewczyna,

która opiekuje się naszym pierworodnym i chodzi do średniej szkoły. Byłem zadowolony, że Kate nie było w domu. Na szczęście odjechał, zanim wróciła. Czy pan wie, że Davy ją stresuje?

— Nie tylko ją.

Langston spojrział na mnie z ukosa.

— Czy on znów wali głową w mur?

— Można to tak nazwać.

— Davy ma skłonność do autodestrukcji.

— Nie o niego się martwię. Czy była z nim dziewczyna o imieniu Sandy?

— Owszem. To był jeden z powodów, dla których tu przyjechał. Chciał, żebyśmy się nią zaopiekowali, to znaczy Kate i ja. Powiedział, że mają zamiar się pobrać, ale przedtem musi coś załatwić i zajmie mu to dzień lub dwa.

— Nie powiedział, co musi załatwić?

— Nie. Przypuszczam, że to musi być coś nieprzyjemnego. Pomyślał, że byłoby lepiej, gdyby Sandy została na ten czas u nas.

— Dlaczego u was?

— Sam zadaję sobie to pytanie — odparł z cierpkim uśmiechem. — Dlaczego u nas? Odpowiedź brzmi: bo sam się o to prosiłem. Kiedyś byłem bardzo zaangażowany w problemy Davy'ego. Gdy człowiek zagłębi się w takie rzeczy, trudno się od nich uwolnić. W pewnym momencie omal nie skończyło się zerwaniem mojego małżeństwa. Ale to się więcej nie powtórzy. Odpowiedziałem mu, że nie mogę się zgodzić na jego prośbę. Odczuł to boleśnie, jakbym go zawiódł. Musiałem jednak dokonać wyboru: on albo moja rodzina.

— Jak się zachowywała dziewczyna?

— Nie miałem okazji, żeby z nią porozmawiać. Była błąda i wyglądała na spiętą. Nie wysiadła z samochodu. — Wskazał kciukiem w stronę ulicy. — Nie mogłem wziąć na siebie odpowiedzialności za nią. Zresztą wolałem, żeby odjechali, zanim wróci Kate. Będzie miała

drugie dziecko, a przy pierwszym przeżyła trudny okres. Muszę jej oszczędzić stresów: niepokojów i moich wyjazdów.

— Jasne.

— Powinny istnieć jakieś priorytety — dodał — inaczej człowiek się rozprasza i cała konstrukcja się wali. — Mówił jak przesadnie sumienny obywatel, powtarzający trudną lekcję, której musi się nauczyć. Przy tym wszystkim znalazł w sobie wystarczająco dużo troski, żeby zapytać o dziewczynę: — Czy ona faktycznie jest jego narzeczoną?

— Przynajmniej oboje tak myślą. Dziewczyna uciekła z domu i ma tylko siedemnaście lat. Jej rodzice wynajęli mnie, żebym ją odszukał.

— I właśnie w tym celu pan do mnie przybył?

— Częściowo. Jakie inne powody sprawiły, że Davy przyjechał do pana?

— Inne powody?

— Powiedział pan, że jednym z powodów była dziewczyna. Jakie były te inne?

— To sprawa z przeszłości — dodał ze smutkiem Langston. — Chciał ode mnie pewnych informacji, w gruncie rzeczy chodziło mu o moją opinię o nim. Jak już wspomniałem, przed paru laty zaangażowałem się bardzo głęboko w jego sprawę, wtedy gdy jeszcze był moim uczniem w średniej szkole. Teraz widzę, że posunąłem się za daleko. Kiedy jeszcze byłem na uniwersytecie, sam przeszedłem leczenie i zdawało mi się, że będę umiał mu pomóc w ten sam sposób. Ale coś się stało... sam nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Zamyślił się, jakby próbował zrozumieć jakieś wydarzenia z przeszłości.

— Coś sprawiło, że więź między nami się zerwała. Był okres, kiedy nasze osobowości wydawały się nie do odróżnienia. Odbierałem rzeczywistość tak samo jak on i myślałem identycznie. Moja empatia była tak silna, że... — przerwał. — Czy pan kiedyś doświadczył podobnych doznań?

— Nie. Jeśli nie liczyć kobiet... w pewnych specjalnych okolicznościach.

— Kobiet? — Wydawał się zdziwiony. — Kate jest dla mnie równie egzotyczna jak góry na Księżycu. Ale to nie znaczy, że jej nie kocham. Ja ją czczę.

— To pięknie. Miał mi pan jednak opowiedzieć o przeszłości Davy'ego.

— Sęk w tym, że on nie znał swojej przeszłości. Myślałem, że mu pomogę, próbując ją odtworzyć. Okazało się, że nie potrafi się z nią pogodzić. To ja zrobiłem błąd, źle oceniając sytuację. Byłem przecież psychologiem szkolnym, a on jedynie przeżywającym trudności szesnastolatkiem.

On też coś przeżywał. Jego mózg wydawał się walczyć z magnetycznymi polami pamięci, zniekształcającymi to, co mówił. Ponownie go zachęciłem:

— Czy to prawda, że jego ojciec zginął? Spojrzał na mnie badawczo.

— Wie pan o tym?

— Tak, ale nic poza tym. Jak to się stało?

— Nie udało mi się ustalić nic pewnego. Faktem jest, że wpadł pod pociąg w pobliżu Rodeo City. Koła odcięły mu głowę. — Langston przeciągnął palcami po szyi. — Był młodym człowiekiem, młodszym niż ja teraz.

— Jak się nazywał?

— Nikt nie wie. Nie miał dowodu tożsamości. Zdaniem zastępcy szeryfa, który prowadził sprawę...

— Jacka Fleischera?

— Tak. Zna go pan?

— Mam zamiar go poznać. Jaka była jego opinia?

— Że był wędrownym robotnikiem rolnym, który jechał na sterce prętów i przypadkowo ześliznął się pod koła. Ale jedna rzecz nie pasuje do tej wersji. Miał ze sobą trzyletniego Danego i gdyby razem wypadli z pędzącego pociągu, chłopiec by zginął. Tymczasem Davy'emu nic się nie stało, przynajmniej w sensie fizycznym. Pod względem psychicznym jednak bardzo ucierpiał — dodał. — Jestem pewny,

że stąd się wzięły jego problemy. Przesiedział całą noc obok trupa z obciętą głową. — Ostatnie zdanie powiedział tak cicho, że ledwie je usłyszałem.

— Skąd pan wie, że tak było?

— Fleischer znalazł chłopca obok ciała. Davy to potwierdził. Pomogłem mu przypomnieć sobie to wydarzenie. Myślałem, że to mu pomoże, ale obawiam się, iż efekt był odwrotny. Teraz wiem, że uprawianie psychiatrii bez kwalifikacji było z mojej strony chęcią odgrywania roli Pana Boga — stwierdził skruszonym głosem. — Kiedy mu to powiedziałem, wpadł w szał i zaatakował mnie. To było w moim gabinecie, w szkole, i nie można było tego zatuszować. Muszę powiedzieć, że sprawił mi tęgie lanie. Wyrzucono go ze szkoły, mimo moich protestów. Jedyne, co mi się udało, to wybronić go przed poprawczakiem.

— Czemu pan to zrobił?

— Miałem poczucie winy. Igrałem z czarną magią... tłumione wspomnienia, kiedy ożyją, mają magiczną siłę, i to doprowadziło do wybuchu. Stracił życiową szansę.

— To miało miejsce dawno temu, a pan nadal gra rolę Pana Boga — zauważyłem.

— Zdaję sobie sprawę z rozmiaru mojej winy. Pomogłem mu wrócić pamięcią do tego straszego zdarzenia. Od tego czasu jego umysł jest skoncentrowany tylko na tym.

— Tego pan nie może wiedzieć.

— Sę w tym, że wiem. Był tu dziś i nalegał, żebym mu dokładnie opowiedział, gdzie znaleziono zwłoki ojca. To była dla niego najważniejsza sprawa.

— Powiedział mu pan?

— Tak. To była jedyna możliwość pozbycia się go.

— Zaprowadzi mnie pan tam? Zaraz?

— Zaprowadzę, ale to przynajmniej godzina drogi wzdłuż wybrzeża. — Spojrzał na zegarek. — Jest wpół do pierwszej. Jeśli pojedę z panem, nie wrócę przed trzecią, a muszę być za kwadrans ósma w szkole.

— Niech pan sobie odpuści szkołę. Sam pan przed chwilą powiedział, że istnieją priorytety. Mamy do czynienia ze sprawą czyjegoś życia lub śmierci.

— Czyjego?

Opowiedziałem Langstonowi o samochodowym bagażniku, w którym ktoś oddychał.

— Z początku myślałem, że to porwanie dla okupu. Współcześni porywacze są coraz młodszy. Ale motywy porwań też się zmieniły z biegiem czasu. Coraz częściej stanowią demonstrację siły: dokonuje się ich dla czystej przyjemności okazania dominacji nad kimś innym. Bóg wie, co się dzieje w mózgu Davy'ego... albo tej dziewczyny. Może chcą odtworzyć scenę śmierci jego ojca.

Langston słuchał uważnie. Przynęta psychologiczna podziałała — nie umiał się jej oprzeć.

— Może ma pan rację. W każdym razie, niezależnie od tego, jaki motyw nim kieruje, zależało mu bardzo pilnie na odnalezieniu tego miejsca. Czy policja bierze w tym udział?

— Nie. Rodzina ofiary prosiła mnie, żebym działał na własną rękę.

— Kto to jest?

— Finansista z Los Angeles. Ojciec dziewczyny pracuje w jednej z jego firm.

— To wygląda bardziej skomplikowanie niż przestępstwo dla pieniędzy.

— Pomoże mi pan?

— Nie mam wyboru. Pojedziemy pańskim wozem, dobrze?

— Wybór należy do pana, panie Langston.

— Mam na imię Hank. Wszyscy tak do mnie mówią. — Wysiadł z samochodu. Proszę na moment wejść ze mną do domu. Zostawię żonie wiadomość.

Napisał ją na blacie fortepianu, podczas gdy ja przeglądałem książki. Miał zdumiewającą obfitość dzieł z różnych dziedzin, włącznie z prawem i historią. Autorzy książek o tematyce psychologicznej i

socjologicznej należeli do ludzi reprezentujących liberalniejsze światopoglądy w swoich dziedzinach: Erik Erikson i Erich Fromm, Paul Goodman, Edgar Z. Friedenberg.

Zostawił notatkę na pulpicie fortepianu, oświetlonym małą lampką do czytania nut. Przeczytałem ją w drodze do drzwi:

□ □6# □G□, □>□

□□□, M□□□□□□□ (□□□#□ :>□ #□&□D□□□9□, &□#, □□□□□□, □□□□□□ (□□□□>□ #, □□□  
6□□□□ 8\*□%□□□□ □)□□□□, □&□□□□ 8□□□□□□□ 8□□M□□□, □6□G#G:9\*□□□:□ 8□□□□□□  
□□(□□ □6\*□□□□□□ 8□□(□□□9\*□+□)□□□ 8□□□9□)□□□□ 8□□□□ □)□ 8□— #□&□D□ 8□□□□□□  
)□□#□□□□□ □□(M□□□□□ (□D)□\*□ ' L)9□□□, □&:□\*

%□, # □ (□□□□□>□□\*□@ □#, \*□. 1. A□

## ROZDZIAŁ 14

Ja prowadziłem, powiedziawszy Langstonowi, że może spać. Twierdził wprawdzie, że nie jest śpiący, lecz gdy wjechaliśmy na autostradę, zgasił papierosa i zasnął.

W pewnym miejscu autostrada oddalała się od wybrzeża, prowadząc przez przełęcz, a potem wracała nad morze. Linia kolejowa biegła między autostradą i górami. Miejscami widziałem błysk szyn.

Ruch na autostradzie był znikomy. Północną część hrabstwa stanowiły głównie niezamieszkane tereny. Od strony oceanu ciemność rozświetlały od czasu do czasu stacje benzynowe i latarnie gazowe; po przeciwnej stronie teren wznosił się ku skalistemu grzebieniowi pasma gór. Na polach majaczyły stada bydła, nieruchome niczym skupiska głązów.

— Nie! — zawołał przez sen Langston.

— Obudź się, Hank.

Sprawił wrażenie zamroczonego.

— Miałem straszny sen. Byliśmy we troje w łóżku i... — urwał w pół zdania, utkwivszy wzrok w autostradzie.

— Jacy troje?

— Moja żona, ja i Davy. To był nieprzyzwoity sen.



Po chwili wahania zapytałem go:

— Boisz się, że Davy może się zjawić w twoim domu?

— Przyszło mi to do głowy — przyznał. — Ale on nie skrzywdziłby żadnej osoby, którą kocham.

Widać było, że się boi. Może powinienem był zostawić go w domu, lecz za późno o tym pomyślałem. Licznik wskazywał, iż ujechaliśmy pięćdziesiąt mil.

— Jak daleko jeszcze, Hank?

— Nie wiem dokładnie. Poznam to miejsce, kiedy je zobaczę. Po lewej stronie będzie żwirowa droga, która przecina tory. Skręcisz w nią — powiedział, wpatrując się intensywnie w ciemność przed nami.

— Jak dawno tam byłeś?

— Mniej więcej trzy lata temu. Zawiózł mnie zastępca szeryfa, Fleischer.

— Po co pakowałeś się w ten interes?

— Chciałem dowiedzieć się dokładnie, jak to się stało. Personel schroniska twierdził, że Davy, kiedy tam się znalazł, był praktycznie dzieckiem autystycznym... całkowicie zamkniętym w sobie, nie odzywającym się. Chciałem się dowiedzieć, z jakiego powodu. Fleischer powiedział im niewiele, a może w ogóle nic.

— Czy rozmawiał z tobą szczerze?

— Dobrze wiesz, że policja nigdy tego nie robi. Mogę zrozumieć, iż policjant z biegiem czasu staje się zazdrosny o prowadzoną sprawę, a Fleischer, w chwili kiedy mnie tam zawiózł, pracował nad nią już od dwunastu lat.

— Powiedział ci to?

— Tak.

— W takim razie musiał podejrzewać, iż to nie był nieszczęśliwy wypadek.

— Nie znam jego prywatnej opinii. — Langston przysunął twarz do przedniej szyby. — Zwolnij, dojeżdżamy.

Kilkaset jardów przed nami w świetle nadjeżdżającej ciężarówki ujrzałem żwirową drogę, prowadzącą w lewo, pod górę.

U jej zbiegu z autostradą stał autostopowicz. Była to dziewczyna. Była odwrócona do nas tyłem i machała rozpaczliwie do kierowcy ciężarówki. Samochód nie zwalniając minął ją, potem nas.

Skręciwszy w boczną drogę, zatrzymałem się. Dziewczyna miała na oczach okulary przeciwsłoneczne, jakby noc była dla niej za jasna. Drgnęła gwałtownie i pomyślałem, że zacznie uciekać, lecz jej nogi były jak przyśrubowane do drogi.

— Sandy?

Nie odpowiedziała, jedynie mruknęła potwierdzająco. Wyobraziłem sobie tę scenę z lotu ptaka: przestraszona dziewczyna, stojąca na pustym skrzyżowaniu, i zbliżający się do niej w niewiadomych zamiarach mężczyzna. Moje motywy nie pasowały do filmowego dramatyizmu tego kadru.

— Gdzie są tamci, Sandy?

— Nie wiem. Uciekłam i ukryłam się między drzewami. — Wskazała ręką na zagajnik kalifornijskich sosen za torami. Pachniała żywicą. — Davy położył pana Hacketta w poprzek torów... wtedy się przestraszyłam. Najpierw myślałam, że się zgrywa. Nie przypuszczałam, że naprawdę chce go zabić.

— Czy Hackett jest nieprzytomny?

— Nie. Ale ma skrepowane taśmą ręce i nogi... usta też ma zaklejone taśmą. Wyglądał tak bezradnie, leżąc na torach. Wiedział, gdzie jest: poznałam to po dźwiękach, jakie wydawał. Nie mogłam tego wytrzymać, więc uciekłam. Kiedy wróciłam, już ich nie było.

Na żwirze zachrzęściły stopy Langstona. Dziewczyna cofnęła się.

— Nie bój się — powiedział.

— Kim pan jest? Nie znam pana.

Nazywam się Henry Langston. Davy prosił mnie, żebym się tobą zaopiekował.

Nie potrzebuję niczyjej opieki. Nic mi nie jest. Zabiorę się autostopem. — Mówiła z arogancką pewnością siebie, stojącą w jawnej sprzeczności z jej wewnętrzną potrzebą.

— No, no — mruknął Langston. — Nie bądź taka nieprzystępna.

— Ma pan papierosa?

— Mam całą paczkę.

— Pojadę z wami, jeśli dostanę papierosa.

Wydobył z kieszeni całą paczkę i wręczył jej bez dalszych uwag. Kiedy wyjmowała papierosa, trzęsły jej się ręce.

— Ma pan zapalniczkę?

Langston podał jej pudełko zapatek. Zapaliła jedną i zaciągnęła się głęboko dymem. W ciemnych szklach jej okularów refleks końca papierosa wyglądał jak para małych, jarzących się oczu.

— W porządku. Jadę z wami.

Usiadła na przednim siedzeniu, a Langston i ja po obu jej bokach. Wypaliła łąpczywie papierosa do końca, aż zaczął ją parzyć w palce, i dopiero wtedy wyrzuciła go do popielniczki.

— Kiepsko kombinowaliście — powiedziałem. — Czyj to był plan?

— Davy'ego.

— Co zamierzał zrobić?

— Chciał zabić pana Hacketta. Położył go na szynach, żeby przejechał go pociąg.

— A ty się na to zgodziłaś?

— Nie wierzyłam, że mówi poważnie. I miałam rację.

— Musimy to sprawdzić.

Zwolniłem ręczny hamulec. Wóz potoczył się po pochyłości drogi ku przejazdowi, oznaczonemu starym drewnianym znakiem, składającym się z dwóch skrzyżowanych listew.

— Dokąd zaciągnął pana Hacketta?

— Tu, koło drogi. — Wskazała na północną stronę skrzyżowania.

Wysiadłem z samochodu i posługując się latarką, obejrzałem torowisko. Widać było świeże znaki na żwirze, które mogły zostać wyłożone piętami, lecz nie było śladów wydarzeń opisanych przez dziewczynę.

Wróciłem do samochodu.

— Czy Davy powiedział ci, dlaczego wybrał właśnie to miejsce?

— Pewnie uważał, że jest odpowiednie. Kiedy uciekłam, prawdopodobnie zmienił zdanie.

— Czemu wybrał jako ofiarę pana Hacketta?

— Nie wiem.

Oparłem się o otwarte drzwiczki.

— Musisz się domyślać, Sandy. Pan Hackett jest... lub był... przyjacielem waszej rodziny.

— Moim przyjacielem z pewnością nie był — zastrzegła się.

— Powiedziałas to z naciskiem. Co takiego zrobił ci Hackett?

Zwróciła się do Langstona.

— Czy muszę odpowiadać na takie pytania? Jestem nieletnia, ale mam prawo do adwokata.

— Masz nie tylko prawo, będziesz go potrzebowała — powiedziałem. — Nie pomożesz sobie, trzymając język za zębami. Jeśli nie przeszkodzimy twojemu przyjacielowi, odpowiesz przed sądem jako współuczestniczka wszystkiego, czego się dopuści.

Ponownie odwołała się do Langstona, szafarza papierosów.

— Czy to możliwe?

— Niestety tak — odparł.

— Ale ja jestem nieletnia.

— Wiek nie chroni w przypadku przestępstwa, za które grozi kara śmierci — oświadczyłem. — Masz już na sumieniu porwanie. Jeśli Hackett zostanie zabity, będziesz współodpowiedzialna za zbrodnię.

Ale ja uciekłam.

— To nic nie pomoże, Sandy.

Była zaszokowana. W końcu dotarła do niej świadomość realności czasu i miejsca: tego, że tkwi w określonej sytuacji życiowej i że ta sytuacja jest marna.

Ogarnęło mnie współczucie dla niej. Sceneria tej sytuacji zaczęła się także stawać częścią mojego życia: ciemniejsza plama zagajnika na tle mroku, rozpięte z północy na południe stalowe szyny, niczym nici losu, nisko zawieszony księżyc, sprawiający wrażenie, jakby się ociągał z zajęciem.

Daleko na północy błysnęły światła lokomotywy. Zbliżała się ku nam po łuku, ciągnąc za sobą wagony towarowe; jej reflektory wykrawały z mroku setki nieczytelnych wzorów. Światła mojego samochodu oświetlały szyny; widać było, jak uginają się pod ciężarem dieslowskich silników. Wszechogarniający łoskot nadawał realizmu groźnej fantastyce tej scenerii.

Sandy wydała zduszony okrzyk i podjęła próbę wyskoczenia z samochodu. Przytrzymałem ją na miejscu i uderzyłem w policzek, bo poorwała mi paznokciami twarz. Oboje zachowywaliśmy się, jakby hałas pozbawił nas ludzkich cech.

Kiedy pociąg przejechał, Langston rzekł:

— Uspokójcie się. Nie ma potrzeby używać przemocy.

— Powiedz to Davy'emu Spannerowi.

— Powtarzałem mu to wiele razy. Miejmy nadzieję, że zaskoczy.

— Zwrócił się do dziewczyny: — Pan Archer ma rację, Sandy. Pomagając nam, pomożesz sobie. Nie wiesz, dokąd Davy mógł stąd pojechać?

— On sam nie wiedział, dokąd chce jechać. — Oddychała ciężko. — Wiele mi opowiadał o jakimś miejscu w górach, gdzie kiedyś mieszkał, ale nie wiedział dokładnie, gdzie się znajduje.

— Jesteś pewna, że istniało takie miejsce?

— To on tak twierdził. Trudno mi powiedzieć, czy to prawda. Usiadłem za kierownicą. Nasze zmagania ją rozgrzały; siedząc obok, czułem ciepło jej ciała. Pomyślałem, iż źle się stało, że rodzice nie

potrafili utrzymać jej w ryzach jeszcze przez rok lub dwa. Źle zarówno dla nich, jak i dla niej.

Jadąc na południe, zadałem Sandy szereg dalszych pytań. W odpowiedziach na tematy osobiste i dotyczące jej znajomości z Davym była powściągliwa. Z innych, ku mojej uldze, wynikało jasno, iż jeśli to Davy pobił Laurel Smith, Sandy o tym nie wiedziała, a była razem z nim przez cały dzień.

# ROZDZIAŁ 15

Kiedy wróciliśmy do Santa Teresa, było już po trzeciej. Poprosiłem Langstona, żeby przemocował z nami w motelu. Wydawał się oddziaływać uspokajająco na dziewczynę.

Sebastian słyszał, jak przyjechaliśmy, i otworzył drzwi, zanim zapukałem. Światło oblało dziewczynę, która stanęła w wyzywającej pozie, wysunąwszy do przodu jedno z krągłych bioder.

Sebastian otworzył ramiona, chcąc ją objąć, lecz ona gwałtownie się cofnęła. Zapaliwszy papierosa, pogardliwie dmuchnęła mu dymem w twarz.

— Nie wiedziałem, że palisz — powiedział niepewnie.

— Palę trawkę, kiedy mam okazję.

Weszliśmy wszyscy do pokoju Sebastiana, ja na końcu. Zwróciwszy się do mnie, zapytał:

— Gdzie pan ją odnalazł?

— Kawątek stąd, przy autostradzie. To jest pan Langston. Pomógł mi ją zlokalizować.

Uścisnęli sobie ręce. Sebastian powiedział, iż jest bardzo wdzięczny. Patrzył jednak na córkę wzrokiem, z którego wynikało, iż nie wie, za co być wdzięcznym. Siedziała na brzegu łóżka, ze skrzyżowanymi nogami, patrząc na niego.

— Nadal mamy problemy — oświadczyłem. — Chcę zaproponować parę rzeczy: po pierwsze, niech pan zabierze córkę do domu i nie wypuszcza. Jeśli pan lub żona nie będziecie mogli jej przypilnować, wynajmijcie kogoś do pomocy.

— Do jakiej pomocy?

— Przypuszczam, że psychiatrycznej. Proszę się poradzić lekarza.

— Jemu się zdaje, że zwariowałam — powiedziała Sandy w przestrzeń pokoju. — Ale to raczej on zwariował.

Nie zwracałem na nią uwagi.

— Czy pan ma dobrego adwokata, panie Sebastian?

— Nie. Jeszcze nigdy nie potrzebowałem adwokata.

— Teraz będzie pan potrzebował. Niech pan się postara o dobrego prawnika od spraw kryminalnych i da mu możliwość porozmawiania z Sandy. Dzisiaj! Ona jest w poważnych tarapatkach i musi współpracować z aparatem sprawiedliwości.

— Wolałbym jej w to nie mieszać.

— Nie ma pan wyboru.

— Nie chcę o tym słyszeć. Pani Marburg wyraźnie panu powiedziała, iż nie życzy sobie rozgłosu.

— Porozmawiam o tym z panią Marburg. Sprawa zbyt się rozrosła, żebym sam mógł dać sobie z nią radę.

Sandy rzuciła się do drzwi, ale Langston złapał ją jedną ręką wpół. Przypaliła mu papierosem przegub. Obróciwszy ją tak, że zrobiła piruet, pchnął z powrotem na łóżko i stanął nad nią, dysząc. Poczulem zapach przypalonych włosów.

Ktoś zaczął walić w przeciwległą ścianę.

— Skończcie tę orgię, świntuchy!

Sebastian patrzył na córkę udręczonym wzrokiem, uświadomiwszy sobie, iż stała się źródłem kłopotów. Zastanawiał się, jak wielkie mogą być te kłopoty.

— Wynośmy się stąd — powiedziałem. — Chce pan zadzwonić do żony?

Chyba powinienem, prawda? „Poszedł do telefonu, lecz musiał odczekać dłuższą chwilę, nim zgłosił się operator centrali. Żona odezwała się natychmiast.



— Mam wspaniałą wiadomość — zaczął niepewnym głosem. — Sandy jest ze mną. Wracamy razem do domu. — Oczy mu zwilgotniały. — Tak, czuje się dobrze. Zobaczymy się za parę godzin. Prześpij się teraz.

Odwiesiwszy słuchawkę, zwrócił się do Sandy:

— Twoja matka prosiła, żebym ci powiedział, że cię kocha.

— Co mi z tego?

— Czy już cię w ogóle nie obchodzimy?

Przekreśliła się na łóżku twarzą do materaca i leżała tak, milcząca i nieruchoma. Poszedłem do przyległego pokoju i zatelefonowałem do biura agencji detektywistycznej w San Francisco. Automatyczna sekretarka odpowiedziała mi, że Willie Mackey jest w swoim mieszkaniu przy California Street. Zadzwo niwszy pod podany numer, usłyszałem zaspany głos:

— Słucham, Mackey.

— Mówi Lew Archer. Jesteś dziś zajęty?

— Mogę nie być.

— To dobrze. Mam dla ciebie robotę na Półwyspie. To tylko śledzenie faceta, ale sprawa może się okazać poważna. Masz ołówkę?

— Poczekaj chwilę. — Willie odszedł od telefonu i zaraz wrócił.

— Dyktuj.

— Wiesz, gdzie jest motel Sandmana w Pało Alto?

— Przy Camino Real. Mieszkałem w nim.

— Ten człowiek nazywa się Jack Fleischer. Jest emerytowanym zastępcą szeryfa z Santa Teresa. Prawdopodobnie zjawi się tam dziś w nocy. O ile to możliwe, chcę wiedzieć, po co przybył, gdzie chodził i z kim rozmawiał. Nie strać go z oczu, nawet gdybyś musiał wydać trochę pieniędzy.

— Ile to jest „trochę”?

— Pozostawiam to do twojego uznania.

— Powiesz mi, co tu jest grane?

— Może to wiedzieć Jack Fleischer. Ja nie... prócz tego, że chodzi o życie człowieka.

— Kim jest ten człowiek?

— Nazywa się Hackett. Został uprowadzony przez dziewiętnastolatka nazwiskiem Davy Spanner. — Opisałem ich obu, na wypadek, gdyby pojawili się na terytorium Williego. — Hackett jest kreuzsem, ale jego uprowadzenie nie wygląda na porwanie dla okupu. Spanner jest socjopata o schizoidalnej osobowości.

— To może być zabawne. Jadę do Paño Alto, Lew.

Wróciłem do pokoju Sebastiana. Sytuacja nie uległa zmianie: dziewczyna dalej leżała twarzą w dół, a Langston stał nad nią.

— Podwożę cię do domu — zaproponowałem mu. — Przykro mi, że zawałem ci noc.

— Nie zawałem. Cieszę się, że mogłem ci pomóc. Możesz dalej na mnie liczyć. Jeszcze jedno: myślę, że powinienem powiadomić miejscową policję.

— Pozwól, że sam się tym zajmę, zgoda?

— Zgoda.

Na moje polecenie dziewczyna wstała i we czworo pojechaliśmy przez miasto. W domu Langstona paliło się światło. Jego żona, ubrana w czerwony chiński szlafrok, wybiegła, żeby go przywitać.

— Nie powinnaś biegać — zgał ją. — Leżałaś w łóżku?

— Nie mogłam zasnąć. Bałam się, że coś ci się stanie. — Do mnie powiedziała z wyrzutem: — Przyrzekł pan, że nie zatrzyma go na całą noc.

— To nie była cała noc. Jest dopiero czwarta.

— Dopiero czwarta!

— Nie powinnaś stać tu na tym zimnie. — Langston wprowadził ją do domu. Zanim zamknął drzwi, podniósł na pożegnanie rękę.

Jazda na południe do Malibu odbyła się w ponurej atmosferze. Dziewczyna siedziała, milcząc, między mną a ojcem. Kilkakrotnie próbował wszcząć z nią rozmowę, lecz udawała głuchą.

Widziałem wyraźnie, że zmieniawszy reguły gry — udając ofiarę

jego przemocy — zdobyła nad nim przewagę. Miał więcej do stracenia niż ona. Przegrywał tę grę, lecz nie tracił nadziei, iż znajdzie jej słaby punkt. Ale ona się zachowywała, jakby miała coś w zanadru.

Wysadziłem ich na parkingu, na którym Sebastian zostawił swój wóz. Poczekalem, aż wsiedli do niego i z rury wydechowej wydobył się kłęb niebieskiego dymu. Sandy nie próbowała znów uciec; prawdopodobnie doszła do wniosku, iż nie ma dokąd.

Ocean był w fazie kulminacji przypływu; w prześwitach pomiędzy budynkami wąskiego miasta widziałem ryczące grzywacze, wylewające się na brzeg i lekko fosforyzujące w bladym świetle poranka.

Było za wcześnie na rozpoczęcie następnego dnia. Zajechałem do pierwszego motelu, żeby się przespać.

## ROZDZIAŁ 16

Zbudziłem się punkt ósma. Było jeszcze ciągle bardzo wczesnie, lecz w brzuchu burczało mi z głodu. Wyszedłszy z pokoju, zjadłem szynkę z rusztu, dwa obustronnie obsmażone jajka, stertę tostów oraz naleśniki z syropem malinowym i wypilem kilka filiżanek czarnej kawy.

Najadłszy się, poczułem, że jestem gotów do rozmowy z panią Marburg. Pojechałem do posiadłości Hacketta bez telefonicznego uprzedzenia. Brama była otwarta. Okrążałem sztuczne jezioro z silnym uczuciem #Q&R2. Kaczki nie wróciły na wodę, natomiast łyski nadal pływały przy przeciwległym brzegu.

Pod domem stał cadillac coupe z wymalowanym na drzwiczkach kaduceuszem. Drzwi otworzył młodo wyglądający mężczyzna o inteligentnym spojrzeniu i stalowoszarych włosach.

— Doktor Converse — przedstawił się. — Jest pan policjantem?

— Tylko prywatnym detektywem. Działam na zlecenie pani Marburg. — Wymieniłem swoje nazwisko.

— Nic mi o panu nie wspomniała. — Wyszedł przed dom, zamykając za sobą drzwi. — Co tu się właściwie dzieje? Czy coś się stało panu Hackettowi?

— Pani Marburg nic panu nie powiedziała?

— Widzą z jej zachowania, że zdarzyło się jakieś nieszczęście. Wyobraża sobie, iż uda się jej zatuszować intrygę, nikomu o niej nie mówiąc. Kiedy próbowałem jej poradzić, żeby wezwała policję, zrobiła mi straszną awanturę.

— Co ma do zarzucenia policji?

— Uważa, że jest skorumpowana i niekompetentna. Ma pewne prawo tak myśleć po tym, co się stało z jej poprzednim mężem.

— A co się z nim stało?

— Sądziłem, że pan wie. Piętnaście lat temu został zastrzelony na plaży. Nie znam wszystkich szczegółów, ale podobno nigdy nie wykryto mordercy. Mimo to udało mi się wytłumaczyć pani Marburg, że prawo wymaga od lekarzy i szpitali meldowania o wszystkich poważnych obrażeniach.

— Ma pan na myśli Lupe Riverę?

— Tak. Wezwałem karetkę i wysłałem go do szpitala.

— Doznał poważnych obrażeń?

— Nie potrafię tego stwierdzić. Jestem internistą, a nie chirurgiem od mózgów, a urazy głowy są trudne do ocenienia. Powierzyłem go opiece kompetentnego lekarza, doktora Sunderlanda z St. John's Hospital.

— Czy Lupe jest przytomny?

— Owszem, ale nie chce wyjawić, co się stało. — Zaczął skubać palcami moje ramię. Pachniał jakimś żywicznym olejkiem, od którego chciało mi się kichać. — Czy pan wie, kto go uderzył w głowę?

— Siedemnastoletnia dziewczyna. Lupe musi się czuć zawstydzony.

— Zna pan nazwisko tej dziewczyny?

— Sandy Sebastian.

Zasepił się.

— Jest pan pewny?

— Tak.

— Sandy nie jest agresywna.

— Jak dobrze pan ją zna, doktorze?

— Spotkałem ją zawodowo raz czy dwa. To było parę miesięcy temu. — Zaciśnął mocniej palce na moim ramieniu. — Co zaszło między nią a Lupe? Zaatakował ją?

— Wprost przeciwnie. Napastnikami byli Sandy i jej chłopak. Lupe bronił siebie i prawdopodobnie także pana Hacketta.

— Co się stało z panem Hackettem? Jestem ich lekarzem, więc może mi pan powiedzieć. — Brak mu było jednak autorytatywności. Wyglądał i mówił jak lekarz wyższych sfer, który zrobił karierę, wiedząc, jakim tonem należy przemawiać do ludzi z pieniędzmi. — Czy on też został raniony?

— Został uprowadzony.

— Dla okupu?

— Wygląda na to, że dla draki.

— Przez pannę Sebastian i jej przyjaciela?

— Tak. Znalazłem dziś w nocy Sandy i odstawiłem ją do domu. Jest teraz u rodziców w Woodland Hills. Nie jest w najlepszej formie psychicznej i myślę, że powinien ją obejrzyć jakiś lekarz. Jeśli pan jest jej lekarzem...

— Nie jestem. — Doktor Converse puścił mnie i odsunął się, jakbym nagle stał się zaraźliwy. — Spotkałem ją tylko raz, zeszłego lata, i potem już nigdy więcej. Nie mogę tam pojechać i zmusić jej do poddania się badaniu.

— Jestem tego samego zdania. Na co pan ją leczył ostatniego lata?

— Nie mogę panu tego powiedzieć. To tajemnica zawodowa.

Nić porozumienia między nami nagle pękła. Wszedłem do domu, chcąc porozmawiać z panią Marburg. Była w bawialni, półleżąc na szezlongu, zwróconym tyłem do okna. Miała sino podpuchnięte oczy i nie przebrała się od poprzedniego dnia.

— Nie odnalazł go pan, co? — spytała ochryplym głosem.

— Nie. Czy pani choć trochę spała?

— Nie zmrużyłam oka. Miałam straszną noc. Nie udało mi się sprowadzić żadnego lekarza, a kiedy w końcu przyjechał doktor Converse, zaczęłam nalegać, żebym zawiadomiła policję.

— Myślę, że to dobry pomysł. Powinniśmy wyłożyć im całą sprawę. Oni mają większe możliwości ode mnie, choćbym wynajął nawet tysiąc pomocników. Dysponują między innymi nowym systemem komputerowym do identyfikacji pojazdów. Naszą największą szansą jest wytropienie samochodu Sebastiana.

Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby, aż zasyczało.

— Chciałabym nigdy więcej nie słyszeć o tej mendzie i jego żalosznej córeczce.

— Odnalazłem ją, jeśli to panią pocieszy.

Pani Marburg usiadła.

— Gdzie ona jest?

— W domu, z ojcem i matką.

— Szkoda, że nie przywiózł pan jej do mnie. Dałabym dużo, żeby się dowiedzieć, co jej się kotłuje w głowie. Czy pan ją przesłuchał?

— Próbowałem. Nie chce nic mówić.

— Czemu to zrobiła?

— Przypuszczam, że z czystej złośliwości. Chciała dopiec ojcu.

— W takim razie czemu, na Boga, nie uprowadziła jego?

— Nie wiem. Czy miała jakąś osobistą urazę do pani syna?

— Z całą pewnością nie. Stephen traktował ją bardzo dobrze. Nie mówiąc o Gerdzie, z którą bardzo się przyjaźniły.

— Gdzie jest pani Hackett?

— Pewnie śpi w swoim pokoju. Żadna z niej pomoc. Nie ma z niej więcej pożytku niż z Sidneya. — W jej głosie słychać było ton rozdrażnionej niecierpliwości, bliskiej hysterii. Była jednym z owych nieugiętych charakterów, które w sytuacji zagrożenia starają się przejąć dowodzenie i podejmować wszelkie decyzje. Zdawała sobie jednak sprawę, iż sprawa zaczyna jej się wymykać.

— Nie da pani rady trwać bez zmruczenia oka na posterunku i sama ze wszystkim walczyć. Oblężenie może się przeciągnąć i skończyć klęską.

Pochyliła się ku mnie.

— Czy Stephen nie żyje?

— Nie wykluczam takiej możliwości. Spanner nie bawi się w gierki. Jest w stanie zabić człowieka.

— Skąd pan to wie? — Była zła. — Chce mnie pan wystraszyć po to, żebym wezwała policję?

— Podaję jedynie fakty, żeby pani mogła podjąć właściwą decyzję. W nocy Spanner położył pani syna na torach, żeby go przejechał pociąg.

Popatrzyła na mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

— Pociąg?

— Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale tak było. Dziewczyna była świadkiem. Przestraszyła się i uciekła od Spannera, co świadczy o tym, że nie kłamie.

— Co się stało ze Stephenem?

— Kiedy dziewczyna uciekła, Spanner zrezygnował ze swojego zamiaru. Co nie znaczy, że nie spróbuje tego samego po raz drugi. W Kalifornii jest dużo torów kolejowych, po których stale jeżdżą pociągi.

— Co on ma przeciw nam?

— Wątpię, czy potrafiłby to sformułować, gdyby go pani zapytała. Wydaje się, że działa pod wpływem wspomnień z dzieciństwa.

— To mi trąci fałszywą psychologią.

— Ale nie jest. Rozmawiałem w Santa Teresa z psychologiem szkolnym Davy'ego. Ojciec chłopaka został przejechany przez pociąg dokładnie w tym samym miejscu. Davy miał wówczas trzy lata i widział to.

— Gdzie jest to miejsce?

— W północnej części hrabstwa Santa Teresa, w pobliżu Rodeo City.

— Nie znam tych okolic.

— Ani ja. W tej chwili obaj mogą być już setki kilometrów stamtąd, w północnej Kalifornii, a nawet w innym stanie, w Nevadzie lub w Arizonie.



Opędzała się od moich słów, jakby były stadem brzęczących nad jej głową much.

— Widzę, że pan chce mnie przestraszyć.

— Chciałbym to osiągnąć, pani Marburg. Utrzymując rzecz w tajemnicy, niczego pani nie zyska. Działając sam, nie odnajdę pani syna... policja ma większe możliwości.

— Nie mam dobrego zdania o miejscowej policji.

— Na podstawie ich działań w przypadku śmierci pani męża?

— Tak. — Spojrzała na mnie badawczo. — Skąd pan to wie?

— Nie od pani, chociaż należało mi o tym powiedzieć. Zamordowanie pani męża i uprowadzenie syna mogą się łączyć.

— Nie przypuszczam. Kiedy Mark Hackett został zabity, Spanner miał cztery lub pięć lat.

— W jaki sposób został zabity?

— Został zastrzelony na plaży. — Pomasaowała sobie skronie, jakby śmierć męża pozostawiła niegojącą się ranę w jej umyśle.

— Na Malibu Beach?

— Tak. Mamy tam domek plażowy, a Mark wieczorami chodził na spacer. Ktoś zasedł go z tyłu i strzelił mu w głowę z pistoletu. Policja aresztowała ponad tuzin podejrzanych, przeważnie trampów i wałkoni plażowych, ale nie zdołała zgromadzić dowodów, żeby móc kogoś z nich oskarżyć.

— Czy został obrabowany?

— Jego portfel zniknął. Nigdy go nie odnaleziono. Teraz pan rozumie, dlaczego nie jestem fanką miejscowej policji.

— Mimo to są przyteczni, a zjawia się tu na pewno. Muszę mieć pani zgodę, żeby z nimi otwarcie porozmawiać.

Siedziała nieruchomo, w skupieniu. Słyszałem jej oddech, odmierzający wolno płynące sekundy.

— Chyba nie mam wyboru, muszę pójść za pańską radą. Nie mogłabym żyć ze świadomością, że Stephen został zabity w rezultacie mojej błędnej decyzji. Niech pan działa, panie Archer, proszę robić to, co pan uważa za stosowne. — Machnięciem ręki dała mi znak,

żebym sobie poszedł, lecz gdy już byłem przy drzwiach, przywołała mnie z powrotem. — Chcę oczywiście, żeby pan został przy tej sprawie.

— Spodziewałem się tego.

— Jeżeli pan znajdzie Stephena na własną rękę i przyprowadzi go bezpiecznie do domu, nadal jestem gotowa zapłacić panu sto tysięcy dolarów. Potrzebuje pan pieniędzy na bieżące wydatki?

— Przydadzą się. Zaangażowałem człowieka, detektywa z San Francisco, nazwiskiem Willie Mackey. Może mi pani dać tysiąc za liczki?

— Wypiszę panu czek. Gdzie się podziała moja torebka? Sidney!  
— zawołała głośno. — Gdzie jest moja torebka?

Z sąsiedniego pokoju wyszedł jej mąż. Miał na sobie poplamiony farbami kitel, a na nosie czerwoną plamkę. Patrzył na nas, jakbyśmy byli przezroczyści.

— O co chodzi? — spytał ze zniecierpliwieniem. — Poszukaj mojej torebki.

— Poszukaj sama. Ja pracuję.

— Nie mów do mnie tym tonem.

— Mówię całkiem normalnie.

— Nie będziemy się kłócić. Znajdź moją torebkę. Nic ci się nie stanie, jeśli zrobisz coś pożytecznego.

— Malowanie jest pożyteczne.

Uniosła się na szezlongu.

— Powiedziałam, że nie będziemy się kłócić. Przynieś mi torebkę. Powinna być w bibliotece.

— Jeśli masz robić z tego zasadniczą kwestię, to niech ci będzie.

Wyszedł i po chwili przyniósł torebkę. Wypisała mi czek na tysiąc dolarów. Marburg wrócił do swojego malowania.

Chwilę później przybyli dwaj funkcjonariusze z biura szeryfa. Pani Marburg i ja przyjęliśmy ich w głównym salonie. Doktor Converse słuchał rozmowy, stojąc przy drzwiach; jego bystre spojrzenie wędrowało od twarzy do twarzy.

Porozmawiałem najpierw z dyspozytorem patroli policyjnych na autostradzie, a potem z zastępcą szeryfa, kapitanem Aubreyem. Był potężnym mężczyzną w średnim wieku, o charakterystycznej dla silnych mężczyzn łatwości nawiązywania kontaktu osobistego. Poczuję do niego sympatię. Doktor Converse w międzyczasie odjechał, a ja zrelacjonowałem Aubreyowi wszystko, co sam wiedziałem, z jednym wyjątkiem.

Tym wyjątkiem był udział Fleischera. Jack Fleischer był świeżo emerytowanym funkcjonariuszem policji, a funkcjonariusze policji w sytuacji zagrożenia trzymają się razem. Czułem, iż rola Fleischera w tej sprawie powinna zostać zbadana przez wolnych strzelców, takich jak ja i Willie Mackey.

Chcąc mieć pełne rozeznanie w rozwoju sytuacji, w drodze do miasta wstąpiłem do komisariatu przy Purdue Street. Sierżant detektyw Prince był w takiej furii, że Janowski zaczął się o niego martwić. Laurel Smith zmarła w nocy.

## ROZDZIAŁ 17

Wszedłem po schodach do mojego biura na pierwszym piętrze na trzęsących się kolanach. Zegar na ścianie wskazywał kilka minut po dziesiątej. Odsłuchałem automatyczną sekretarkę. Parę minut przed dziesiątą zatelefonował Willie Mackey z San Francisco. Oddzwoniwszy natychmiast, zastałem go w biurze przy Geary Street.

— W samą porę, Lew. Właśnie chciałem do ciebie przekręcić. Twój Fleischer przybył do motelu Sandmana około trzeciej nad ranem. Postawiłem na straży człowieka i dogadałem się z nocnym portierem. Portier obsługuje po północy centralę telefoniczną. Fleischer kazał się obudzić o wpół do ósmej i po obudzeniu zadzwonił do niejakiego Alberta Blevinsa w hotelu Bowmana. Ten hotel jest w dzielnicy Mission. Fleischer pojechał do miasta i spotkał się z Blevinsem na śniadaniu w restauracji samoobsługowej przy Fifth Street. Potem pojechali do hotelu Blevinsa i chyba nadal tam są. Czy to wszystko razem coś ci mówi?

— Nazwisko Blevins, owszem. — Zapamiętałem je z karty ubezpieczenia społecznego Laurel Smith. — Dowiedz się o nim, co się da, i spotkajmy się na lotnisku w San Francisco.

— O której?

Wyjąłem z biurka rozkład lotów.

— O pierwszej, w barze.

Zarezerwowawszy bilet, pojechałem na międzynarodowe lotnisko w Los Angeles. Był jasny, pogodny dzień. Kiedy odrzutowiec zniżał lot nad zatoką San Francisco, odniosłem wrażenie, iż miasto — wraz z dalekim, ciemnoniebieskim zakrzywionym horyzontem — nagle wyrasta pionowo w górę. Niekończące się dachy dzielnic mieszkaniowych ciągnęły się jak okiem sięgnąć na południe Półwyspu.

Willie czekał na mnie w barze lotniska, popijając gibsona. Był inteligentnym, obytym w kręgach towarzyskich mężczyzną, naśladowającym ekstrawagancki styl życia prawników San Francisco, którzy często byli jego klientami. Wydawał pieniądze na ubrania i na kobiety. Jak dawniej, tak i teraz był przesadnie wyelegantowany. Wprawdzie jego niegdyś czarne włosy były już szpakowate, lecz bystre czarne oczy nie zmieniły wyrazu, odkąd go znałem, czyli od dwudziestu lat.

— Albert Blevins mieszka od roku w hotelu Bowmana — powiedział. — To hotel dla emerytów, jeden z lepszych w dzielnicy Mission.

— W jakim wieku jest Blevins?

— Ma około sześćdziesiątki. Nie umiem powiedzieć na pewno. Nie dałeś mi zbyt wiele czasu, Lew.

— Sam więcej nie miałem.

Wyjaśniłem mu dlaczego. Willie lubił pieniądze; gdy usłyszał o bogactwie Hacketta, oczy mu rozbłyły jak bryłki antracytu. Za okruszek jego majątku mógłby sobie kupić nową młodą blondynkę, która by mu złamała serce.

Miał ochotę na jeszcze jeden koktajl i lunch, ale poprowadziłem go do windy, a potem na parking. Wsiadliśmy do jego jaguara i pojechaliśmy wzdłuż zatoki w stronę miasta. Intensywny błękit wody i niekończąca się podmokła nizina przypomniały mi dni młodości, sprawiając, że poczułem ukłucie w sercu.

Willie przerwał ciąg moich wspomnień.

— Co wspólnego ma Albert Blevins z uprowadzeniem Hacketta?

— Nie wiem, ale sądzę, że istnieje jakiś związek. Kobieta o nazwisku Laurel Smith, która dziś w nocy umarła jako ofiara pobicia, mówiła, iż nazywała się kiedyś Laurel Blevins. Fleischer poznał ją piętnaście lat temu w Rodeo City. W tym samym czasie i w tej samej okolicy zginął mężczyzna, któremu pociąg obciął głowę. Ten mężczyzna był ojcem Davy'ego Spannera. Sprawę prowadził zastępca szeryfa, Fleischer. Zakwalifikował ją jako nieszczęśliwy wypadek i umorzył.

— Sądzisz, że było inaczej?

— Na razie wstrzymam się od opinii. Jest jeszcze inne powiązanie: Spanner był lokatorem Laurel Smith i pracował u niej. Podejrzewam, że byli sobie bliscy, może nawet bardzo bliscy.

— To nie on ją zabił?

— Nie wydaje mi się. Rzecz w tym, że ludzie i miejsca zaczynają się powtarzać. — Opowiedziałem Williemu o nocnej scenie na skrzyżowaniu z torem kolejowym. — Sprawę można by błyskawicznie zamknąć, gdyby mi się udało zmusić Fleischera i Blevinsa do zeznań. Zwłaszcza Fleischera. Przez cały ostatni miesiąc podsłuchiwał mieszkanie Laurel w Pacific Palisades.

— Myślisz, że ją zabił?

— Niewykluczone. A jeśli nie on, to może wiedzieć, kto to zrobił.

Kiedy wjechaliśmy do miasta, Willie skupił się na prowadzeniu. Zostawił samochód w podziemnym garażu przy Geary Street, po czym poszliśmy do jego biura, by sprawdzić, czy są wiadomości od człowieka śledzącego Fleischera. Okazało się, że tak. Fleischer zostawił Blevinsa w hotelu i gdy agent dzwonił, poszedł do zakładu kserograficznego Acme Photocopy Service. To już była jego druga wizyta w tym punkcie. Wstąpił do niego w drodze do hotelu Bowmana.

Poszedłem tam. Acme Service było jednoosobową firmą, mieszczącą się w ciasnym lokalu przy Market Street. Kserokopiarkę obsługiwał chudy, kaszlący mężczyzna, który za pięć dolarów powiedział mi, co Fleischer kopiował. Za pierwszym razem była to tytułowa strona starej gazety, za drugim jeszcze starsze świadectwo urodzenia.

— Czyja to była metryka?

— Nie wiem. Chwileczkę... zdaje się, że figurowało na niej imię Jasper.

Czekałem, ale niczego więcej nie mogłem sobie przypomnieć.

— Co było w tej gazecie?

— Nie czytałem jej. Gdybym czytał wszystko, co kopiuję, to bym oślepl.

— Powiedział pan, że była stara. Z jakich mogła być lat?

— Nie zwróciłem uwagi na datę, ale papier był żółty. Musiałem się z nią ostrożnie obchodzić. — Zakaszał i odruchowo zaciągnął się papierosem. To wszystko, co wiem, proszę pana. O co w tym wszystkim chodzi?

Poszedłem do hotelu Bowmana, mając nadzieję znaleźć odpowiedź na to pytanie. Hotel był brudnym budynkiem z białej cegły, cztery rzędy jego regularnie rozstawionych okien frontowych wychodziły na magazyny kolejowe. Niektóre z okien miały przybite do zewnętrznej framugi drewniane skrzynki, zastępujące lodówki.

W hallu pełno było starych mężczyzn. Byłem ciekaw, gdzie się podziewają stare kobiety.

Jeden z mężczyzn poinformował mnie, że pokój Blevinsa znajduje się na pierwszym piętrze, przy końcu korytarza. Poszedłem tam i zapukałem do drzwi.

Wewnątrz odezwał się chrapliwy głos:

— Kto tam?

— Nazywam się Archer. Chciałbym z panem porozmawiać, panie Blevins.

— O czym?

— O tym samym, co mój poprzednik.

Zgrzytnął klucz w zamku, po czym drzwi uchyliły się na parę cali. Albert Blevins nie był bardzo stary, lecz ciało miał wykoślawione, a na pomarszczonej twarzy widniał trwały wyraz przegrania. Miał czyste, niebieskie oczy, które jak na człowieka nigdy nie zaakceptowanego przez społeczeństwo patrzyły dziwnie niewinnie. Takich jak on mężczyźn widywało się w miasteczkach, na pustyni, przy drogach. Pod koniec życia gromadzili się w zakamarkach dużych miast.

— Zapłaci mi pan tyle co on? — spytał.

— Ile?

— Pięćdziesiąt dolarów. Jeżeli pan mi nie wierzy, niech go pan zapyta. — Nagle w głowie zaświtało mu podejrzenie, zobaczyłem na jego twarzy strach. — Czy pan jest z opieki społecznej?

— Nie.

— Chwała Józefatowi. Człowiek ma szczęście, trafia mu się gratka, a oni odejmują mu to od zasiłku i szczęście diabli wzięli.

— Nie powinni tak robić.

Zgodność naszych poglądów sprawiła mu ulgę. Otworzył szeroko drzwi i zaprosił mnie do wnętrza. Pokój był kwadratem o boku mającym dziesięć stóp, w którym stało krzesło, stół i łóżko. Zewnętrzne żelazne schodki przeciwpożarowe przecinały pojedyncze okno niczym znak unieważnienia.

W pokoju czuć było kwaśny zapach staroci. Pochodził, jak się domyślałem, z otwartej walizeczki z dermy, która leżała na łóżku. Część jej zawartości była rozłożona na stole, jakby Blevins przejrzał swoje pamiętki, a potem część z nich wystawił na sprzedaż.

Niektóre z nich rozpoznałem z daleka: nóż rybacki z szerokim ostrzem i przymocowanymi do niego kilkoma starymi odważnikami



w kształcie łoża; świadectwo ślubu, poznaczone głębokimi śladami po złożeniach; paczka listów związanych brązowym sznurowadłem; kilka pocisków do strzelby i srebrna jednodolarówka w siatkowym woreczku; miniaturowy kilof górniczy; kilka staroświeckich fajek; postrzępiona łapka królicza; parę sztuk czystej bielizny i skarpetek; szklana kula, której potrząśnięcie wzniecało wewnątrz miniaturową śnieżycę; zezujące na nas swoim okiem pióro pawia i szpon orła.

Usiadłszy przy stole, wziąłem do ręki świadectwo ślubu. Było podpisane przez urzędnika stanu cywilnego i stwierdzało, iż 3 marca 1927, w San Francisco, Albert D. Blevins ożenił się z Henriettą R. Krug. Albert miał wtedy dwadzieścia lat, a Henrietta siedemnaście, co oznaczało, iż obecnie miałyby ponad sześćdziesiąt.

— Kupi pan ode mnie świadectwo ślubu?

— Mogę kupić.

— Tamten za metrykę dał mi pięćdziesiąt. Świadectwo mogę panu sprzedać za dwadzieścia pięć. — Usiadł na krawędzi łóżka. — Nie jestem do niego przywiązany. Małżeństwo z nią było moim wielkim błędem. Nie powinienem był się żenić z żadną kobietą: Henrietta powtarzała mi to setki razy, jak już się pobraliśmy. Ale co ma człowiek zrobić, kiedy dziewczyna mówi mu, że wpędził ją w ciążę?

Rozłożył ręce, opierając je na kolanach obleczonych spłowiałymi dżinsami. Boleśnie pokurczone palce przypominały oderwaną od dna rozgwiazdę.

— Właściwie nie powinienem się skarżyć — dodał po chwili. — Jej rodzice potraktowali nas dobrze. Oddali nam swoją farmę, a sami przenieśli się do miasta. Pan Krug nie był winien temu, że mieliśmy trzy kolejne lata suszy: nie było wody ani paszy i wszystkie zwierzęta padły. Nie mam nawet pretensji do Etty, że mnie porzuciła. Życie na wyschniętej farmie było beznadziejne. Tyle mieliśmy z niego, że chodziliśmy ze sobą do łóżka, ale i to się skończyło, zanim jeszcze urodziło się dziecko. Sam odebrałem poród i jak sądzę, bardzo przy

tym cierpiała. Nigdy więcej nie pozwoliła mi się do siebie zbliżyć.

Mówił jak ktoś, kto od wielu lat nie miał się komu zwierzyć. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem, co się ograniczało do czterech kroków w każdą stronę.

— Jak tu mieszkać z piękną dziewczyną, która cię do siebie nie dopuszcza? Zacząłem ją źle traktować, a chłopca jeszcze gorzej. Biłem go regularnie, mszcząc się za to, że jego przyście na świat odcięło mnie od bzykania. Często biłem go aż do krwi. Kiedy Etta próbowała mnie powstrzymać, biłem ją również.

Spokojne niebieskie oczy patrzyły na mnie z góry. Czułem chłód jego niewinności.

— Pewnej nocy uderzyłem ją o jeden raz za dużo. Chwyliła kuchenną lampę i rzuciła nią we mnie. Uchyliłem się, ale nafta rozlała się na rozpalonym piecyku i kuchnia stanęła w ogniu. Zanim go ugasiłem, nie było już większej części domu. Nie było również Etty.

— Czy to znaczy, że spłonęła w pożarze?

— Nic takiego nie powiedziałem. — Był zirytowany, gdyż źle zinterpretowałem jego zwierzenie. — Uciekła. Nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

— Co się stało z pańskim synem?

— Z Jasperem? Przez jakiś czas był ze mną. To było na początku kryzysu. Dostałem rządową pracę jako robotnik drogowy, znalazłem trochę desek, kupiłem papę i zbudowałem nad resztkami domu dach. Mieszkałem tam z Jasperem jeszcze przez parę lat. Traktowałem go lepiej, ale on mnie nie lubił. Zawsze się mnie bał. Za nic go nie obwiniam. Kiedy skończył cztery lata, zaczął uciekać. Próbowałem go wiązać, ale nauczył się rozwiązywać węzły. Cóż mogłem począć? Zawiozłem go do dziadków, do Los Angeles. Pan Krug był strażnikiem w jednej z kompanii naftowych. Zgodzili się przyjąć wnuka. Potem kilkakrotnie przyjeżdżałem go odwiedzić, ale on rzucał się na mnie z pięściami, więc przestałem przyjeżdżać. Wyjechałem ze stanu,

kopałem srebro w Kolorado, łowiłem łososie na Alasce. Któregoś dnia łódź się wywróciła. Dopłynąłem do brzegu, ale zachorowałem na obustronne zapalenie płuc, które mnie wykończyło do tego stopnia, że wróciłem do Kalifornii. To już koniec mojej smutnej historii. Jestem tu od dziesięciu lat.

Usiadł z powrotem. Nie był ani smutny, ani wesoły. Oddychając powoli i głęboko, patrzył na mnie z pewnym rodzajem satysfakcji. Dźwignął na chwilę ciężar swojego życia i położył go w tym samym miejscu.

Spytałem go:

— Czy pan wie, co się potem działo z Jasperem? — To pytanie uświadomiło mi moją własną niepewność; wszelkie ślady wskazywały na to, iż Jasper Blevins zginął przed piętnastu laty pod kołami pociągu.

— Wyrósł i ożenił się. Rodzice Etty przystali mi zawiadomienie o ślubie, a siedem miesięcy później list z zawiadomieniem, że mam wnuka. To było prawie dwadzieścia lat temu, kiedy przebywałem w Kolorado, ale utkwilo mi w głowie owe siedem miesięcy. To oznaczało, iż Jasper musiał się ożenić z tych samych powodów co niegdyś ja. Historia się powtarza — dodał. — Nie mogłem jednak dopuścić, żeby powtórzyła się do końca. Zdecydowałem się trzymać z dala od mojego wnuka, nie chcąc, żeby się mnie bał. Odciałem wszelkie więzy, postanowiłem odtąd żyć samotnie.

— Ma pan ten list?

— Chyba tak.

Rozwiązał brązowe sznurowadło, opasujące paczkę listów. Pogrzebawszy w nich niezdarnymi palcami, odszukał niebieską kopertę. Wyjął z niej kartkę, powoli ją przeczytał, ruszając wargami, po czym mi ją wręczył.

List był napisany spłowiałym niebieskim atramentem, na niebieskim papierze listowym:

8 H\*+  
 - . '   
 >+  
 / # /"  
 % 5\*0  
 %\* <\*0?/ > :>+ #

5 ( )\$

<# & #, # ( 8 8 # & G# ) ( # 8 D)\*  
 8 #, #M>, , #, #9 # 8 8 # 8 \*  
 # D , P> ) , 8 D , ( # 8 D &\* ; D >  
 ( # , >G ; G 9 , 9 : M # , ( ) , M 8 B > ,  
 # 8 5 # > : L 8 , : \* # ( 8 D ) >  
 # & # # — : : # , ( ) , 9 9 # : # M\*  
 % & 9 8 9 5 # > ) : ( , > & & 8 8 8 \*  
 ; D # , # : 8 \*% ( D , & ) , P ( : > ( 9 ) , 2  
 # 0\* & > & > , 8 8 8 , ) \* ; > B # , ( ) 2  
 : , , M , , ( ) , > 8 ; L2  
 & , M P 9 \$ 8 M\* J ( G & > & ) > ( : )  
 6 & , , \*

( : ) ( M ) D ( )

8

% 8 D 8 G # ) ( # 8 D ) # \*

\*H\*+\*

— Ma pan to zawiadomienie o ślubie? — spytałem Blevinsa.

— Miałem, ale dałem je temu człowiekowi, razem ze światem urodzenia.

— Czyjego urodzenia?

— Jaspera. On się interesował Jasperem.

— Czy powiedział dlaczego?

— Nie. Fleischer trzyma karty przy sobie. Czy to prawda, że jest policjantem?

— Byłym.

— Czemu te dokumenty go interesują?

— Nie wiem.

— Pan chce się dowiedzieć tego, co pana interesuje — rzekł Blevins. — Nie przybył pan po to, żeby usłyszeć historię mojego życia.

— Przy okazji trochę się o panu dowiedziałem.

— Nawet sporo. — Uśmiechnął się tak szeroko, iż zauważyłem, że ma tylko sześć górnych zębów. — Dlaczego nagle wszyscy zainteresowali się Jasperem? Za co mi płacicie? Za co pan mi chce zapłacić?

Zamiast odpowiedzi wyjąłem z portfela trzy dwudziestki i rozłożyłem je na wolnej części stołu. Blevins rozpiął koszulę i wydobył woreczek z impregnowanego materiału, wiszący mu u szyi na brudnym rzemyku. Złożywszy dwudziestki w kilkoro, umieścił je w woreczku, który następnie ukrył z powrotem w siwych kudłach na piersi.

— Dwadzieścia pięć za świadectwo ślubu — powiedziałem. — Dwadzieścia pięć za list i dziesięć za autobiografię.

— Za co?

— Za opowieść o swoim życiu.

— Aha. Bardzo panu dziękuję. Potrzeba mi trochę ciepłej odzieży. W sklepach z używanymi rzeczami sześćdziesiąt dolarów to majątek.

Odbierając od niego list i świadectwo ślubu, miałem poczucie, że jestem tanim kupcem. Kiedy chowałem je do wewnętrznej kieszeni na piersi, natrafiłem na zdjęcie, które mi dała pani Fleischer. Pokazałem je Blevinsowi, przypomniawszy sobie z przykrością, że Laurel umarła w nocy.

— Poznaje pan tę kobietę, panie Blevins?

— Nie.

— Czy to jest dziewczyna, z którą Jasper wziął ślub?

— Nigdy jej nie spotkałem.

Gdy oddawał mi zdjęcie, nasze dłonie na moment się zetknęły. Doznałem naglego wstrząsu, jak przy porażeniu prądem: zabrzęczało

mi w uszach i poczułem pieczenie, jakbym dotknąwszy ciała, należącego do przeszłości, uziemił teraźniejszość.

Przeszłość na chwilę uległa rozmazaniu, jak oglądana przez łyżę. Ojciec Davy'ego zginął gwałtowną śmiercią. Jego matka padła ofiarą przemocy. On sam szalał gdzieś na szlaku, który zawracał ku Albertowi Blevinsowi. To dziwne doznanie sprawiło, że po raz pierwszy uświadomiłem sobie, co musiał czuć Davy.

— Nie — powtórzył Blevins. — Nigdy nie widziałem żony Jaspersa. Przystojna z niej klaczka.

— Już nie.

Zabrałem mu zdjęcie i wyszedłem, nim którykolwiek z nas zdążył zadać następne pytanie.

## ROZDZIAŁ 18

Wróciłem taksówką do biura Williego, kupiwszy po drodze gazetę. Zniknięcie Stephena Hacketta było tematem dnia. Gazeta nie podawała zbyt wielu szczegółów, lecz dowiedziałem się, iż Hackett jest uważany za jednego z najbogatszych ludzi w Kalifornii.

Willie Mackey doniósł mi, że Jack Fleischer wyprowadził się z motelu Sandmana i pojechał na południe. Tajniak Williego stracił go z oczu na autostradzie powyżej San Jose, gdyż miał wolniejszy samochód.

Porozmawiałem z nim, kiedy wszedł do biura. Okazał się poważnym, ostrzyżonym najeża młodym człowiekiem, głęboko sfrustrowanym, ponieważ Fleischer mu się wymknął. Nazywał się Bob Levine. Sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę skopać ozdobne, obite czerwoną tapicerką meble w biurze Williego.

— Nie martw się—pocieszyłem go. — Wiem, gdzie Fleischer mieszka. Złapię go na południu. Szkoda byłoby twojej fatygi.

— Szczerze?

— Szczerze. Czy w czasie, kiedy go śledziłeś, odwiedził jeszcze kogoś poza Albertem Blevinsem?

— Nie, jeśli nie liczyć wizyty w kserokopiami Acme. Nie miałem czasu, żeby wypytać właściciela.

— Też tam byłem. Spróbuj jeszcze raz. Może coś przede mną ukrył. Sprawdź, czy nie ma drugich kopii gazety i metryki, które Fleischer mu zaniósł.

— Jeśli ma, wyciągnę mu choćby z gardła — odparł Levine. — Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia?

— Odwieź mnie na lotnisko. — Spojrzałem na zegarek. — Zdamy jeszcze wstąpić do motelu Sandmana.

Warto było nadłożyć drogi przez Camino Real. Dziewczyna w motelu Sandmana właśnie sprzątała pokój po Fleischerze. Jediną rzeczą, jaką zostawił w koszu na śmieci, był egzemplarz tej samej gazety, którą kupiłem, z wyciętym materiałem na temat Hacketta.

Jakikolwiek był cel działań Fleischera, nasze drogi bezustannie się krzyżowały. W tym momencie wyprzedzał mnie o krok. Obliczyłem, ile czasu będę miał w Los Angeles, nim on tam dotrze, jadąc samochodem. Okazało się, że trzy godziny.

Pierwszą z tych godzin straciłem, jadąc w gęstym ruchu z międzynarodowego lotniska w Los Angeles do domu Sebastiana w Woodland Hills. Nie uprzedziłem go telefonicznie o moim przyjeździe, bo nie chciałem, żeby mi oznajmił, iż nie mogę porozmawiać z jego córką. Wyjeżdżałem z lotniska za dnia, lecz nim przegrzany silnik mojego samochodu dowiózł mnie na wzgórze Sebastiana, było już ciemno.

Przed domem stał wóz policyjny hrabstwa Los Angeles. Gadające w nim z przerwami radio sprawiało wrażenie, jakby samochód potrafił mówić i skarżył się na stan świata. Kiedy zadzwoniłem do drzwi, otworzył mi ponuro wyglądający zastępca szeryfa.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym porozmawiać z panem Sebastianem.

— Pan Sebastian jest w tej chwili zajęty. Jest pan adwokatem?

— Nie. — Wyjaśniłem, kim jestem. — Pan Sebastian będzie chciał ze mną porozmawiać.

— Zapytam go.



Zamknął drzwi. Czekałem kilka minut, przysłuchując się gadaniu radia w wozie patrolowym. Otworzyły się drzwi i zobaczyłem Sebastiana. Zmienił się, wyglądał jak bokser po piętnastorundowej walce. Zmierzwiona kępa włosów na czole prosiła się o grzebień. Był blady, jego oczy wyrażały rezygnację. Tuż za nim stał zastępca szeryfa, niczym dozorca więzienny.

— Zabierają ją—powiedział Sebastian. — Chcą ją wsadzić do więzienia.

— Nie do więzienia — poprawił go zastępca szeryfa. — Pójdzie do aresztu.

— Nie wyznaczyli kaucji? — spytałem Sebastiana.

— Owszem, ale nie mam dwudziestu tysięcy dolarów.

— To dużo.

— Planowany napad to bardzo poważny zarzut — oświadczył policjant. — Do tego dochodzi udział w uprowadzeniu...

— Mimo wszystko to dużo.

— Sędzia jest innego zdania.

— Może pan zostawić nas na chwilę samych? Chciałbym porozmawiać z panem Sebastianem na osobności.

— Powiedział pan, że nie jest adwokatem. Nie ma pan prawa udzielać porad.

— Pan również. Proszę nam dać trochę swobody, kolego.

Zniknął z pola widzenia, pozostając prawdopodobnie w zasięgu słuchu.

— Kto jest pańskim adwokatem? — spytałem Sebastiana.

— Zadzwoiłem do prawnika, który mieszka w Van Nuys. Nazywa się Arnold Bendix. Powiedział, że zaraz przyjedzie.

— Jest już wieczór. Co pan robił przez cały dzień?

— Sam nie wiem. — Spojrzał w głąb domu, jakby dzień jeszcze w nim trwał, czyhając na niego z nowymi przykrościami. — Prokurator okręgowy przysłał dwóch ludzi. Przeprowadziliśmy długą rozmowę z Sandy, chcąc się zorientować w tym całym kramie.

— Siedzeniem i rozmawianiem niczego nie osiągniecie. Proszę sprowadzić adwokata i lekarza. Powinniście przekonać stróżów prawa,

żeby pozwolili wam zatrzymać córkę w domu przez noc. To da adwokatowi czas na skontaktowanie się z sędzią i sprawdzenie, czy nie zgodzi się na obniżenie kaucji. Może do dziesięciu tysięcy. Poręczyciel będzie pana kosztował około tysiąca. Wysokość tych sum go zaskoczyła.

— Skąd wezmę tyle pieniędzy? Jestem pewny, że wylecę z pracy.

— Niech pan się zwróci do lichwiarzy. Oni się tym zajmują.

— Ile to będzie kosztowało? — spytał żałośnie.

— Sto lub dwieście dodatkowo. Ale nie rozmawiajmy o pieniądzach. Pomówmy o tym, jak uchronić pańską córkę przed pójściem do więzienia.

Pojał moją aluzję. Nagle objawił mu się sens jego życia, zrazu niejasno, jakby za pośrednictwem satelity komunikacyjnego. Wyraz rezygnacji w jego oczach ustąpił miejsca nadziei. Ciągłe były rzeczy, które mógł jeszcze zrobić.

Poszedł do telefonu i wezwał swojego lekarza rodzinnego, doktora Jeffreya z Canoba Park. Doktor nie chciał przyjechać, ale Sebastian powiedział mu, że musi. Potem zadzwonił do adwokata i powiedział mu to samo.

Poszliśmy do salonu w towarzystwie zastępcy szeryfa, zachowującego się, jakby podejrzewał, że planujemy zbiorową ucieczkę. Zastaliśmy w nim Bernice Sebastian — spiętą, wymizerowaną, lecz ubraną w elegancką czarną suknię. Była w towarzystwie zadziornej blondynki w moim wieku, w niebieskim kostiumie przypominającym mundur.

Powiedziała, że jest kuratorem i nazywa się Sherrill. Wyjaśniłem jej, że Jake Belsize jest moim znajomym.

— Rozmawiałam z nim dziś po południu — oświadczyła. — Jest bardzo zmartwiony całą tą sprawą. Wyrzuca sobie, że niedostatecznie pilnował Spannera.

— Trochę poniewczasie — mruknęła pani Sebastian.

— Było, minęło, zapomnijmy o tym — powiedziałem do nich, a Sherrill zapytałam: — Czy Belsize ma jakiś pomysł?

— Jego pomysł to przysłanie mnie tutaj. Problem w tym, że dziewczyna nie chce ze mną rozmawiać. Próbowałam uświadomić jej rodzicom, że lepiej będzie dla Sandy, jeśli okaże jakąś wolę współpracy.

— Sandy nie nadaje się do przesłuchiwania — stwierdził Sebastian. — Zażyła środki uspokajające i leży w łóżku. Doktor Jeffrey i mój adwokat Arnold Bendix są już w drodze.

— Nie możemy czekać całą noc — rzekł zastępca szeryfa. — Mamy nakaz aresztowania. Naszym obowiązkiem jest ją zabrać.

— Wstrzymajmy się jeszcze, Tom — powiedziała Sherrill. — Zobaczmy, co powie lekarz.

Zastępca szeryfa usiadł oddzielnie w rogu pokoju. Zaległa grobowa cisza. Atmosfera przypominała pogrzeb lub czuwanie przy łóżku umierającego. Pakując się w kłopoty, Sandy stała się najważniejszą osobą w domu. Zastanawiałem się, czy takie miała intencje-

Przybył doktor Jeffrey — młody, zagoniony człowiek. Matka Sandy zaprowadziła go do jej sypialni. Chwilę później przyjechał adwokat. We dwójkę zdołali przekonać zastępcę szeryfa i panią Sherrill, żeby odłożyć rzecz do rana.

Pierwszy opuścił dom lekarz, jego czas był najcenniejszy. Towarzyszyłem mu do rovera. Zgodził się niechętnie na parę minut rozmowy.

— W jakim stanie psychicznym jest Sandy?

— Jest przestraszona i zakłopotana, trochę zdenerwowana i oczywiście bardzo wyczerpana.

— Czy jest w stanie odpowiedzieć na parę moich pytań?

— To konieczne?

— Od tego może zależeć życie człowieka. Sądzę, że pan nie wie, co tu się dzieje...

— Piszą o tym wieczorne gazety. Moim zdaniem jest to mocno przesadzone. Jak taka dziewczyna może być zamieszana w uprowadzenie?

— Nie ulega wątpliwości, że jest. Mogę z nią porozmawiać?

— Pięć minut, nie więcej. Potrzebny jej spokój.

— Co z badaniem psychiatrycznym?

— Poczekamy do jutra. Młodzi ludzie mają ogromne zdolności regeneracyjne.

Odwrócił się, zamierzając wsiąść do samochodu, ale zadałem mu następne pytanie.

— Od jak dawna pan się nią opiekuje, doktorze?

— Trzy lub cztery lata. Od chwili gdy wyszła spod kurateli pediatry.

— Ostatniego lata leczył ją doktor Converse z Beverly Hills. Wie pan o tym?

— Nie. — Udało mi się wzbudzić w nim zainteresowanie. — Nie znam takiego nazwiska. Na co ją leczył?

— Nie chciał mi tego zdradzić. Panu prawdopodobnie powie. Może to nas na coś naprowadzi.

— Tak pan sądzi? Zadzwońię do niego.

Zastępca szeryfa i pani Sherrill wsiedli do wozu patrolowego i pojechali za roverem doktora Jeffreya. Bernice Sebastian stała w otwartych drzwiach domu, patrząc, jak odjeżdżają.

— Dzięki Bogu pozbyliśmy się ich, przynajmniej do jutra. Jesteśmy panu wdzięczni za wzięcie sprawy w swoje ręce, panie Archer.

Widać było, że z trudem znosi targające nią emocje. Patrzyła na mnie pustym, niewidzącym wzrokiem.

— Pani mąż objął dowództwo. Udzieliłem mu kilku rad. Mam za sobą wiele podobnych wieczorów rodzinnych.

— Ma pan dzieci?

— Nie. Przyzwyczailem się żyć z tym nieszczęściem.

Wpuściła mnie do domu i zamknawszy drzwi, oparła się o nie, jakby chciała zabarykadować dom przed naporem ciemności.

— Pozwolą nam ją zatrzymać?

— To zależy od kilku rzeczy. Macie problemy rodzinne, których źródłem nie jest wyłącznie Sandy. Istnieje konflikt między nią a panią.

— Jeszcze większy między nią a Keithem.  
— To znaczy, że jest trójstronny. Musicie go jakoś zażegnać.  
— Kto ma prawo nam dyktować, co powinniśmy robić?  
— To samo powie wam kurator... jeśli Sandy będzie miała tyle szczęścia, że podejmą ryzyko. Co ona ma przeciw ojcu?  
— Nie wiem — odparła, lecz opuściła przy tym powieki i spojrzała w dół.  
— Nie wierzę pani. Mogę zobaczyć pamiętnik Sandy?  
— Zniszczyłam go. Już to panu dziś rano powiedziałam... przepraszam, wczoraj rano. — Zamknąwszy oczy, przykryła je delikatną, wąską dłonią. Uciekł jej jeden dzień: wprawdzie tylko na chwilę, lecz to ją zmartwiło.  
— Proszę powiedzieć, co takiego w nim było, że pani go zniszczyła?  
— Nie mogę. Nie zniosę dłużej tego upokorzenia!  
Rzuciła się przed siebie, chcąc mnie minąć. Zrobiłem pół kroku w bok, tak że wpadła na mnie. Jej ciało, napięte i zgrabne, dotknęło mojego. Poczuliśmy żar w kroczu, wędrujący w górę do serca i głowy.  
Odstąpiliśmy od siebie, powodowani równoczesnym impulsem, lecz ta krótka chwila wystarczyła, żeby charakter naszego stosunku się zmienił: staliśmy się bogatsi o świadomość możliwości.  
— Przepraszam — powiedziała, nie wyjaśniając, za co przepraszają.  
— To moja wina, ale jeszcze nie skończyliśmy. — Owa świadomość możliwości nadała moim słowom dodatkowe znaczenie.  
— Nie skończyliśmy?  
— Nie. Kluczem do zagadki, co się przydarzyło Sandy, jest Stephen Hackett. Gdyby nam się udało odnaleźć go żywego... — przerwałem w pół zdania, żeby dokończyła je sobie sama. — Może Sandy coś mi powie. Doktor zgodził się, żebym jej zadał parę pytań.  
— Czego chce się pan od niej dowiedzieć?

— Zeszłej nocy powiedziała, że Davy Spanner zamierzał odnaleźć miejsce, w którym kiedyś mieszkał. Mam nadzieję, iż coś na ten temat wie.

— Czy to wszystko, o co chciałby pan ją spytać?

— Na razie tak.

— Dobrze. Może pan z nią porozmawiać.

Przeszliśmy przez salon, gdzie Sebastian i adwokat rozmawiali na temat kaucji. Drzwi do pokoju Sandy były zamknięte, klucz tkwił w zamku. Pani Sebastian przekręciła klucz i ostrożnie otworzyła drzwi.

— Nie śpisz, Sandy?

— A jak ci się zdaje?

— To brzydko odpowiadać w ten sposób mamusi. — Mówiła do swojej córki jak do małego dziecka. — Pan Archer chce z tobą pomówić. Pamiętasz pana Archera?

— Czy można nie zapamiętać kogoś takiego jak pan Archer?

— Sandy, proszę, mów normalnie.

— To jestem nowa ja. Lepiej niech przyjdą gliny.

Demonstracja twardości Sandy wynikała z poczucia winy, strachu, obrzydzenia do samej siebie i zamiaru terroryzowania matki przez okazywanie jej pogardy. Twardość wzięła górę nad jej naturalną osobowością, przynajmniej w tym momencie. Miałem nadzieję, że uda mi się dotrzeć do prawdziwego wnętrza dziewczyny — tej, która zbierała proporczyki Ivy League i szmaciane zwierzątka.

Siedziała w łóżku, tuląc do piersi jedną ze swoich maskotek: brązowego pluszowego spaniela z opadającymi uszami i czerwonym pilśniowym językiem. Była zaróżowiona, a oczy miała ociążałe od snu. Przysiadłem na piętach przy jej łóżku, tak że nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie.

— Jak się masz, Sandy?

— Dzień dobry. Idę do więzienia. — Mówiła drewnianym, ale trzeźwym głosem. — Powinien pan być zadowolony.

— Dlaczego tak myślisz?

— Dopiął pan swego, prawda?

Matka odezwała się z progu:

— Nie mów w ten sposób do pana Archera.

— Spadaj — burknęła dziewczyna. — Głowa mnie boli na twój widok.

— To mnie boli głowa.

— Czuję, że mnie też zaczyna boleć — powiedziałem. — Proszę mi pozwolić porozmawiać przez chwilę z Sandy w cztery oczy.

Pani Sebastian wycofała się.

— O czym będziemy rozmawiać? — spytała Sandy.

— Możesz mi pomóc, a tym samym pomożesz sobie. Dla wszystkich będzie lepiej, jeśli uda się odnaleźć Davy'ego, nim zdąży zabić pana Hacketta. Czy wiesz, gdzie on może być?

— Nie.

— Wczoraj w nocy, a raczej dziś nad ranem powiedziałaś, że Davy chce odnaleźć miejsce, w którym kiedyś mieszkał. Wiesz, gdzie to jest, Sandy?

— Skąd mogę wiedzieć, skoro on sam nie wie?

— Czy zapamiętał z niego cokolwiek?

— Tylko tyle, że znajdowało się gdzieś w górach, na północ od Santa Teresa. To było jakieś ranczo, gdzie mieszkał, zanim zabrali go do sierocińca.

— Czy opisał ci, jak wyglądało?

— Tak, ale z jego słów wynikało, że tego rancza już nie ma. Dom spłonął przed wielu laty. Nad resztkami ktoś zbudował dach.

— Dom został spalony?

— Tak powiedział Davy.

Podniosłem się. Dziewczyna cofnęła się odruchowo, przyciskając do piersi pluszowego psa, jakby był jej jedynym przyjacielem i obrońcą.

— Czemu chciał wrócić na to ranczo, Sandy?

— Nie wiem. Mieszkał tam kiedyś z ojcem i matką. Myślę, że zapamiętał je jako swój raj albo coś w tym rodzaju, wie pan.

— Czy Laurel Smith była jego matką?

— Sądzę, że tak. Tak przynajmniej twierdziła. Ale porzuciła go, kiedy był jeszcze mały. — Westchnęła głośno. — Powiedziałam mu, iż miał szczęście, że tak się stało.

— Co masz przeciw swoim rodzicom, Sandy?

— Nie chcę o tym mówić.

— Dlaczego poszłaś z Davym na taki numer? To nie pasuje do twojego charakteru.

— Nie zna mnie pan. Jestem z gruntu zła.

Przez chwilę nie pamiętała, że ma być twarda, lecz znów sobie przypominała. Było w tym coś więcej niż postanowienie; jej umysł oscylował na przemian między światłem i cieniem, niczym obracająca się moneta, którą sama podrzuciła.

Będąc już w korytarzu, gdzie czekała pani Sebastian, przypomniałem sobie, co zniknęło z pokoju Sandy. Nie było oprawionego w srebrną ramkę zdjęcia Heidi Gensler.



# ROZDZIAŁ 19

Poprosiłem Bernice Sebastian o udostępnienie mi telefonu, zamknąłem się w gabinecie i zadzwoniłem do Alberta Blevinsa w hotelu Bowmana. Długa cisza na linii przerywana była kolejnymi doniesieniami: „Albert zaraz zjedzie... Alberta nie ma w pokoju, ale go szukają... Albert wyszedł, lecz nikt nie wie, kiedy wróci, podobno poszedł do kina na Market Street”.

Zostawiłem dla niego wiadomość, prosząc go, żeby zatelefonował do mojej poczty głosowej na mój koszt, ale wątpiłem, czy odezwie się tego dnia.

Dysponowałem jeszcze jednym ewentualnym źródłem informacji. Wydobywszy dokumenty, które kupiłem od Blevinsa, rozłożyłem je na biurku Sebastiana. Przeczytałem ponownie list, który teściowa Alberta, Alma R. Krug, wysłała do niego w 1948 roku ze swojego domu przy ulicy West Capo nr 209 w Santa Monica.

; B #, ): , M6, ), , ( ), — napisała pani Krug — 8; L&6, 9\$ 2 8M\*

Szukałem nazwiska Almy Krug w książce telefonicznej, potem w

informacji, lecz na próżno. List został napisany przeszło dwadzieścia lat temu. Kobieta musiała być już bardzo stara lub nie żyła.

Był tylko jeden sposób sprawdzenia, która z tych możliwości jest prawdziwa. Pożegnawszy się z Sebastianami, pojechałem w kierunku Santa Monica. Ruch na autostradzie był nadal spory. Skrząca się kaskada świateł reflektorów płynęła po Sepulveda w przyzwoitym tempie.

Byłem w doskonałym nastroju. Gdyby pani Krug żyła i powiedziała mi, gdzie jest to ranczo, mógłbym do rana zakończyć sprawę. Zaczęłem się nawet bawić w wyobrażanie sobie, co zrobię ze stu tysiącami dolarów.

Mogę nawet przejść na emeryturę! Myśl o takiej możliwości wstrząsnęła mną. Uświadomiłem sobie, iż od lat robię to samo co w tej chwili: przemierzam nocami martwe ciało miasta, budując połączenia między milionami jego komórek — w rezultacie szalonego wyobrażenia, opartego na czystej fantazji, że jeszcze przed śmiercią zdołam połączyć wszystkie nerwy i miasto ożyje jak narzeczona Frankensteina.

Dojechawszy do Wiltshire, opuściłem Sepulveda i przez San Vicente pojechałem na Capo Street. Budynek pod numerem 209 był jednopiętrowym apartamentowcem. Świeżo otynkowaną fasadę ocieniały palmy, iluminowane zielonymi reflektorami.

Administrator budynku, mężczyzna w średnim wieku, mieszkał w lokalu nr 1. Siedział w samej koszuli, czytając książkę. Kiedy się przedstawiłem, założył palcem czytaną stronę i powiedział, że nazywa się Ralph Cuddy.

Miał południowy akcent, prawdopodobnie pochodził z Teksasu. Nad kominkiem wisały dwa skrzyżowane pistolety, a na ścianach kilka umoralniających maksym. Spytałem go:

- Czy w tym domu mieszkała kiedyś pani Alma Krug?
- Owszem.
- Nie wie pan, gdzie może być teraz?
- W pensjonacie.
- W jakim pensjonacie?

- Dla rekonwalescentów. Kilka lat temu złamała biodro.
- To pech. Miałem nadzieję, że z nią porozmawiam.
- O czym?
- O jej sprawach rodzinnych.
- Pani Krug nie ma już żadnej rodziny. Chyba żeby wliczyć do niej mnie. — Uśmiechnął się znacząco.
- Ma zięcia w San Francisco. — I wnuka imieniem Davy, Bóg wie gdzie, pomyślałem. — Czy wspomniała kiedykolwiek, że ma ranczo w hrabstwie Santa Teresa?
- Słyszałem o tym ranczo.
- Może mi pan powiedzieć, jak tam dotrzeć?
- Nigdy tam nie byłem. Oddali je za podatki, wiele lat temu.
- Jest pan krewnym pani Krug?
- Nie, ale byłem przyjacielem rodziny. I jestem nadal.
- Może pan mi podać adres tego pensjonatu dla rekonwalescentów?
- Mogę. W jakim celu chce się pan z nią spotkać?
- Natknąłem się dziś na jej zięcia, Alberta Blevinsa. Cuddy obrzucił mnie wszystkowiedzącym spojrzaniem.
- Był pierwszym mężem Etty.
- Zgadza się.
- Co on ma wspólnego z ranczo?
- Opowiadał mi o nim. Mówił, że kiedyś tam mieszkał.
- Rozumiem.

Odłożył otwartą książkę. Jej tytuł brzmiał: *How to Find a Pension Home for the Invalid in California*. Poszedł do biurka w drugim końcu pokoju i wrócił ze starannie wykaligrafowanym na kartce adresem Pensjonatu dla Rekonwalescentów w Oakwood.

Pensjonat okazał się dużym budynkiem w hiszpańskim stylu. Otoczona murem rezydencja z lat dwudziestych mieściła się na terenie Santa Monica. Aleja dojazdowa prowadziła pod baldachimem z pinii; na oświetlonym parkingu stało kilkanaście samochodów, a z głównego budynku dochodziły dźwięki muzyki. Miałem wrażenie, że czas się cofnął, a w sali odbywa się bal.

Wrażenie przysło, kiedy znalazłem się w ogromnym hallu. Starzy ludzie siedzieli grupkami po dwie, trzy osoby, gawędząc, podtrzymując puls życia. Sprawiali wrażenie uchodźców, którzy znaleźli schronienie na dworze arystokraty.

Bardzo współcześnie wyglądająca pielęgniarka w białym nylonowym mundurku zaprowadziła mnie korytarzem do pokoju pani Krug. Pokój był obszerny, dobrze umeblowany, i pełnił zarazem funkcję sypialni. Siedząca na wózku inwalidzkim siwowłosa stara dama — w wełnianej sukni, z afgańskim pledem na kolanach — oglądała w telewizji program Merva Griffina. W zartretyzowanych dłoniach trzymała otwartą Biblię.

Pielęgniarka ściszyła dźwięk.

— Pani Krug, ma pani gościa. Ten dżentelmen przyszedł złożyć pani wizytę.

Stara kobieta podniosła na mnie powiększone okularami, bystre oczy.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Lew Archer. Czy pamięta pani Alberta Blevinsa, który ożenił się z pani córką, Ettą?

— Oczywiście, że pamiętam. Pamięć mam jeszcze dobrą. Co się z nim dzieje?

— Widziałem się z nim dzisiaj w San Francisco.

— Naprawdę? Nie miałam wiadomości od Alberta prawie od dwudziestu lat. Prosiłam go, żeby się z nami zobaczył, kiedy urodził się syn Jaspera, ale nigdy nie otrzymałam odpowiedzi.

Umilkła i przez chwilę siedziała nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. Pielęgniarka wyszła z pokoju, a ja usiadłem. Pani Krug pochyliła się ku mnie, wracając do teraźniejszości.

— Jak mu się wiedzie? Czy bardzo się zmienił?

— Prawdopodobnie nie. Nie znałem go, kiedy był młodszy.

— Niewiele pan stracił. — Uśmiechnęła się. — Mój mąż zawsze twierdził, że Albert urodził się za późno. Jest typem kowboja sprzed lat. Zawsze był samotnikiem.

— Jest nim nadal. Mieszka sam w pokoju hotelowym.

— Nie dziwię się. Powinien był ożenić się z kimkolwiek, byle nie z Ettą. Z początku to jego winiłam za te wszystkie scysje między nimi, z których jedna tak się skończyła, że rzuciła w niego lampą i spowodowała pożar domu. Ale kiedy zobaczyłam, co ona później robiła... — Kłapnęła sztucznymi szczękami z głośnym trzaskiem, jakby chcąc zmiażdżyć wspomnienia zębami. — Czy to Albert przysłał pana do mnie?

— Niezupełnie. W trakcie rozmowy wspomniał o farmie, którą mu podarowaliście czy też pozwoliliście użytkować.

Kiwnęła z ożywieniem głową.

— To było w tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym roku: tym samym, w którym Albert ożenił się z Ettą. Szczerze mówiąc, miałam już dość rancza. Byłam miejską dziewczyną, do tego wykwalifikowaną nauczycielką. Dwadzieścia lat karmienia kur przekroczyło moją wytrzymałość. Namówiłam Kruga, żebyśmy się przenieśli do miasta. Dostał dobrą pracę jako ochroniarz i utrzymał się w niej aż do przejścia na emeryturę. Albert i Etta przejęli ranczo. Wytrzymali tam dwa lata, po czym się rozeszli. To było pechowe ranczo. Albert nic panu o tym nie wspominał?

— O czym?

— O rzeczach, które tam się zdarzyły. Widzę, że nie. — Potrząsnęła głową. — Albert nie powiedział panu, bo nie wiedział... przynajmniej nie o wszystkim. Kiedy dom się spalił, Etta uciekła, zostawiając mu małego Jaspera. Po paru latach zaczęło między nimi być tak źle, że wraz z mężem wzięliśmy Jaspera do siebie i wychowywaliśmy go, co naprawdę nie było łatwe, ponieważ był urwisem. A potem, kiedy Jasper się ustatkował i ożenił z Laurel Dudney, wbił sobie do głowy, że musi wrócić na ranczo. Wcale nie chciał zajmować się gospodarowaniem. Doszedł do wniosku, że to będzie tanie miejsce do zamieszkania, gdzie będzie mógł malować piękne krajobrazy. Łatwo mu było podjąć taką decyzję, skoro mąż i ja utrzymywaliśmy ich, gdy już wydał wszystkie pieniądze Laurel. — Poznaczone niebieskimi

żyłkami ręce zacisnęły się na poręczy wózka. — Czy pan wie, w jaki sposób nasz rozpuszczony wnuk okazał nam wdzięczność?

— Albert nic na ten temat nie mówił.

— Wziął Laurel i chłopca i zniknął. Od tamtej pory nie miałam żadnych wiadomości od któregośkolwiek z nich. Jasper jest skończonym niewdzięcznikiem, takim samym jak jego matka... mówię to, choć jest moją córką.

Nie poinformowałem Almy Krug o śmierci Jaspera i Laurel. Jej oczy w trakcie opowiadania o rodzinie robiły się coraz smutniejsze. Zbyt wiele doświadczyła w życiu. Na jej ustach pojawił się wyraz gorczy, jakby poczuła przedsmak własnej śmierci.

Milczała przez chwilę, po czym zapytała:

— Nie przybył pan tu, żeby wysłuchiwać moich skarg. W takim razie po co?

— Chciałbym obejrzeć ranczo.

— Po co? To jałowa ziemia. Zawsze była na pół pustynią. Dochowaliśmy się więcej myszołowów niż krów, a kiedy Jasper i Laurel odeszli w siną dal, oddaliśmy ją za zaległe podatki.

— Myślę, że może tam teraz być David, pani prawnuk.

— Naprawdę? Zna pan Davida?

— Spotkałem go.

Zaczęła szybko liczyć.

— Powinien już być młodym mężczyzną.

— Bardzo młodym. Ma dziewiętnaście lat.

— Ciekawe, co z niego wyrosło? — spytała z tym rodzajem zainteresowania, które nie liczyło na dokładną odpowiedź.

— Nic szczególnego.

— Myślę, że jest podobny do ojca. Jasper zawsze żył marzeniami, z których nic nigdy nie wynikło. — Zakręciła jednym kołem wózka i znalazła się twarzą w twarz ze mną. — Skoro pan wie, gdzie przebywa David, pewnie pan wie, gdzie jest Jasper.

— Nie wiem, gdzie jest David. Miałem nadzieję, że pani mi powie, jak znaleźć to ranczo.

— Oczywiście, jeśli do tej pory nie zostało zmiecione przez tornado. Zna pan Rodeo City?

— Byłem tam kiedyś.

— Niech pan wjedzie do centrum. Na rogu głównego skrzyżowania, naprzeciw biura szeryfa stoi Rodeo Hotel. Skręci pan w prawo na tym skrzyżowaniu i pojedzie drogą przez pastwiska, a potem przez przełęcz, jakieś dwadzieścia mil w głąb kraju, do małej osady o nazwie Centerville. Byłam kiedyś nauczycielką w tamtejszej szkole. Z Centerville pojedzie pan wiejską drogą jeszcze dwanaście mil na północ. Niełatwo tam trafić, zwłaszcza po ciemku. Chce pan tam pojechać jeszcze dziś w nocy?

Powiedziałem, że tak.

— W takim razie radzę w Centerville zapytać o dalszą drogę. Wszyscy wiedzą, gdzie jest ranczo Kruga. — Zamyśliła się. — Zastanawiam się, co przyciąga do niego kolejne pokolenia rodziny. To miejsce jest pechowe, a my jesteśmy pechową rodziną.

Nie próbowałem zaprzeczać. To, co wiedziałem o tej rodzinie — samotność Alberta Blevinsa, niewesoły los Jaspera i Laurel, żyjących osobno od piętnastu lat, wybuchowość Davy'ego i jego inklinacje do przemocy — potwierdzało opinię pani Krug.

Starsza pani siedziała, przycisnąwszy do siebie zaciśnięte pięści, jakby chciała nimi posłuchać zmęczenia swojego ciała trudami dawnych dni. Potrząsnęła białą głową.

— Pomyślałam sobie, że gdyby pan spotkał Davida, mógłby mu pan powiedzieć, gdzie mieszka jego prababka. Chociaż... sama nie wiem. Wystarczy mi to, co mam. Płacę tu sześćset miesięcznie. Niech pan mu nic nie mówi, chyba że o mnie zapyta. Nie chcę mieć więcej do czynienia z Jasperem. Ani z Laurel. Była miłą dziewczyną, ale okazała się niewdzięcznicą. Przyjęłam ją do domu, zrobiłam dla niej, co mogłam, a ona się na mnie wypięła.

— Czy Laurel była z panią spokrewniona?

— Nie. Pochodzi z Teksasu. Pewien bardzo bogaty człowiek interesował się jej losem. To on ją do nas przysłał.

— Nie rozumiem.

— Nie musi pan. Nie będę obgadywała Laurel. Nie była moją córką ani wnuczką, ale lubiłam ją bardziej niż kogokolwiek z rodziny.

Ostatnie słowa powiedziała szeptem. Przeszłość wypełniła pokój jak przyływ oceanu szeptów. Podniosłem się, żeby ją pożegnać.

Podawała mi delikatną, pokrytą żyłami dłoń.

— Zechce pan wzmocnić dźwięk, kiedy pan będzie wychodził? Chcę posłuchać, jak inni mówią.

Podkreśliłem gałkę i zamknąłem za sobą drzwi. W połowie korytarza usłyszałem za zamkniętymi drzwiami drżący, starczy głos:

— Błagam, nie zabijajcie mnie.

Otworzyły się drzwi i wypadł z nich stary mężczyzna. Jego nagie ciało miało kształt wydłużonego jajka. Objąwszy mnie ramionami, wparł łysą głowę w mój splot słoneczny.

— Nie pozwól im mnie posiekać, mamusiu! Niech mnie zostawią.

Chociaż prócz nas nikogo innego nie było, powiedziałem im, żeby go zostawili. Drobnny staruszek puścił mnie, wrócił do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi.



## ROZDZIAŁ 20

W hallu recepcyjnym liczba uchodźców z wojny pokoleń stopniała do półtuzina. Pielęgniarz, mężczyzna w średnim wieku, próbował łagodnie nakłonić ich do powrotu do pokojów.

— Czas na spoczynek, moi drodzy — powtarzał.

Głównym wejściem wszedł Jack Fleischer. Miał zmęczoną twarz i był pijany.

— Chcę się zobaczyć z panią Krug — powiedział do pielęgniarza.

— Przykro mi, proszę pana. Czas wizyt się skończył.

— Mam ważną sprawę.

— Nic na to nie mogę poradzić, proszę pana. Zarządzenia wydaje kierownik, a on jest na zjeździe w Chicago.

— To mnie nie interesuje. Jestem funkcjonariuszem policji. Mówił coraz głośniej. Twarz nabiegła mu krwią. Pogrzebawszy w kieszeniach, wyjął odznakę i pokazał ją pielęgniarzowi.

— To nie pomoże, proszę pana. Mam swoje rozkazy.

Fleischer bez ostrzeżenia uderzył go otwartą ręką. Pielęgniarz przewrócił się, lecz zaraz się podniósł. Połowa jego twarzy była czerwona, druga połowa biała. Staruszkowie patrzyli w milczeniu: widać było, że bali się przemocy fizycznej bardziej niż czegokolwiek innego — jak prawdziwi uchodźcy.

Zaszedłem Fleischera od tyłu i unieruchomiłem go nelsonem. Był ciężki i silny. Tylko tyle mogłem zrobić, żeby się uspokoił.

— Czy to pański przyjaciel? — zapytał mnie pielęgniarz.

— Nie.

Ale w pewnym sensie Fleischer należał do mnie. Wyprowadziłem go na zewnątrz i zwolniłem chwyt. Wyjął automatyczny pistolet.

— Aresztuję cię — oświadczył.

— Za co? Za stawianie oporu?

— Za przeszkadzanie policji w wypełnianiu obowiązków.

Bełkotał i był rozwścieczony. Miał pistolet kalibru 0.38, który wystarczał, by załatwić człowieka raz na zawsze.

— Spokojnie, Jack, schowaj tę pukawkę. Nie jesteś w swoim hrabstwie, a tu jest pełno świadków.

Pielęgniarz i jego podopieczni gapili się na nas z frontowych schodów. Kiedy Fleischer odwrócił głowę, żeby na nich popatrzeć, wybiłem mu pistolet z ręki. Zanurkował po niego, lecz byłem szybszy. Oparty na kolanach i rękach jak pies, warknął do mnie:

— Pójdiesz za to do więzienia. Jestem policjantem.

— Więc zachowuj się jak policjant.

Pielęgniarz podszedł do nas. W narożniku mojego pola widzenia stanowił jedynie białą plamę. Patrzyłem na podnoszące się z ziemi Fleischera.

Pielęgniarz powiedział do mnie:

— Nie chcemy mieć kłopotów. Może lepiej wezwać policję?

— Myślę, że nie ma takiej potrzeby. Co ty na to, Fleischer?

— Do diabła, ja też jestem policjantem.

— Nie w tym okręgu. Co więcej, jak słyszałem, jesteś na emeryturze.

— A kim ty, do cholery, jesteś? — Popatrzył na mnie z ukosa. W półmroku jego oczy połyskiwały jak żółty kwarc.

— Jestem licencjonowanym prywatnym detektywem. Nazywam się Archer.

— Oddaj mi pistolet, jeśli chcesz zachować licencję — powiedział, wyciągając ku mnie mięsiste, czerwone łapsko.

— Nie tak prędko, Jack. Przedtem sobie porozmawiamy. Prócz tego radzą ci przeprosić człowieka, którego uderzyłeś.

Jeden z kącików ust Fleischera uniósł się w grymasie niezadowolenia. Nakaz przeprosin był dla zdemoralizowanego starego gliny poniżeniem trudnym do przełknięcia.

— Przepraszam — powiedział, nie patrząc na pielęgniarza.

— W porządku — odparł tamten.

Odwrócił się i odszedł z godnością. Zgromadzeni przed wejściem starszuszkiwie podreptali za nim do budynku, zamykając za sobą drzwi.

Poszliśmy z Fleischerm w stronę naszych wozów. Stanęliśmy twarzą w twarz, oparci plecami każdy o swój samochód.

— Oddaj mi broń — powtórzył, przypominając mi o pistolecie, który tkwił w mojej kieszeni.

— Przedtem porozmawiamy. Czego szukasz, Jack?

— Pracuję nad starą sprawą nieszczęśliwego wypadku, który zdarzył się wiele lat temu.

— Skoro to był nieszczęśliwy wypadek, czemu wróciłeś do tej sprawy?

— Nigdy jej nie zamknąłem. Nie lubię niedokończonych rzeczy.

Lawirował, mówiąc ogólnikami. Chcąc nim wstrząsnąć, spytałem:

— Znałeś Jaspersa Blevinsa?

— Nie. Nie znam takiego człowieka — odparł obojętnie.

— Ale znasz jego żonę Laurel.

— Możliwe, że kiedyś ją poznałem. Nie znam jej jednak tak dobrze, jak się niektórym wydaje.

— Czemu nie sprowadziłeś jej w celu zidentyfikowania zwłok męża?

Przez dłuższy czas nie odpowiadał. W końcu zapytał:

— Nagrywasz mnie?

— Nie.

— Odejdź od swojego samochodu, dobrze?

Poszliśmy w stronę alei dojazdowej. Baldachim z pinii zamknął się nad nami niczym walące się na nasze głowy czarne niebo. W niemal kompletnej ciemności Fleischer stał się bardziej elokwentny.

— Przyznaję, że przed piętnastu laty popełniłem błąd. Nie chcę, żeby stare brudy obciążały moje konto.

— Jaki błąd popełniłeś, Jack?

— Miałem zaufanie do tej dziwki.

— Czy Laurel powiedziała ci, że facet, który zginął pod pociągiem, nie był jej mężem?

— Powiedziała wiele różnych rzeczy. W większości były to kłamstwa. Wyprowadziła mnie w pole.

— Nie możesz jej obwiniać o wszystko. Twoim obowiązkiem było doprowadzić do identyfikacji zwłok.

— Nie mów mi, co było moim obowiązkiem. W ciągu trzydziestu lat mojej pracy w urzędzie szeryfa blisko stu włóczęgów zginęło pod kołami pociągów w moim hrabstwie. Niektórzy mieli przy sobie jakieś dokumenty tożsamości, inni nie. Ten nie miał. Skąd mogłem wiedzieć, że ten wypadek jest szczególny?

— Dlaczego ten jest szczególny, Jack?

— Nie mów mi, do cholery, że nie wiesz.

— Ty mi powiedz.

— Nic więcej ci nie powiem. Myślałem, że się porozumiemy, ale ty tylko bierzesz, a nic nie dajesz.

— Nie dałeś mi żadnej użytecznej informacji.

— A ty nie powiedziałaś w ogóle nic — odparł. — Czemu drażysz tę sprawę?

— Nie drażę tej sprawy. Badam okoliczności uprowadzenia Hacketta.

— Kogo? — Udawał, że nie wie, o kogo chodzi.

— Nie bujaj, że nie wiesz o Hacketcie. Przeczytałeś o nim w gazecie, będąc w San Francisco.

Zrobiwszy ćwierć obrotu, zajął mi w ciemności w twarz.

— Więc to ty mnie śledziłeś we Frisco. Czego ode mnie chcesz?

— Osobiście nic do ciebie nie mam. Nasze interesy są zbieżne. Z synka Jaspera Blevinsa, Davy'ego, który wtedy zaginął, w międzyczasie zrobił się kawał chłopca. Wczoraj uprowadził Hacketta.

W ciemności usłyszałem, jak Fleischer nabiera raptownie powietrza, po czym powoli je wypuszcza.

— W gazecie napisali, że jest diabelnie nadziany. — W jego słowach było ukryte pytanie.

— To prawda.

— I chłopak Blevinsa porwał go dla okupu?

— Z tego co wiem, nie było mowy o okupie. Myślę, że ma zamiar zabić Hacketta... jeśli jeszcze tego nie zrobił.

— Chryste! Nie można do tego dopuścić! — Był tak przestraszony, jakby jego własne życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

— Znasz Hacketta? — zapytałem.

— W życiu go nie widziałem. Ale w tym są pieniądze, kolego. Powinniśmy połączyć siły.

Nie podobał mi Fleischer jako partner. Nie ufałem mu. Dysponował jednak w tej sprawie wiedzą o szczegółach, których nie znał nikt z żyjących. W dodatku znał hrabstwo Santa Teresa.

— Przypominasz sobie ranczo Kruga w Centerville?

— Tak. Wiem, gdzie ono jest.

— Możliwe, że Davy Blevins przetrzymuje tam Hacketta.

— Więc jedźmy tam — powiedział. — Szkoda każdej chwili.

Wróciliśmy do naszych samochodów. Oddałem Fleischerowi jego pistolet. Obserwując go w półmroku, miałem wrażenie, że patrzę na własne odbicie w zamazanym, zniekształcającym lustrze. Żaden z nas nie wspomniał o śmierci Laurel Smith.

# ROZDZIAŁ 21

Postanowiliśmy pojechać samochodem Fleischera, bo był nowy i szybki. Swój zostawiłem na stacji benzynowej w Canoba Park, w pobliżu domu Sebastiana. Cokolwiek by się działo, wracałbym właśnie tędy.

Ja prowadziłem, Fleischer na siedzeniu obok mnie drzemał. Droga wiodła doliną San Fernando, potem przez główną przełęcz, następnie za Camarillo skręcała z powrotem ku ciemnemu morzu. Po przekroczeniu granicy hrabstwa Santa Teresa Fleischer ocknął się, jakby zbudził go zapach jego terytorium.

Kilka mil na południe od Santa Teresa, w miejscu gdzie autostrada trawersowała pojedynczym pasem z boczne, Fleischer kazał mi się zatrzymać przy eukaliptusowym lasku. Przypuszczałem, że to zew natury, ale gdy zjechałem na pobocze, nie wysiadł z samochodu.

Przekreślił się na siedzeniu w moją stronę i rąbnął mnie w głowę rękojęścią nabitego pistoletu. Straciłem przytomność. Po jakimś czasie ciemność, w którą zapadłem, zaroiła się obrazami. Przyśniły mi się ogromne, obracające się obręcze, które niczym sprzężone ze sobą koła wieczności i konieczności przedzierzgnęły się w dieslowską

lokomotywę: zbliżała się do mnie, omiatając przedpole swoimi cyklopami oczami, ja zaś leżałem bezwładnie w poprzek szyn.

Zatrąbił klakson. Przede mną nie było lokomotywy i nie leżałem na torach, ale to wcale nie był sen. Leżałem na środku prowadzącego na północ pasa autostrady. Ogromna ciężarówka, oświetlona jak świąteczna choinka, najeżdżała na mnie, trąbiąc raz po raz.

Hamulce piszczały, nie były jednak w stanie zatrzymać rozpędzonej masy przede mną. Widziałem, jak ciemność przestania mi gwiazdy, ale po chwili znów je zobaczyłem i poczułem, że żyję.

Z południa nadeżdżały następne samochody. Odpełzłem z asfaltu na pobocze, czując się mały i bojaźliwy jak konik polny. Wiatr szeleścił liśćmi drzew eukaliptusowych, stojących na poboczu niczym niemi świadkowie. Sprawdziłem, czy mam swój rewolwer.

Zdrada Fleischera wyzwoliła we mnie paranoiczną reakcję, która w mojej rozbitej głowie objawiała się brzęczeniem i dzwonieniem. Uświadomiłem sobie, iż ja również byłem gotów pozbyć się Fleischera w odpowiadającym mi momencie. Wyprowadził mnie o pół kroku.

Tymczasem kierowca ciężarówki zdołał zatrzymać wóz. Zjechawszy na pobocze, zapalił światła awaryjne i przybiegł do mnie z latarką.

— Hej, nic ci się nie stało?

— Chyba nie. — Wstałem, mając uczucie, że moja głowa waży tonę.

Zaświecił mi latarką w twarz. Zamknąłem oczy i niemal przewróciłem się pod uderzeniem światła.

— Masz krew na twarzy. Potrąciłem cię?

— Nie ty. To mój przyjaciel znokautował mnie i zostawił na jezdni.

— Chcesz, żebym zawiadomił policję? Potrzebny ci ambulans?

— Niczego mi nie trzeba. Możesz mnie podwieźć do Santa Teresa?

Wahał się, jego twarz wyrażała sprzeczne uczucia: sympatii przeplecionej z podejrzliwością. Porządni ludzie nie bywają nokautowani i porzucani na autostradzie.

— Okej — odparł bez entuzjazmu. — Tyle mogę dla ciebie zrobić.

Dowiózł mnie na przedmieścia Santa Teresa. Stacja Power Plus była jeszcze czynna. Poprosiłem kierowcę, żeby mnie przy niej wysadził.

Obsługującym był Fred Cram, ten ze specjalnym butem. Nie poznał mnie. Poszedłem do toalety i umyłem twarz. Spuchnięte miejsce nad skronią już nie krwawiło.

Ktoś napisał na ścianie: LEPIEJ MYŚLEĆ, NIŻ WALCZYĆ. Roześmiałem się. Śmiech obudził w mojej głowie ból.

Kiedy wyszedłem z toalety, zapytałem Freda Crama, czy mogę zatelefonować. Tym razem mnie poznał.

— Odnalazł pan dziewczynę?

— Tak. Dziękuję ci.

— Nie ma za co. Mogę jeszcze w czymś pomóc?

— Pozwól mi zadzwonić. To będzie miejscowa rozmowa.

Wskazówki elektrycznego zegara w biurze wskazywały dokładnie północ. Kontaktowanie się z Langstonami o dwunastej w nocy zaczynało się stawać regułą. Znalazłszy ich numer w książce telefonicznej, wykręciłem go. Usłyszałem przytłumiony głos Henry'ego:

— Dom Langstonów.

— Mówi Archer. Znienawidzisz mnie.

Jego głos nabrał życia.

— Ciekaw byłem, co robisz. Miejscowa gazeta sporo pisze o Davym.

— Chyba wiem, gdzie on jest. Fleischer też wie i właśnie tam jedzie. Co powiesz o następnej nocnej wyprawie?

— Dokąd?

— Do rancza w pobliżu Centerville, w północnej części hrabstwa.

— Davy jest tam z Hackettem?



- Prawdopodobnie tak. Zabierz ze sobą broń.
- Mam tylko pistolet sportowy kalibru zero trzydzieści dwa.
- Weź go. Zabierz też latarkę.

Powiedziałem mu, gdzie jestem. Skończywszy rozmawiać, wyszedłem z biura. Fred Cram zamknął pompy i wyłączył górne światła.

- Przepraszam, ale muszę zamknąć stację — powiedział.
- Nie przeszkadzaj sobie. Za chwilę ktoś po mnie przyjedzie.

Cram ociągał się jednak. Patrząc na moją skroń, spytał:

- Czy to Davy Spanner tak pana urządził?
- Nie. Nadal go poszukuję.

— Ten facet z dziewczyną, który tu był poprzedniej nocy, to był on. Z początku go nie poznałem, bo bardzo się zmienił. Dopiero kiedy przeczytałem o nim w gazecie... on rzeczywiście przetrzymywał kogoś w bagażniku samochodu?

— Tak. Znałeś Davy'ego?

— Przez rok byliśmy razem w średniej szkole. On był w pierwszej klasie, a ja w ostatniej. Wtedy nie miał jeszcze kłopotów z prawem... był mały i drobny. Ale potem bardzo się rozrósł, dlatego go nie poznałem.

— Daj mi znać, Fred, gdybyś go jeszcze kiedyś spotkał. — Wręczyłem mu moją wizytówkę. — Zadzwoń o dowolnej porze na moją pocztę głosową, na mój koszt.

Wziął ode mnie wizytówkę, ale myślami był gdzieś indziej.

— Pomyślałem sobie coś...

— Co takiego sobie pomyślałeś?

— Że ludzkie losy układają się rozmaicie. Ja zarabiam na życie nalewaniem benzyny, a Davy został kryminalistą.

Wypowiedziawszy tę złotą myśl, wyłączył światła w biurze i zamknął drzwi na klucz. Dotrzymał mi taktownie towarzystwa, dopóki kombi Langstona nie zjechało z autostrady, zatrzymując się obok jego gruchota.

Powiedziałem mu dobranoc i wsiadłem do kombi. Langston ze współczuciem błdził wzrokiem po mojej twarzy i głowie.

— Jesteś ranny. Nie trzeba ci lekarza?

— Nie teraz. Fleischer ma nade mną pół godziny przewagi.

— Kiedy się włączył do akcji?

— Okazało się, że jest w niej od początku. Zrobiłem błąd, próbując z nim współpracować. Nasza współpraca skończyła się po godzinie. Znokautował mnie i zostawił na autostradzie.

Hank gwizdnął.

— Nie powinieneś zawiadomić policji?

— Wtedy ugrzęźlibyśmy na dobre. Wziąłeś z sobą latarkę i pistolet?

— Są w schowku. Mam uczucie, jakbym był praktykantem wydziału kryminalnego.

Dobry humor Langstona był odrobinę naciągany, ale przyjąłem jego konwencję.

— Więc do roboty, praktykancie — powiedziałem.

Wyjechał ze stacji autostradą na północ. Nim zadzwoniłem, zdążył się przez parę godzin przespać i teraz był pełen energii i ciekawości. Chciał bez końca rozmawiać o Davym i jego psychicznych problemach. Znużony tą częścią gadaniną, odpowiadałem mu coraz krócej, w końcu przelażłem na tylne siedzenie i próbowałem zasnąć, ale budziłem się przy każdej mijanej ciężarówce.

W miejscu gdzie autostrada wciniała się w głąb lądu, wjechaliśmy w deszcz. Nad górami od północnej strony czarne niebo było przecinane od czasu do czasu błyskawicami. Autostrada wyprowadziła nas z powrotem nad wybrzeże, gdzie niebo było ciągle czyste, a białe oko księżycy wycinało z mroku linię brzegu. Ujrzałem skrzyżowanie, z którego poprzedniej nocy zabrałem Sandy.

Czułem ciężar odpowiedzialności za dziewczynę. Podobnie jak w księżycu, który w jednej fazie jest biały i jasny, a w innej pokazuje

swoją ciemną stronę: dziobatą, zimną i wymarłą, w niej również zachodziły zmiany. Jej los — zależnie od wyników naszej wyprawy — mógł potoczyć się dwiema drogami. Gdybyśmy odnaleźli Hacketta żywego, miała szansę na warunkowe zawieszenie kary i nadzór kuratora, ale w przeciwnym wypadku jej przyszłość była już zamknięta.

## ROZDZIAŁ 22

Było po pierwszej, kiedy dotarliśmy do Rodeo City. Ściśnięte między autostradą i brzegiem morskim miasto składało się w większości z moteli. Zjechaliśmy z autostrady w równoległą do niej główną ulicę, biegnącą poniżej. W połowie ulicy minęło nas trzech motocyklistów w melonikach. Przylepione do ich pleców dziewczyny z rozwianymi włosami wyglądały jak sukuby.

Znaleźliśmy skrzyżowanie ze znakiem: „Centerville 20 mil” i skręciliśmy w głąb lądu. Mające w ciemności trybuny rodeo, rozsiane wzdłuż asfaltowej drogi, przypominały starożytny amfiteatr. Droga wiodła serpentynami przez pogórze, a potem prosto i stromo przez przełęcz. Zanim dojechaliśmy do szczytu przełęczy, znaleźliśmy się w gęstej chmurze, która zbierała się na przedniej szybie jak deszcz i zwolniła tempo jazdy do żółwiego.

Po przejechaniu przełęczy dostaliśmy się w ulewny deszcz. Bębnił ogłuszająco w dach i powodował zaparowanie okien. Wróciwszy na przednie siedzenie, przecierałem co parę minut szyby, mimo to posuwaliśmy się bardzo wolno.

Przez całą drogę do Centerville lało jak z cebra. Błyskawice rozświetlały co chwila piętujące się nad nami lesiste zbocza doliny.

Centerville było jedną z tych osad na zachodnim wybrzeżu, które w ciągu życia dwóch pokoleń niewiele się zmieniły. Przy jedynej ulicy stał rząd biednych drewnianych domów, wielobranżowy sklep i stacja benzynowa, zamykane w nocy, szkoła z dzwonem w małej wieżyczce na kalenicy dachu i biały kościółek z wieżą, polśniewający mokro w świetle naszych reflektorów.

Jedynym oświetlonym budynkiem było znajdujące się w sąsiedztwie sklepu bistro z reklamą piwa. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE, ale spostrzegłem wewnątrz mężczyznę w białym fartuchu, wycierającego mopem podłogę. Pobiegłem przez strugi deszczu i zapukałem do drzwi.

Mężczyzna w fartuchu potrząsnął przecząco głową, wskazując na tabliczkę. Zapukałem ponownie, a potem jeszcze raz. Po chwili oparł mop o ladę i otworzył drzwi.

— O co chodzi? — Miał ogorzałą lisią twarz i usta gaduły.

Był w średnim wieku lub nieco starszy.

Wszedłem do wnętrza.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Może mi pan powiedzieć, jak trafić do rancza Kruga?

— Mogę panu powiedzieć, ale to nie znaczy, że pan tam dojedzie. Buzzard Creek będzie teraz wezbrany.

— Co to ma do rzeczy?

— Drogę do rancza przecina strumień. Może pan spróbować. Facetowi przed panem się udało... przynajmniej nie wrócił tutaj.

— Jack Fleischer?

— Zna pan Jacka? Co się dzieje na ranczo? — Trącił mnie porozumiewawczo w bok. — Jack trzyma tam kobietą? Byłoby to nie pierwszy raz.

— Możliwe.

— Parszywa noc na randkę i miejsce też parszywe.

Zawołałem Langstona, żeby do nas dołączył. Człowiek w fartuchu przedstawił się. Nazywał się Al Simmons. Podkreślił z naciśnięciem, iż jest właścicielem nie tylko bistra, lecz również sąsiedniego sklepu.

Rozwinąwszy na blacie baru papierową serwetkę, naszkicował nam mapę. Wjazd do rancza znajdował się dwanaście mil na północ od Centerville. Drogę przegradzał Buzzard Creek — kiedy była w nim woda. Podczas ulewy przybierał bardzo szybko. Mieliśmy szansę go pokonać, ponieważ padało od niedawna.

Na pożegnanie Simmons powiedział:

— Mam traktor. Wyciągnę was, jeśli ugrzęźnicie. Oczywiście będzie to was kosztowało.

— Ile? — spytał Hank.

— Zależy, ile mi to zajmie czasu. Zazwyczaj biorę dziesiątaka za godzinę pracy traktora, licząc od wyjazdu do powrotu. Ale jeśli woda was poniesie, to nic się nie da zrobić, więc uważajcie.

Jechaliśmy zwirową drogą, dopraszając się wyrównania. Deszcz lał jak z cebra, błyskawice kreśliły na niebie przerażające, niezrozumiałe znaki. Przejechaliśmy kilka małych strumyków, płynących wyżłobieniami w drodze. Dokładnie po dwunastu milach według wskazań licznika dojechaliśmy do strumienia. Płynął w poprzek drogi: brązowy w świetle reflektorów, wartki, pocętkowany kroplami deszczu. Miał przynajmniej sto stóp szerokości.

— Myślisz, że uda nam się przejechać, Hank?

— Nie wiem, jaki jest głęboki. Nie chciałbym stracić wozu.

— Lepiej przejdźmy go pieszo. Pójdę pierwszy.

Wydobyłem z bocznych kieszeni samochodu pistolet i latarkę i włożyłem je do kieszeni na piersiach w mojej marynarce. Następnie zdjąłem buty, skarpetki i spodnie i zostawiłem je w samochodzie. Kiedy w samej marynarce stanąłem w świetle reflektorów, Hank roześmiał się na całe gardło.

Woda była zimna, żwir raził mnie w stopy, mimo to znajdowałem w tym pewną przyjemność, przypominając sobie, jak trzymany przez ojca za rękę brodziłem w dzieciństwie na Long Beach.

Przydałaby mi się teraz taka ręka. Choć poziom wody nie sięgał mi wyżej niż do połowy ud, wartki prąd utrudniał brodzenie. W najgłębszym miejscu, na środku, musiałem się posuwać na szeroko rozstawionych nogach. Była to jakby dodatkowa siła ciężenia, działająca pod kątem prostym w stosunku do właściwej.

Kiedy minąłem połowę strumienia, zatrzymałem się na moment, żeby odpocząć i rozejrzeć się. Patrząc w stronę drugiego brzegu, zobaczyłem leżący obok drogi szary kształt. Posunąwszy się o parę dalszych kroków, skonstatowałem, że to mężczyzna lub ciało w szarym ubraniu. Przeszedłem resztę strumienia, wyjmując jednocześnie latarkę.

Był to Hackett. Leżał twarzą do góry, tak strasznie pokancerowana, iż ledwo go poznałem. Jego ubranie było przesiąknięte wodą, a we włosach miał muł.

Zobaczywszy światło latarki, spróbował usiąść. Pomogłem mu, wsuwając rękę pod bark.

— Pamięta mnie pan? Jestem Archer.

Skinął głową, która zatoczyła się bezsilnie i oparła o moje ramię.

— Może pan mówić?

— Mogę — wychrypiał, jakby miał usta pełne krwi. Mówił tak cicho, że musiałem się pochylić, by go usłyszeć.

— Gdzie jest Davy Spanner?

— Uciekł. Zastrzelili tego drugiego, po czym uciekł.

— Zastrzelili Jacka Fleischera?

— Nie wiem, jak ten człowiek się nazywał. Starszy mężczyzna. Spanner odstrzelił mu głowę. To było straszne.

— Kto pana tak skatował, panie Hackett?

— Spanner. Pobił mnie do nieprzytomności i zostawił, żebym umarł. Deszcz mnie otrzeźwił. Dotarłem do tego miejsca i padłem ze zmęczenia.

Z drugiego brzegu odezwał się Hank i zamrugał światłami samochodu. Odkrzyknąłem, żeby się nie denerwował, i powiedziałem Hackettowi, że ma zostać na miejscu i nigdzie się nie ruszać.

— Chyba nie zostawi mnie pan tutaj? — zapytał przerażony.

— Tylko na parę minut. Spróbujemy przejechać samochodem przez strumień. Skoro Spanner uciekł, nie ma się czego obawiać.

— Uciekł, dzięki Bogu.

Wyglądało na to, że niedawne przejścia nauczyły go pokory. Poczulem nawet do niego pewną sympatię, której poprzednio nie miałem. Okryłem go swoją marynarką.

Zacząłem wracać przez strumień z latarką w jednej ręce i pistoletem w drugiej, gdy nagle przypomniałem sobie, że Fleischer przyjechał samochodem. Skoro nie żył, mogłem go wykorzystać.

Cofnąłem się do Hacketta.

— Gdzie jest samochód tego zabitego?

— Zdaje się, że widziałem jakiś samochód koło stodoły — powiedział i drżącą ręką wskazał na prawo.

Przeszedłszy ze sto jardów, trafiłem na odgałęzienie drogi, prowadzące w prawą stronę. Deszcze, te dawne i obecny, wypłukały szlak do gołej skały. Szedłem, myśląc ze strachem, jakie niespodzianki oczekują mnie na końcu drogi.

Pierwszym budynkiem, na który się natknąłem, była stara, przechylona stodoła, w której ścianach widniały liczne dziury. Kiedy oświetliłem ją latarką, z jednego z otworów wyleciała sowa: dziwna, obojętna, płaska twarz, podobna do ludzkiej, przecięła bezgłośnie strumień światła. Przestraszyła mnie: przeszło mi przez głowę, że to może duch Fleischera.

Jego samochód stał pod stodołą. Nie był zamknięty, lecz w stacyjce brakowało kluczyka. Prawdopodobnie znajdował się w kieszeni Fleischera, co spowodowało, iż omal nie zrezygnowałem z zamiaru skorzystania z jego samochodu. Zmusiłem się jednak, żeby pójść dalej — w stronę domu.

Poza starymi kamiennymi fundamentami i małym fragmentem, przykrytym płaskim dachem, z budynku nic nie zostało. Nawet ta mała część była w stanie rozkładu. Podarte płyty Papy łopotały na wietrze, a wypaczone drzwi były otwarte.



Wewnątrz domu, na mokrej betonowej podłodze, leżał na brzuchu Jack Fleischer. Pasował do ogólnego obrazu tej ruiny: jego twarz i głowa wyglądały jak zardzewiałe, a z przeciekającego dachu lała się na nie woda.

Przeszukując mu kieszenie, stwierdziłem, iż ciało jest jeszcze ciepłe. Kluczyki do samochodu były w kieszeni spodni. W wewnętrznej kieszeni marynarki znalazłem dokumenty, które skopiował w kserokopiami Acme w San Francisco. Zabrałem je.

Zanim wyszedłem z chaty, rozejrzałem się ostatni raz po jej wnętrzu. W jednym z rogów stało piętrowe łóżko z desek, takie samo jak w barakach dawnego Dzikiego Zachodu. Na dolnej pryczy leżał śpiwór. Prócz łóżka jedynym meblem było krzesło sporządzone z pociętej beczki. Obok niego na podłodze walało się mnóstwo kawałków zużytej taśmy klejącej, a koło łóżka leżało kilka niedopałków papierosów.

Zostawiłem Fleischera ekipie policyjnej, sam zaś zszedłem po błotnistej pochyłości do jego samochodu. Silnik zaskoczył przy pierwszej próbie. Pojechałem na niskim biegu rynnowym szlakiem w stronę drogi, a potem do miejsca, gdzie czekał Hackett. Siedział na ziemi z głową opartą na kolanach.

Pomogłem mu wstać, po czym posadziłem go na przednim siedzeniu. Z drugiego brzegu Hank krzyknął:

— Nie przejedziesz, Lew! Jest za głęboko.

Musiałem spróbować. Nie mogłem zostawić Hacketta, a nie byłem pewny, czy zdołam go przenieść. Gdybym się pośliznął, porwał by go prąd i cały nasz wysiłek poszedłby na marne.

Wjechałem powoli do wody, kierując się prosto na światła samochodu Langstona, z nadzieją, że droga nie ma zakrętów. Przez jeden okropny moment w połowie strumienia zdawało mi się, że samochód zaczyna pływać. Przesunął się kawałek bokiem, lecz w następnym momencie koła odzyskały oparcie na wyższych częściach niewidocznej drogi.

Przejechaliśmy przez strumień bez dalszych niespodzianek. Trzymając Hacketta pod ramiona, przetransportowaliśmy go z Langstonem na tylne siedzenie jego kombi. Włożyłem na powrót spodnie i

marynarke, a Hacketta owinalem dywanikiem samochodowym. Kombi na szczescie miało dobre ogrzewanie.

Zamknawszy samochód Fleischera, zostawilem go na drodze, lecz po chwili wróciłem, by przeszukać bagażnik. Nie znalazłem żadnych taśm. Zatrzasnąłem klapę kufra, wróciłem do samochodu Langstona i odbyliśmy powolną, dwunastomilową podróż powrotną do Centerville.

Nie było nas około dwóch godzin, ale światła w bistro Ala Simmonsa dalej się paliły. Otworzył nam drzwi, ziewając. Wyglądało na to, że spał w ubraniu.

— Widzę, że wam się udało.

— Nam tak, ale Fleischer oberwał.

— Nie żyje?

— Ktoś odstrzelił mu pół głowy z obrzyna.

— Na ranczu Kruga?

— Tak.

— Od początku wiedziałem, że to ranczo go wykończy.

Nie chciałem tracić czasu, żeby wypytać Simmonsa, co miał na myśli. Wskazał mi telefon na zapleczu baru i podał numer lokalnego biura szeryfa w Rodeo City. Funkcjonariuszem na służbie był zastępca szeryfa, Pennell. Powiedziałem mu, że Jack Fleischer został zabity strzałem z dubeltówki.

— Jack? — Był wstrząśnięty. — Rozmawiałem z nim dzisiaj. Był u mnie wieczorem.

— Co powiedział?

— Że jedzie na ranczo Kruga. Nie zdradził mi po co. Powiedział tylko, że gdyby nie wrócił do rana, to chce, żebym tam przyjechał z paroma ludźmi.

— Zrób to zaraz. Nie czekaj do rana.

— Nie mogę. Nie mam ani jednego wozu patrolowego. Mój się zepsuł, a hrabstwo ma dać pieniądze na nowy nie wcześniej niż w styczniu — odparł Pennell. Był skonsternowany i zmartwiony. — Będę musiał zadzwonić po samochód do Santa Teresa.

— A co z ambulansem?

— Ambulans też musi być z Santa Teresa. Ale jeśli Jack nie żyje, niepotrzebny mu ambulans.

— Mam tu rannego. — Nie wspomniałem nazwiska Hacketta, mając nadzieję, że uda mi się odstawić go do domu, zanim wiadomość się rozejdzie. — Przywozę go do Rodeo City. Wezwij ambulans i wóz patrolowy i spotkamy się wszyscy w twoim biurze.

Al Simmons usiadł na kontuarze, przysłuchując się końcowi naszej rozmowy. Kiedy odłożyłem słuchawkę, powiedział refleksyjnie:

— Zabawne, jak zmieniają się koleje ludzkiego losu. Rory Pennell był pomagierem Jacka przez piętnaście lat, a teraz zajął jego stanowisko w Rodeo.

— Co Jack miał wspólnego z ranczem Kruga?

— Nie chciałem o tym mówić — odparł, mimo iż jego oczy aż iskrzyły się chęcią opowiedzenia całej historii. — Jack nie żyje i jest... to znaczy był żonaty. Nie chciałem, żeby dowiedziała się o tym pani Fleischer.

— Jakaś inna kobieta?

— Tak. Jack miał swoje zalety, owszem, ale zawsze gonił za spódniczkami. We wczesnych latach pięćdziesiątych napalił się na kobietę, która mieszkała na ranczu Kruga. Myślę, że ją także dopadł. — Simmons wyszczerzył zęby. — Zwykle zatrzymywał się u mnie na kufel piwa, a potem jechał spędzić z nią noc. Nie można mu się dziwić. Laurel Blevins była atrakcyjną sztuką.

— Jej mąż nie miał nic przeciwko temu?

— Myślę, że o niczym nie wiedział. Przeważnie go nie było. Polował, żeby zdobyć mięso, a kiedy nie polował, włóczył się po górach z tymi do malowania... zapomniałem, jak się nazywają.

— Sztalugami?

— Tak. Uważał się za artystę. Ale oboje z synkiem żyli w tamtym starym, spalonym domu na poziomie prymitywnych Indian, żywiących się korzonkami. W takiej sytuacji nie można mieć za złe

Laurel, że flirtowała z Jackiem. Piętnaście lat temu był przystojny i zawsze miał pieniądze z burdeli w Rodeo. Kiedy Blevins porzucił żonę, Jack ulokował ją w domu Mamy Hagedorn. Wiem to od samej Mamy.

— Co się stało z Blevinsem?

— Ruszył w świat. Był urodzonym nieudacznikiem.

— A z chłopczykiem?

— Nie wiem. Gdzieś w tym całym zamieszaniu zaginął.

Pomyślałem, iż lepiej byłoby, gdyby rzeczywiście zginął, zamiast wrócić po to, żeby mścić się na przeszłości, której nie mógł zmienić nawet za pomocą dubeltówki.

Zapytałem Ala Simmonsa o Davy'ego. Przypomniał sobie, iż rankiem poprzedniego dnia widział mężczyznę lub chłopaka w zielonym samochodzie, skręcającego w kierunku rancza. Nie widział ani nie słyszał, żeby ktoś tamtej nocy stamtąd wracał.

— Jest jakaś inna droga do rancza?

— Przez przełęcz na północnym zachodzie, ale do tego potrzeba napędu na cztery koła, zwłaszcza przy takiej pogodzie jak dziś.

Langston zatęchł niecierpliwie. Miałem do zrobienia jeszcze tylko jedną rzecz: zadzwoniłem do domu Hacketta w Malibu i powiadziałem Ruth Marburg, że przywożę jej syna.

Usłyszałem, że szlocha. Potem zaczęła zadawać mi pytania, które uciałem. Oznajmiłem krótko, że wracamy ambulansem, że Hackett nie został poważnie ranny, ale jest wyczerpany i cierpi z powodu wyziębienia organizmu, i że w domu powinien czekać na niego lekarz.

Powiedziałem, że będziemy na miejscu około szóstej rano.

## ROZDZIAŁ 23

Zastępca szeryfa Rory Pennell był wychudzonym, jękającym się mężczyzną około czterdziestki, o nastroszonych sumiastych wąsach. Tego dnia jękał się bardziej niż zwykle, prawdopodobnie z powodu śmierci Fleischera. Był szczerze zmartwiony. Mówiąc, co chwilę kładł wielką rękę na rękojeści wiszącego u pasa rewolweru.

Miałem zamiar pobyć dłużej w Rodeo City, by porozmawiać z Pennellem, Mamą Hagedorn i wszystkimi osobami, które pomogłyby mi zrekonstruować przeszłość. Wyglądało na to, iż Jack Fleischer był mocno zamieszany w śmierć Jaspera Blevinsa. W tej chwili jednak mój zamiar był całkowicie bezprzedmiotowy: musiałem się z nim wstrzymać, bo ważniejszą rzeczą było odwiezienie Stephena Hacketta do domu.

Dwaj ludzie z biura szeryfa w Santa Teresa wyrazili ochoczo gotowość jazdy z nami w charakterze eskorty. Zadanie było łatwe i bezpieczne, miało też wartość reklamową. Przypomniałem im, że na ranchu Kruga leży ciało Jacka Fleischera, a chłopak, który go zabił, prawdopodobnie utknął w błocie gdzieś w górach, dalej na północ.

Pożegnałem się z Hankiem i pojechałem ambulansem z Hackettem na południe, siedząc na podłodze obok jego leżanki.

Po opatrzeniu ran poczuł się lepiej i teraz pił bulion przez słomkę. Zapytał go o kilka kwestii, które wymagały wyjaśnienia.

— Czy to Sandy Sebastian uderzyła Lupe?

— Tak. Ogłuszyła go łyżką do opon.

— Czy użyła przemocy wobec pana?

— Nie bezpośrednio. Związała mnie taśmą, podczas gdy chłopak trzymał mnie pod lufą. Skrępowwała mi przeguby i kostki i zakneblowała usta. Zakleiła mi nawet oczy. — Podniósł rękę z koca i dotknął oczu. — Wpakowali mnie do kufra jej samochodu. To piekielne uczucie, być zamkniętym w ten sposób. Uniósł głowę. — Jak długo to już trwa?

— Około trzydziestu sześciu godzin. Czy Sandy żywiła do pana jakąś urazę?

Nie odpowiedział od razu.

— Prawdopodobnie tak. Ale nie wiem dlaczego.

— A chłopak?

— Nigdy przedtem go nie widziałem. Zachowywał się jak szalony.

— To znaczy jak?

— Wydawało się, że nie wie, co robi. W pewnym momencie położył mnie na torze kolejowym. Wiem, że to, co mówię, brzmi jak wiktoriański melodramat, ale on zamierzał mnie zgładzić. Położył mnie na szynach, żeby przejechał mnie pociąg. Dziewczyna uciekła i wtedy zmienił zamiar. Zawiózł mnie do jakiegoś innego miejsca i uwięził. Przez większość dnia... wczoraj? ...traktował mnie dobrze. Rozwiązał mnie i pozwolił pochodzić po izbie. Dał mi wodę i trochę chleba i sera. Cały czas oczywiście trzymał mnie pod bronią. Siedziałem na krześle, a on leżał na pryczy, z wycelowaną we mnie lufą. Nie jestem tchórzem, ale taka sytuacja może zszarpać nerwy. Nie mogłem się zorientować, o co mu chodzi.

— Czy zażądał okupu, panie Hackett?

— To ja zacząłem o tym mówić. Zaproponowałem mu dużą sumę. Powiedział, że to go nie interesuje.

— Czego właściwie chciał?

Zanim odpowiedział, namyślał się dłuższą chwilę.

— Mam wrażenie, że sam nie wiedział. Zachowywał się, jakby był w transie. Wieczorem wypalił trawkę, więc jego trans pogłębił się jeszcze bardziej. Wydawało się, że czeka na jakieś mistyczne przeżycie. Ja byłem całopalną ofiarą.

— Czy tak właśnie się wyraził?

— Nie wprost. Powiedział, iż on i ja założymy dla żartu zespół muzyczny. Zaproponował dla niego kilka nazw, wszystkie na temat ludzkiego cierpienia, na przykład „Ofiara ludzka”. — Jego głos ścichł. — To nie był żart. Jestem przekonany, że postanowił mnie zabić, tylko chciał, żebym przedtem jak najdłużej cierpiał.

— Czemu?

— Nie jestem psychologiem, ale mam wrażenie, iż brał mnie za swojego przybranego ojca. Pod koniec, gdy był na dużym haju, zaczął do mnie mówić „tato”. Nie wiem, kim był lub jest jego prawdziwy ojciec, ale sądzę, że go nienawidzi.

— Miał trzy lata, kiedy jego ojciec zginął pod pociągiem. Widział, jak to się stało.

— Na Boga! — Hackett na pół uniósł się z postania. — To wiele tłumaczy, prawda?

— Mówił coś o ojcu?

— Nie. Nie podtrzymałem rozmowy. W końcu zasnął. Przygotowałem się, żeby na niego skoczyć, lecz w tym momencie wszedł tamten... Fleischer czy jak mu tam. Pewnie myślał, że nikogo w izbie nie ma. Chłopak wystrzelił z obu luf, nie dając mu żadnych szans. Uciekłem na zewnątrz, ale on dogonił mnie i pobił tak mocno, że straciłem przytomność.

Opadł na leżankę, zasłaniając się łokciami w obronnym geście, jakby Davy znów zamierzał rzucić się na niego z pięściami. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Stopniowo jego chrapliwy oddech ucichł, przechodząc w spokojny rytm snu.

Rozłożywszy koc na trzęsącej się podłodze, również zasnąłem. Obudziłem się nad ranem z dobrym samopoczuciem: odwoziłem

Hacketta żywego. Jednak on nadal był wystraszony. Śpiąc, zasłaniał głowę ramionami i jęczał.

Nad wzgórzami Malibu wstawało czerwone słońce. Ambulans zatrzymał się w West Malibu przed znakiem: TERENY PRYWATNE. ZAKAZ PRZEJAZDU. Kierowca nie wiedział, jak dalej jechać, i gestem pytał mnie o to przez okienko.

Usiadłem na przednim siedzeniu obok niego, a sanitariusz przesiadł się na moje miejsce przy Hacketcie. Odnaleźliśmy skręt w lewo i pojechaliśmy przez wzgórze w stronę jego posiadłości.

Było parę minut po szóstej. Na szczycie przełęczy uderzyła w nas lawina światła wschodzącego słońca.

Ruth Marburg i Gerda Hackett wyszły razem przed dom. Ruth miała pomarszczoną twarz i zapuchnięte oczy, lecz promieniowała radością. Podbiegłszy do mnie niezdarnie, uściśnęła mi ręce i gorąco podziękowała. Potem odwróciła się ku synowi, którego sanitariusze wynosili z ambulansu. Pochyliwszy się nad nim, chwyciła go w objęcia, lamentując nad jego ranami.

Gerda stała krok za nią. Wyglądała na nieco urażoną, jakby eksplozja uczuć Ruth zepchnęła ją na drugi plan. Ona również uściśnęła Stephena, natomiast Sidney Marburg i doktor Converse jedynie patrzyli, stojąc nieruchomo.

Był tam jeszcze trzeci człowiek, barczysty, o poważnej kwadratowej twarzy, w wieku około czterdziestu lat. Zachowywał się, jakby spełniał jakiś obowiązek. Kiedy Hackett wstał chwiejnie, życząc sobie samodzielnie wejść do domu, zamiast być wniesionym, barczysty mężczyzna poszedł za nim. Na końcu pochodu szedł doktor Converse, wyglądając w tym towarzystwie na osobę całkowicie bezradną.

Zadziwiła mnie Ruth Marburg. W ferworze zdarzeń zapomniałem o obiecany wynagrodzeniu, ale ona pamiętała. Zaprowadziwszy mnie do biblioteki, wypisała czek.

— Postdatowałam go o tydzień. — Wstała, machając czekiem,



żeby wysechł atrament. — Nie trzymam takiej sumy w banku. Muszę dokonać transferu niektórych funduszy i sprzedać trochę papierów wartościowych.

— Nie ma pośpiechu.

— To dobrze. — Wręczyła mi żółtą kartkę. Opiewała na obiecaną mi sumę.

— Jak na bogatą osobę, jest pani niezwykła — powiedziałem. — Większość bogatych kobiet zamordowałaby człowieka dla pięciocentówki.

— Nie zawsze byłam bogata. Ale dziś mam więcej pieniędzy, niż jestem w stanie wydać.

— Podobnie jak ja teraz.

— Niech pana ta suma nie zmyli. Sto tysięcy w dzisiejszych czasach to tyle, co kot napłakał. Połowę z tego zabierze panu Wuj Sam. Jeśli chce pan posłuchać mojej rady, to niech pan resztę zainwestuje w nieruchomości i cieszy się, obserwując, jak ich wartość wzrasta.

Nie byłem przekonany, czy to powinno mnie cieszyć. Schowałem czek do portfela. Nie podobało mi się podniecenie, jakie w związku z nim odczuwałem. W tym podnieceniu kryła się depresja, bo uświadomiłem sobie, iż w pewien sposób stałem się własnością czeku, zamiast mieć poczucie, że czek należy do mnie.

Ruth Marburg dotknęła ręką mojego policzka. To nie był odruch przyjaźni, tylko gest objęcia mnie na własność.

— Jesteś zadowolony, Lew? Mogę tak do ciebie mówić?

— Tak... to odpowiedź na oba pytania.

— Nie wyglądasz na uradowanego, a powinieneś. Zrobiłeś dla nas wielką rzecz. Jestem ci dozgonnie wdzięczna.

— Cieszę się. — Ale wcale się nie cieszyłem. Za jej podziękowaniami wyczuwałem ukryte przekonanie, że zostałem kupiony... że wzięła, nie dając nic w zamian.

— W jaki sposób udało ci się dokonać tylu rzeczy? — spytała.

Opowiedziałem jej w skrócie, jak idąc tropem Fleischera, trafiłem do Alberta Blevinsa i Almy Krug, co zaprowadziło mnie w końcu

do chaty, gdzie przetrzymywano jej syna — i o tym, co w tym miejscu znalazłem.

— Miałeś wyczerpującą noc. Pewnie jesteś bardzo zmęczony. —  
Znów dotknęła mojego policzka.

— Proszę tego nie robić.

Cofnęła szybko rękę, jakby w obawie, że ją ugryzę.

— O co chodzi?

— Za ten czek kupiła pani swojego syna, nie mnie!

— Nic takiego nie pomyślałam. To był gest przyjaźni. Na Boga, mogłabym być twoją matką!

— Nie, do diabła!

Potraktowała to jako komplement, który ukoił jej zranione uczucia.

— Jesteś zmęczony, prawda, Lew? Spałeś choć trochę?

— Niewiele.

— Zgaduję, co byś teraz najchętniej zrobił. Proponuję, żebyś położył się spać. Stephen i Gerda mają mnóstwo pokoi.

Propozycja była tak kusząca, iż zareagowałem jak narkoman na myśl o działce: zacząłem ziewać. Powiedziałem jej jednak, że wolę własne łóżko.

— Jesteś bardzo niezależny, prawda?

— Chyba tak.

— Ja też taka jestem. Szkoda, że Sydney jest taki miękki. —  
Mówiła o nim jak matka o niepełnosprawnym umysłowo synu.

— Skoro mówimy o Sidneyu,- to czy nie mógłby mnie odwiedzić?  
Mój samochód został w Dolinie.

— Naturalnie. Zaraz mu powiem. Jeszcze tylko jedno, nim odjedziesz: pan Thorndike będzie pewnie chciał z tobą pomówić.

Wyszła i po chwili wróciła, prowadząc - barczystego mężczyznę. Thorndike przedstawił się jako agent specjalny FBI. Ruth zostawiła nas samych w bibliotece, a Thorndike wypytał mnie, nagrywając naszą rozmowę na magnetofonie.

— Nie chcę być krytyczny — powiedział na koniec — bo

wszystko dobrze się skończyło, ale uważam, że szaleństwem było ścigać porywacza w towarzystwie tylko psychologa szkolnego, nie mając osłony. Mogliście skończyć podobnie jak Fleischer.

— Wiem, ale ten porywacz jest szczególnego rodzaju. Nie wierzę, żeby strzelił do Langstona.

— Nie miał okazji.

Powiedział to jednak z pewną wyższością, jak nauczyciel strofujący krnąbrnego ucznia. Nie oponowałem. W końcu to ja przyprowadziłem do domu Hacketta, nie on.

## ROZDZIAŁ 24

Kiedy przyjechał kapitan Aubrey z biura szeryfa, Thorndike poszedł z nim porozmawiać. Zaniknąwszy za nim drzwi biblioteki, wciśnąłem guzik w gałce, blokujący zamek. Po raz pierwszy od czasu, gdy zabrałem z kieszeni martwego Jacka Fleischera kserokopie, miałem okazję znaleźć się sam w oświetlonym pomieszczeniu.

Rozłożyłem je na stole pod oknem i rozsunałem zasłony. Kopia metryki urodzenia Henrietty R. Krug stwierdzała, iż urodziła się 17 października 1910 roku w hrabstwie Santa Teresa, jako córka Josepha i Almy Krug. Metryka była podpisana przez doktora medycyny Richarda Harlocka z Rodeo City.

Drugi dokument był bardziej interesujący. Stanowił kopię pierwszej strony „Santa Teresa Star” z 28 maja 1952 roku. Tytuł wiadomości: „Morderstwo potentata naftowego nadal niewyjaśnione” i podtytuł: „Trwa poszukiwanie gangu młodzieżowego” odnosiły się do krótkiej notatki nadesłanej z Malibu:

„Policja nadal bada okoliczności zamordowania na plaży w dniu 24 maja znanego obywatela Malibu, milionera z Teksasu, Marka Hacketta. Według informacji zastępcy szeryfa, Roberta

Aubrey z komisariatu w Malibu, aresztowano ponad tuzin podejrzanych, których następnie zwolniono. Poszukuje się — w celu przesłuchania — członków gangu motocyklistów, których widziano w okolicy Malibu w nocy 24 maja.

Hacketta zastrzelono podczas spaceru po plaży, wieczorem 24 maja. Jego portfel został skradziony. Policja znalazła rewolwer, który zidentyfikowano jako narzędzie zbrodni. Zmarły osierocił żonę i syna, Stepheną”.

Na tej samej stronie mieściła się notatka, opatrzona podpisem: „Od specjalnego korespondenta w Rodeo City”, nosząca tytuł: „Kolejna śmierć na torach”.

„Jazda pociągami towarowymi, uważana za najtańszy sposób podróżowania, kończy się dla niektórych tragicznie. Leżący na uboczu trakt kolejowy na południe od Rodeo City stał się w ciągu ostatnich lat areną serii nieszczęśliwych wypadków. Zdarzały się okaleczenia, obcięcie członków ciała, a nawet głów.

Ostatniego z pechowców, a zarazem drugiego w tym roku, znalazł dziś rano Jack Fleischer, zastępca szeryfa z komisariatu w Rodeo City. Niezidentyfikowane ciało należało do mężczyzny w wieku około dwudziestu pięciu lat. Koła pociągu ucięły mu głowę.

Według Fleischera ubranie mężczyzny wskazuje na to, iż był wędrownym najemnym robotnikiem. Znaleziona w kieszeni ofiary suma ponad dwudziestu dolarów wyklucza podejrzenie o zabójstwo dla pieniędzy.

Zastępca szeryfa zwrócił reporterowi uwagę na wruszający aspekt tego tragicznego wydarzenia. Z ofiarą podróżował chłopczyk w wieku około trzech lat, który przesiedział całą noc przy ciele ojca. Na czas wyjaśniania okoliczności śmierci ofiary dziecko zostało umieszczone w sierocińcu”.

Ta druga informacja — oprócz tego, co już wiedziałem — wskazywała na to, iż Fleischer z rozmysłem zamknął śledztwo. Musiał wiedzieć, kim była ofiara; możliwe, że usunął wszelkie znaki, które pomogłyby ją zidentyfikować. Pieniądze w kieszeni zmarłego nie wykluczały możliwości morderstwa ani tego, że mógł go dokonać Fleischer.

Zastanawiająca była koincydencja tych dwóch śmierci: zdarzyły się w odstępnie trzech czy czterech dni. Mógł to być przypadek, lecz było jasne, iż Fleischer tak nie myślał. Kapitan Aubrey był prawdopodobnie tym samym zastępcą szeryfa, który przed piętnastu laty zajmował się morderstwem Marka Hacketta.

Znalazłem go w salonie, zajętego rozmową z Thorndike'em i doktorem Converse'em. Według doktora Hackett nie odniósł poważniejszych obrażeń, doznał jedynie szoku. Jego zdaniem pacjent nie powinien być przesłuchiwany, dopóki nie odpocznie. Policjant nie oponował.

Kiedy Converse skończył, zaciągnąłem go do sąsiedniego pokoju, gdzie nikt nie mógł nas słyszeć.

— O co jeszcze chodzi? — spytał opryskliwie.

— Powtarzam stare pytanie, dotyczące Sandy Sebastian: na co pan ją leczył latem ubiegłego roku?

— Nie mogę tego panu powiedzieć. Bez zgody pacjenta to byłoby nieetyczne. — Uniósł pytająco brwi. — Czy to pan spowodował wczorajszy telefon doktora Jeffreya do mnie?

— Nie namawiałem go do tego. Zadałem mu to samo pytanie co teraz panu.

— Nie odpowiem żadnemu z was — oświadczył Converse. — Dziewczyna ma i bez tego dość kłopotów.

— Chcę ją z nich wyciągnąć.

— Dziwnie pan się do tego zabiera.

Zadałem mu podchwytliwe pytanie:

— Czy zeszłego lata zażywała jakieś narkotyki albo coś w tym rodzaju?

— Odmawiam odpowiedzi — odparł, ale jego bystre oczy potwierdzały moje przypuszczenie.

— Środki halucynogenne?

W pojedynku z jego zasadami etycznymi zwyciężyła ciekawość.

— Na czym pan opiera swoje domysły?

— Dowiedziałem się, że miała samobójcze zamiary. Przedawkowanie LSD przynosi czasem takie efekty. Z pewnością pan o tym wie, doktorze.

— Oczywiście.

— Zechce pan usiąść i porozmawiać o tym ze mną?

— Nie mogę. Nie mam prawa dyskutować na temat prywatnych spraw moich pacjentów.

— Sprawy Sandy stały się publiczne. Proszę mieć na uwadze, że jeśli chodzi o mnie, to jestem po jej stronie.

Converse potrząsnął głową.

— Zechce mi pan wybaczyć. Muszę pojechać na obchód w szpitalu.

— Jak się czuje Lupe?

— Dobrze.

— Zdarza mu się brać narkotyki?

— Skąd, do diabła, mam to wiedzieć?

Odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

W salonie czekał na mnie kapitan Aubrey. Thorndike podzielił się z nim moją relacją, ale miał jeszcze kilka pytań.

— Był pan przy tych wydarzeniach od samego początku. Jaka jest pańskim zdaniem ich geneza?

— Zaczęło się od tego, że Davy Spanner poznał Sandy Sebastian. Oboje są w znacznym stopniu wyalienowani, oboje są młodzi i oboje mają za sobą ciężkie przeżycia.

— Wiem coś niecoś o Spannerze. Jest psycholem z kryminalną przeszłością. Nie powinien przebywać na wolności. — Jego oczy były lodowato szare. — Na szczęście to już nie potrwa długo. Mam informację z Rodeo City. Znaleźli samochód córki Sebastiana tkwiący po osie w błocie, na północ od rancza. Bez samochodu Spanner daleko nie ucieknie. Władze Santa Teresa spodziewają się, iż dziś zostanie złapany.

— I co wtedy?

— Spanner jest ich pupilkiem. — Użyte przez Aubreya określenie nasunęło mi szereg skojarzeń. — Poszukują go za morderstwo

pierwszego stopnia, więc mają do niego pierwszeństwo. Sprawa dziewczyny nie jest tak prosta. Przede wszystkim jest nieletnia i ma czyste konto. Co więcej, uciekła od Spannera, nim zdążył zamordować Fleischera. Miała szczęście.

— Sandy nie jest kryminalistką. Kiedy się zorientowała, że Spanner jest zdolny do popełnienia zbrodni, odeszła od niego.

— Rozmawiał pan z nią, prawda? Co może popchnąć dziewczynę do takiego zachowania? — Aubrey był szczerze zmartwiony. — Mam szesnastoletnią córkę. To dobra dziewczyna. Tamta była prawdopodobnie taka sama. Skąd mam mieć pewność, że moja córka nie podejrze któregoś dnia do niewinnego człowieka i nie rozwali mu czaszki łyżką do opon?

— Myślę, że Sandy żywiła jakąś urazę do Lupe. Wszystko mogło się od tego zacząć.

— Co miała mu za złe?

— Wolałbym o tym nie mówić, dopóki nie zdobędę dowodów, kapitanie.

Zacerwienił się, pewnie mając na myśli własną córkę. Pochyliwszy się ku mnie, zapytał.

— Utrzymywał z nią stosunki płciowe?

— Nic na ten temat nie wiem. Cokolwiek między nimi było, wkrótce wyjdzie na jaw. Kuratorzy sądowi przeczeszą ją najgęstszym grzebieniem.

Aubrey spojrział na mnie gniewnie i odwrócił się, zamierzając odejść. Zatrzymałem go.

— Jest jeszcze coś, o czym chciałbym z panem porozmawiać. Pójdźmy do pańskiego samochodu. To sprawa bardziej prywatna.

Wzruszył ramionami. Wyszliśmy przed dom. Wsiadł do nieoznakowanego samochodu, a ja usiadłem na siedzeniu obok niego.

— Czy pan jest tym samym Aubreyem, który pracował kiedyś w komisariacie w Malibu?

— Tak. Właśnie dlatego zostałem przydzielony do tej sprawy.

— Dowiedziałem się, że to drugie poważne przestępstwo przeciw rodzinie Hackettów.



— To prawda. Ojciec pana Hacketta, Mark, został zastrzelony na plaży.

— Czy trafił pan kiedykolwiek na trop mordercy?

— Nie. Zbrodnie nie mające motywów są trudne do rozwiązania — odparł skruszonym tonem. — Problem w tym, że nie można udowodnić powiązania między napastnikiem a ofiarą.

— Więc jedynym motywem był rabunek?

— Najwidoczniej. Jego portfel został skradziony, a Hackett zawsze nosił przy sobie dużo pieniędzy, co w tych okolicznościach nie było najrozsądniejsze. Miał domek plażowy i lubił samotnie spacerować nocą. Jakiś złodziej, mający broń, musiał podpatrzeć ten jego zwyczaj.

— Aresztował pan kogoś?

— Przemaglowaliśmy tuziny podejrzanych, ale żadnemu nie dało się przypisać odpowiedzialności za zbrodnię.

— Przypomina pan sobie jakieś nazwiska?

— To było dawno temu.

— Spytam pana o jedno. Jasper Blevins.

Pokręcił głową.

— Przykro mi, ale to nazwisko nic mi nie mówi. Kto to jest?

— To ojciec Davy'ego Spannera. W starej gazecie z Santa Teresa przeczytałem, że trzy dni po śmierci Hacketta zginął przejechany przez pociąg.

— Jaki stąd wniosek?

— Zaskakujący zbieg okoliczności.

— Możliwe. Ciągle mam do czynienia ze zbiegami okoliczności. Niekiedy coś znaczą, innym razem nie.

— Ten coś znaczy.

— Chce pan powiedzieć, że istnieje związek przyczynowo-skutkowy między zamordowaniem Marka Hacketta i uprowadzeniem jego syna?

— Jakieś powiązanie istnieje. W gazecie pisano, że to pan znalazł rewolwer, z którego zastrzelono Hacketta.

Audrey odwrócił się ku mnie.

— Czy w szkole też pan tak starannie odrabiał prace domowe?

— Znalazł pan powiązanie między bronią i jej właścicielem? Nie od razu odpowiedział. Po dłuższej chwili rzekł:

— Najdziwniejsze jest to, że rewolwer należał w pewnym sensie do niego...

— Co wskazuje na porachunki rodzinne.

Aubrey uniósł wyprostowaną dłoń nad kierownicą.

— Chwileczkę, niech skończę. Broń należała do Hacketta w tym sensie, iż nabyła ją jedna z jego kompanii naftowych. Przechowywano ją w niezamkniętej szufladzie w biurze w Long Beach. Nie interesowano się nią i po prostu któregoś dnia musiał ją ktoś zabrać.

— Niezadowolony podwładny?

— Staraliśmy się to ustalić, ale nie znaleźliśmy niczego konkretnego. Kłopot w tym, iż Hackett miał sporo niezadowolonych podwładnych. Krótco przedtem przeniósł się tu z Teksasu i zarządzał swoją trzódką w tamtejszym stylu. Nie był lubiany, ale nie mogliśmy udowodnić, iż zabił go któryś z jego pracowników. W samym Long Beach zatrudniał blisko pięćset osób, z których połowa go nienawidziła.

— Jak się nazywała jego kompania?

— Corpus Christi Oil and Gas. Mark Hackett pochodził z Corpus Christi. Nie powinien był się stamtąd ruszać.

Dał mi przyjacielskiego kuksańca w ramię i włączył zapłon. Wsiadłem z samochodu i wróciłem do domu.



Przyciągnęła do siebie moją głowę i pocałowała mnie. Jej zachowanie zaskoczyło mnie, i prawdopodobnie ją również. Z początku wyglądało to jak zdawkowy, dziękczynny pocałunek, lecz niebawem przerodziło się w coś bardziej intymnego. Jej język wsunął się do moich ust jak bezdomny robak, poszukujący schronienia.

Nie podobała mi się na tyle, żebym to zaakceptował. Ujawszy ją za ramiona, wyswobodziłem się z jej uścisku. Odniosłem wrażenie, jakbym miał do czynienia z miękkim posągami.

— Nie jestem dość dobra? — spytała. — Nie jestem atrakcyjna?

— Jest pani bardzo atrakcyjna — odpowiedziałem, mijając się nieco z prawdą. — Ale pracuję dla pani męża i znajdujemy się w jego domu.

— To wcale go nie obchodzi! — W jej oczach błysnęło coś w rodzaju bezsilnego gniewu. — Czy pan wie, co oni teraz robią? Ona siedzi przy jego łóżku i karmi go łyżeczką jajkiem na miękko.

— To wygląda na powrót do niewinnego dzieciństwa.

— Proszę nie żartować! Jest jego matka, a on ma kompleks Edypa, który ta kobieta w nim podsycza.

— Skąd pani to wie?

— Obserwuję ją. Jest matką-uwodzicielką. Jajka na miękko są symboliczne. Wszystko jest symboliczne!

Była rozżalona i bliska łez. Należała do kobiet, które łatwo się rozklejają, ponieważ zakładają z góry, że nie dadzą sobie rady z życiowymi problemami. Była przekonana, że nigdy nie dorówna swojej teściowej.

To jednak nie był mój kłopot. Zmieniłem temat.

— Podobno jest pani przyjaciółką Sandy Sebastian.

— Już nie. Pomagałam jej w nauce języków. Okazała się niewdzięcznicą.

— Czy spędzała dużo czasu z Lupe?

— Z Lupe? Dlaczego pan o to pyta?

— Bo to może się okazać ważne. Często go widywała?  
— Na pewno nie, przynajmniej nie w tym sensie, który pan ma na myśli. Czasem po nią jeździł, a później odwoził do domu.  
— Jak często?  
— Wiele razy. Ale Lupe nie interesuje się dziewczętami.  
— Skąd pani to wie?  
— Po prostu wiem. — Zaczerwieniła się. — Czemu pan pyta?  
— Chciałbym obejrzeć jego pokój.  
— W jakim celu?  
— To nie ma nic wspólnego z panią. Czy ma w tym domu swój pokój?

— Tak, nad głównym garażem. Nie wiem, czy jest otwarty. Chwileczkę, pójde po klucz.

Przez kilka minut jej nie było. Patrzyłem na obraz Klee, czując, że coraz bardziej mi się podoba. Człowiek tkwiący w labiryncie stworzonym przez jego własny wewnętrzny labirynt.

Wróciła Gerda z kluczem opatrzonym przywieszka: „Mieszk. gar.”. Poszedłem do mieszkania nad garażem i otworzyłem drzwi.

Była to kawalerka, składająca się z dużego pokoju i kuchenki. Udekorowana meksykańskimi tkaninami i ozdobami, miała ściany pomalowane śmiałymi kolorami. Nad łóżkiem, przykrytym ponchem, wisiało kilka prekolumbijskich masek. Jeśli Lupe był prymitywny, to jego prymitywizm był dość wyrafinowany.

Przejrawszy komódkę, nie znalazłem niczego niezwykłego, prócz kilku zdjęć pornograficznych o tematyce sadomasochistycznej. Łazienkowa szafka na lekarstwa zawierała jedynie słoiczek czegoś o nazwie Psychedeliczny Balsam Miłosny. W kuchni znalazłem w miseczce kilka kostek cukru owiniętych aluminiową folią.

Było ich sześć. Wziąłem trzy z nich i, zawinąwszy je w chusteczkę, schowałem w wewnętrznej kieszeni.

Nie słyszałem, żeby ktoś wchodził po schodach, byłem więc zaskoczony, kiedy otworzyły się drzwi i zobaczyłem Sidneya Marburga. Miał na nogach tenisówki.

— Gerda powiedziała, że pan tu jest. Czego pan chce od Lupe?

— Sprawdzam go.

— Co pan sprawdza?

— Chcę się czegoś dowiedzieć o jego zasadach etycznych i prowadzeniu się. Nie jest zwykłym służącym, prawda?

— Ma pan rację. Osobiście uważam go za wrednego typa. — Podszedł do mnie. — Gdyby pan coś znalazł przeciw niemu, chciałbym o tym wiedzieć.

— Mówi pan serio?

— Jak najbardziej. Pozoruje zainteresowanie sztuką, bo moja żona się nią interesuje, ale tylko jemu udaje się ją nabrać.

— Czy jest coś między nimi?

— Myślę, że tak. Czasem przyjeżdża do naszego domu w Bel-Air, kiedy mnie nie ma. Nasz służący donosi mi o tym.

— Są kochankami?

— Nie mam pojęcia — odparł z przygnębieniem. — Ale wiem, że Ruth daje mu pieniądze, bo widziałem kilka skasowanych czeków. Nasz służący twierdzi, że Lupe donosi jej o wszystkim, co się dzieje w domu jej syna. Sytuacja, mówiąc eufemistycznie, jest mało komfortowa.

— Od jak dawna się znają?

— Chyba od zawsze. Pracuje tu, odkąd pamiętam. Jeśli można to nazwać pracą.

— To znaczy jak długo?

— Piętnaście, może szesnaście lat.

— Czy znał pan Hackettów, kiedy Mark jeszcze żył?

To pytanie z jakiegoś powodu zirytowało go.

— Owszem, ale to nie ma związku z tematem naszej dyskusji. Rozmawialiśmy o Lupe.

— Racja. A zatem oprócz szpiegowania na rzecz pańskiej żony, o co jeszcze pan go podejrzuje? Czy nie ma czegoś wspólnego z narkotykami?

— Nie zdziwiłbym się — odparł Marburg. — Chyba kilka razy widziałem go naćpanego: czasem pobudzonego, a czasem zdechłego.

— Widział go pan w towarzystwie córki Sebastiana?

— Nie, nigdy.

— Podobno często ją woził.

— Tak niewątpliwie było. W lecie często odwiedzała Hackettów.

— Popatrzył na mnie pytająco. — Myśli pan, że kombinował z nią?

— Nie mam podstaw, żeby tak sądzić.

— Człowieku, gdyby można było wyciągnąć przeciw niemu coś takiego...

Nie podobała mi się ta jego skwapliwość.

— Wolnego — powiedziałem. — Nie zamierzam naginać faktów, żeby pana usatysfakcjonować.

— Nikt tego od pana nie żąda — odparł, ale było widać, że jest zły. Odniosłem wrażenie, że jest zły na samego siebie za zbytne odkrycie się przede mną. — Skoro pan już tu skończył, cholernie chętnie odwiozę pana do domu.

— Czarująco pan to wyraził.

— Nie muszę być czarujący. Jestem malarzem i tylko tym chcę być.

Mimo kiepskich manier Marburga czułem do niego odrobinę sympatii — lub może tylko tolerancji na pograniczu sympatii. Możliwe, iż żeniąc się z Ruth, która była od niego starsza o dwadzieścia lat, sprzedał się dla pieniędzy, ale postępując jak sprytny agent, pewien procent tożsamości zachował dla siebie.

— To brzmi jak deklaracja niepodległości — stwierdziłem.

Grymas złości na jego twarzy zamienił się w uśmiech, ale była w nim dezaprobata wobec siebie samego.

— Jedźmy. Nie miałem zamiaru skarżyć się panu. — Poszliśmy do jego mercedesa. — Gdzie pan mieszka? — zapytał.

— W West Los Angeles, ale nie wracam do domu. Zostawiłem samochód w Woodland Hills.

— Czy to nie tam właśnie mieszka córka Sebastiana?

— Tak.

— Co z nią?

— Chcę się tego dowiedzieć.

— Informacja to siła. Przepraszam za mój niedawny wybuch, ale mam złe skojarzenia z tym miejscem. Cieszę się, że mogę pana odwiedzić.

Wystartował z takim rykiem, jakby chciał odjechać od tych skrajzeń na zawsze. Pomknęliśmy jak rakieta wzdłuż brzegu jeziora, przez tamę, a potem długą, krętą drogą do bramy, przed którą zahamował z piskiem opon.

— W porządku — powiedziałem. — Zasłużył pan na DFC \*.

— Przepraszam, jeśli pana przestraszyłem.

— Mam za sobą dwa ciężkie dni. Miałem nadzieję, że dzisiejszy będzie lżejszy.

— Przecież przeprosiłem pana.

Skierował samochód ku nadbrzeżnej autostradzie, po czym skręcił w nią na północ. W Kanionie Malibu ponownie skręcił w głąb lądu. Po kilku minutach znaleźliśmy się wśród wzgórz.

Napomknąłem, iż krajobraz jest wart pędzla.

— Nie. Z pięknych widoków powstają złe obrazy — odparł Marburg. — Widowiskowe krajobrazy są banalne. Trzeba je przetworzyć i nadać im inną formę. Ktoś powiedział, że piękno jest trudne.

— Na przykład ten Klee w galerii?

— Tak. Dziesięć lat temu poradziłem Stephenowi, żeby go kupił. Jemu trzeba doradcy. We wszystkim przejawia okropny gust.

— Czy to dotyczy również kobiet?

Marburg jęknął.

\* DFC — Distinguished Flying Cross — Lotniczy Krzyż Walecznych.





— Jedna sprawa dotyczy kobiety o nazwisku Laurel Smith. Była właścicielką małego domu czynszowego w Palisades. Przedwczoraj została pobita na śmierć we własnym mieszkaniu.

— Przeczytałem o niej w porannym „Timesie”. Policja jest zdania, że została pobita przez jakiegoś ześwirowanego sadystę, który nawet jej nie znał.

— Myślę, że nie. Laurel Smith była kiedyś żoną człowieka o nazwisku Jasper Blevins, który zginął pod pociągiem kilka dni po śmierci Marka Hacketta. Laurel Smith i Jasper Blevins byli rodzicami Davy'ego Spannera. Myślę, że te wszystkie zbrodnie, łącznie z próbą zabicia Stephen'a, mają wspólne tło.

Marburg siedział sztywno wyprostowany, bębniąc nerwowo palcami po kierownicy. Sprawiał wrażenie, jakby skręcał się wewnętrznie. Popatrzył na mnie.

— Proszę mi powiedzieć, czy mam paranoję, czy pan mnie o coś oskarża?

— Jeśli któryś z nas ma paranoję, to prędzej ja. O co niby pana oskarżam?

— To nie jest śmieszne — odparł żalonym tonem. — Nie po raz pierwszy jestem oskarżony o coś, czego nie zrobiłem. Po śmierci Marka Hacketta policjanci dali mi niezły wycisk. Zabrali mnie na komisariat i przesłuchiwali przez całą noc. Miałem niepodważalne alibi, ale im się zdawało, że cała ta sprawa to zwykły, klasyczny trójką. Nie zaprzeczam... wtedy przed nimi też tego nie ukrywałem... że Ruth i ja jesteśmy sobie bardzo bliscy i że ją uwielbiam. — Powiedział to dość zdawkowo. — Prawda jest taka, iż ona miała zamiar rozwieść się z Markiem.

— I wyjść za pana?

— I wyjść za mnie. Nie miałbym żadnej korzyści z jego śmierci.

— Za to Ruth miała korzyść.

— Też nie. Zostawił jej tylko tyle, ile jej się prawnie należało.

Na krótko przed śmiercią zmienił testament, zapisując cały swój majątek Stephenowi. Ale Ruth miała również niepodważalne alibi i nie podoba mi się pańskie imputowanie nam czegokolwiek.

W jego gniewie nie czuć było jednak płomienia. Najwidoczniej pozostał — podobnie jak pasja życiowa Marburga — w tej jego części, którą sprzedał. Patrząc na mnie, formułował ostrożne wypowiedzi, jakby był swoim własnym adwokatem.

— Proszę mi opowiedzieć o tym alibi.

— Zrobię to z przyjemnością, choć nie muszę. Gdy zabito Marka, byliśmy z Ruth na kolacji w Montecito. To było duże przyjęcie, w którym uczestniczyło ponad dwadzieścia osób.

— Dlaczego policja nie przyjęła pańskiego alibi?

— Przyjęła, kiedy zostało sprawdzone. Ale to nastąpiło dopiero dzień później. Bardzo chcieli, żebym to ja był winny. Bali się popełnić błąd, włączając Ruth do grona bezpośrednio podejrzanych, więc postanowili ją dotknąć, zabierając mnie.

— Po czyjej stronie był Stephen?

— Od kilku lat nie było go w kraju. Gdy zastrzelono jego ojca, studiował ekonomię w London School. Nie znałem go jeszcze. Okazało się, że był bardzo przywiązany do ojca. Na wiadomość o jego śmierci załamał się i płakał podczas całej międzykontynentalnej rozmowy. To był ostatni raz, kiedy okazał wzruszenie.

— Kiedy to było?

— Ruth zatelefonowała do niego natychmiast po otrzymaniu wiadomości od Lupe, nim jeszcze opuściliśmy dom naszych przyjaciół w Montecito. Prawdę mówiąc, to ja zamówiłem dla niej rozmowę z Londynem, a potem ona rozmawiała z drugiego aparatu. Ta wiadomość zwała Stephen z nóg. Było mi go szczerze żal.

— Jaki był jego stosunek do pana?

— W owym czasie chyba nawet nie wiedział o moim istnieniu. Przez rok trzymałem się z dala od niej. To był pomysł Ruth... myślę, że dobry.

— Ponieważ jest finansowo zależna od niego?

— Może częściowo z tego względu, ale przede wszystkim dlatego, że jest do niego bardzo przywiązana. Chciała tak urządzić swoje życie, żeby mieć nas obu... i dopięła swego. — Mówił o żonie, jakby była siłą natury, demiurgiem albo nawet bóstwem. — Zapewniła mi coś w rodzaju osobistego stypendium w San Miguel de Allende. Kilka minut po przylocie Stephena z Londynu wyleciałem do Meksyku. Ruth zadbała o to, żebyśmy się nie spotkali, ale zdołałem go zobaczyć, kiedy wysiadał z samolotu. Był w tych czasach znacznie mniej konwencjonalny, miał długie włosy, brodę i wąsy. Kiedy w końcu się poznaliśmy, wyglądał już całkiem inaczej... pieniądze postarzają człowieka.

— Jak długo pana nie było?

— Już mówiłem: blisko rok. Ten rok dał mi bardzo dużo. Nigdy przedtem nie miałem możliwości nauki pod okiem dobrych pedagogów, malowania z modeli i dyskusji ze znanymi malarzami. Zachwyciły mnie światło i kolory w Meksyku. — Mówiła do mnie część Marburga, która należała do niego. — Dzięki Ruth z niedzielnego malarza zmieniłem się w artystę.

— Czym pan się zajmował, nim pan został artystą?

— Byłem kreślaczem w biurze geologicznym towarzystwa naftowego. To była mało interesująca praca.

— W Corpus Christi Oil and Gas?

— Tak. U Marka Hacketta. W ten sposób poznałem Ruth. — Przerwał i zwiesił ponuro głowę. — Widzę, że zasięgnął pan informacji o mnie.

Zamiast odpowiedzieć, zadałem mu następne pytanie:

— Jak układają się pańskie stosunki ze Stephenem?

— Dobrze. Każdy z nas żyje własnym życiem. Nie wchodzimy sobie w drogę.

— Przedwczoraj powiedział pan, że dobrze byłoby, gdyby nigdy nie wrócił. Że wtedy kolekcja obrazów stałaby się pańską własnością.

— Żartowałem. Nie wie pan, co to czarny humor? — zapytał i zajrzał mi w twarz. — Chyba pan nie podejrzewa, że miałem coś wspólnego z tym, co się stało ze Stephenem?

Nie odpowiedziałem mu. Resztę drogi do Woodland Hills odbyliśmy w milczeniu.

## ROZDZIAŁ 26

Wszedłem do taniej restauracji na bulwarze Ventura i zjadłem na śniadanie krwisty stek. Potem odebrałem pozostawiony na stacji benzynowej samochód i pojechałem długą drogą pod górą, na ulicę Sebastiana.

Była sobota, więc nawet o tak wczesnej porze dnia na polach golfowych po obu stronach drogi kłębili się gracze. Nie dojechawszy do Sebastiana, zatrzymałem się przed domem ze skrzynką na korespondencję opatrzoną nazwiskiem Gensler. Zapukałem do drzwi.

Otworzył mi jasnowłosa mężczyzna w wieku około czterdziestu lat. Na twarzy miał wyraz zatrwożenia i zniekania, spotęgowany jeszcze przez wylupiaste niebieskie oczy i niemal niewidoczne brwi.

Wytłumaczyłem mu, kim jestem, i spytałem, czy mogę porozmawiać z Heidi.

— Córki nie ma w domu.

— A kiedy wróci?

— Nie wiem. Odesłałem ją z miasta, żeby zamieszkała u krewnych.

Nie powinien pan tego robić, panie Gensler. Ludzie z nadzoru kuratorskiego mogą chcieć z nią porozmawiać.

— Nie wiem po co.

— Ona jest świadkiem.

Jego twarz i szyja poczerwieniały.

— Z całą pewnością nie. Heidi jest miłą, niewinną dziewczyną. Jedyne, co ją łączy z córką Sebastiana, to fakt, że mieszkają przy tej samej ulicy.

— Bycie świadkiem nie jest hańbą — powiedziałem. — A także wiedza o czyichś kłopotach.

Gensler zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Jadąc w stronę domu Sebastiana, doszedłem do wniosku, iż Heidi musiała wyznać ojcu coś, co go przestraszyło.

Przed domem stał rover doktora Jeffrey'a. Twarz Bernice Sebastian, która mnie wpuściła, świadczyła o jakichś kolejnych nieszczęściach. Zapadnięte policzki wyglądały, jakby coś je zjadło od wewnątrz, a jej oczy sprawiały wrażenie uwieczonych w klatce światła.

— Co się stało?

— Sandy próbowała popełnić samobójstwo. Ukryła jedną z żyletek ojca w swoim psie.

— W jakim psie?

— W swoim szmacianym spanielu. Zabrała żyletkę ojca, kiedy poszła do łazienki, po czym chciała przeciąć sobie przegub. Na szczęście podsłuchiwałam pod drzwiami. Krzyknęła i udało mi się ją powstrzymać, nim zdążyła zranić się śmiertelnie.

— Czy powiedziała, dlaczego to zrobiła?

— Oświadczyła, że jest potworem i nie zasługuje na to, żeby żyć.

— A jest?

— Nie.

— Powiedziała jej to pani?

— Nie. Nie wiedziałam, jak się zachować.

— Kiedy to się stało?

— Przed chwilą. Jest u niej doktor. Muszę pana przeprosić.

Córka należała do niej, natomiast sprawa do mnie. Poszedłem

za panią Sebastian do drzwi pokoju Sandy i zająłem do środka. Dziewczyna siedziała na krawędzi łóżka. Lewy przegub miała obandażowany, na przodzie piżamy widniały plamy krwi. Zmieniła się w ciągu nocy: jej oczy nabrały ciemniejszego koloru, a usta wykrzywiały grymas zawziętości. Nie była teraz zbyt ładna.

Obok siedział ojciec, trzymając ją w jakiś nienaturalny sposób za rękę. Stojący nad nimi doktor Jeffrey starał się przekonać oboje, że Sandy powinna być hospitalizowana.

— Polecam Centrum Psychiatrii w Westwood.

— Czy tam nie jest zbyt drogo? — spytał Sebastian.

— Nie drożej niż w innych szpitalach. Dobra kuracja psychiatryczna jest wszędzie droga.

Sebastian potrząsnął głową, mięśnie jego twarzy zwiótzały.

— Nie wiem, jak za to zapłacić. Wszystko, co zdołałem wykrobać, poszło na kaucję.

Sandy spojrzała na niego spod ciężkich powiek. Ledwie ruszając ustami, powiedziała:

— Niech mnie zabiorą do więzienia. To nic nie kosztuje.

— Nie — odparła jej matka. — Sprzedamy dom.

— Nie przy obecnych cenach — sprzeciwił się Sebastian. — Nie uzyskamy nawet zwrotu kosztów.

Jego córka wyszarpnęła rękę, którą trzymał w dłoni.

— Czemu nie pozwoliłeś mi umrzeć? To by rozwiązało wszystkie problemy.

— Sprawa wygląda poważnie — oświadczył Jeffrey. — Zatelefonuję po ambulans.

Sebastian wstał.

— Proszę pozwolić mi ją odwieźć. Ambulans jest drogi.

— Przykro mi, ale ten przypadek wymaga ambulansu.

Poszedłem za Jeffreyem do gabinetu Sebastiana. Wezwał ambulans i odłożył słuchawkę, po czym spojrzał na mnie ostrym, pytającym wzrokiem. Czym mogę służyć?

— Jak bardzo jest chora?



— Nie wiem. Stwierdzam pewne odchylenia od normy, ale nie jestem psychiatrą, dlatego chcę, żeby dostała się bezzwłocznie pod opiekę specjalisty. Trzeba wobec niej zastosować środki ostrożności.

— Myśli pan, że może ponowić próbę?

— Należy się z tym liczyć. Sądzę, że to nawet bardzo prawdopodobne. Wyznała mi, że nosiła się z tym zamiarem od miesięcy. W lecie spróbowała LSD, na które bardzo źle zareagowała. Do tej pory odczuwa skutki.

— Powiedziała to panu?

— Tak. To może być przyczyna zmiany jej osobowości w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Przy złej reakcji organizmu na narkotyki wystarczy jedna dawka. Mówiła, że wzięła tylko jedną porcję w kostce cukru.

— Zdradziła panu, skąd ją miała?

— Nie. Widocznie kogoś kryje.

Wyjąłem jedną z kostek cukru, znalezionej w kuchence Lupe, i wręczyłem ją doktorowi.

— Jestem prawie pewny, że pochodzi z tego samego źródła. Mógłby pan oddać ją do analizy?

— Oczywiście. Gdzie pan to znalazł?

— W mieszkaniu Lupe Rivery. To facet, którego dwa dni temu rąbnęła w głowę. Gdybym mógł udowodnić, że nafaszerował ją LSD...

Jeffrey wstał pośpiesznie.

— Rozumiem. Nie ma powodu zwlekać, zaraz ją spytam.

Wróciliśmy do pokoju Sandy, w którym cała rodzina siedziała sztywno, skępowana wzajemną obecnością. Siedząca między rodzicami dziewczyna podniosła na nas wzrok.

— Zamówił pan samochód dla czubków?

— Jeśli mam być szczery, to zamówiłem właśnie taki — odparł Jeffrey. — Teraz ja ci zadam pytanie.

Czekała, milcząc.

— Ta kostka cukru, którą zjadłaś w sierpniu... czy dał ci ją Lupe Rivera?

— Jeśli tak, to co?

Wsunąwszy łagodnie dłoń pod brodę, doktor uniósł w górę jej twarz, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

— Dał ci? Chcę tylko, żebyś powiedziała „tak” lub „nie”, Sandy.

— Tak. Potem odleciałam. Wybuchło mi w głowie.

— Czy zrobił ci coś jeszcze?

Cofnąwszy podbródek, opuściła głowę. Jej twarz miała obojętny wyraz, pociemniałe oczy utkwiała w jednym punkcie.

— Zagroził, że mnie zabije, jeśli komus o tym powiem.

— Nie bój się, nikt cię nie zabije.

Spojrzała ponownie na doktora. Wyraz jej oczu mówił, że mu nie wierzy.

— Czy to Lupe zawiózł cię do doktora Converse'a? — spytałem.

— Nie, Gerda... pani Hackett. Próbowałam wyskoczyć z samochodu na autostradzie. Doktor Converse założył mi kaftan bezpieczeństwa. Trzymał mnie przez całą noc w swojej klinice.

Bernice Sebastian jęknęła. Kiedy przyjechał ambulans, wsiadła do niego razem z córką.

## ROZDZIAŁ 27

Wróciłem na autostradę, która w ostatnich dniach stała się niemal moim domem. Czuję się wyprany z inicjatywy i marzyłem, żeby znaleźć się w swoim mieszkaniu, mimo to jechałem do Long Beach najbardziej przygnębiającym odcinkiem drogi na świecie.

Siedziba Corpus Christi Oil była potężnym czteropiętrowym budynkiem z widokiem na nabrzeże portowe i jego slumsy. Urodziłem się i wychowałem w Long Beach w zasięgu krótkiego spaceru od nabrzeża, toteż wiedziałem, kiedy powstał. Został wzniesiony rok po trzęsieniu ziemi.

Zatrzymawszy się na parkingu dla interesantów, poszedłem do recepcji. Tuż za wejściowymi drzwiami siedział za kontuarem umundurowany funkcjonariusz ochrony. Przyjrzawszy mu się uważniej, stwierdziłem, iż go znam. Był to Ralph Cuddy, administrator budynku czynszowego w Santa Monica, w którym mieszkała Alma Krug.

Cuddy też mnie poznał.

— Odnalazł pan Almę Krug?

— Owszem, dziękuję.

— Jak ona się czuje? W tym tygodniu nie miałem czasu jej odwiedzić. Robię na dwie zmiany.

— Jak na jej lata, czuje się dobrze.

— Cieszę się. Przez całe życie była dla mnie jak matka. Wie pan o tym?

— Nie.

— Teraz już pan wie. — Wzrok Cuddy'ego zawisł na mojej twarzy. — Jakie sprawy rodzinne pan z nią omawiał?

— Rozmawialiśmy o jej różnych krewnych. Wspominaliśmy między innymi Jaspera Blevinsa.

— Hej, zna pan Jaspera? Co się z nim dzieje?

— Zginął pod pociągiem.

— Nie dziwię się — powiedział surowo Cuddy. — Jasper był stale w kłopotach. Był kłopotem dla samego siebie i kłopotem dla innych. Ale Alma dobrze go traktowała. Jasper zawsze był jej ulubieńcem. — Jego oczy zrobiły się małe i zazdrosne, prawdopodobnie na wspomnienie rywala.

— Jakie miał kłopoty?

Cuddy zaczął mówić, ale urwał. Milczał przez chwilę; z jego twarzy wynikało, że zastanawia się nad jakąś wymijającą odpowiedzią.

— Na przykład z kobietą. Kiedy się żenił, Laurel była w ciąży. Ja sam chciałem się z nią ożenić, dopóki nie odkryłem, że będzie miała dziecko. — Po chwili dodał tonem łagodnego zdziwienia, jakby przez tyle lat nie zdołał uświadomić sobie tego faktu: — Nigdy się nie ożeniłem. Po prawdzie to nigdy nie trafiłem na kobietę, która byłaby mnie warta. Mówiłem często Almie Krug, że gdybym się urodził wcześniej...

Przerwałem mu.

— Ile lat pan tu pracuje, panie Cuddy?

— Dwadzieścia.

— W ochronie?

— Tak... z wyjątkiem pierwszych trzech czy czterech lat.

— Przypomina pan sobie to lato, kiedy został zabity pan Hackett?

— Oczywiście. — Spojrzał na mnie niepewnym wzrokiem. — Nie miałem z tym nic wspólnego. Chcę powiedzieć, że nawet go osobiście nie znałem. W tym czasie byłem zerem.

— Nikt pana o nic nie oskarża, panie Cuddy. Chcę się dowiedzieć jak najwięcej o pewnym rewolwerze, który został skradziony z tego biura, a potem użyto go do zastrzelenia pana Hacketta.

— Nic mi na ten temat nie wiadomo.

Jego twarz przybrała wyraz cnotliwości. Miałem wrażenie, że kłamie.

— Powinien pan pamiętać poszukiwania tego rewolweru, skoro był pan wtedy funkcjonariuszem ochrony.

— Proszę mi nie dyktować, co powinienem pamiętać. — Odegrał rolę człowieka obrażonego, wyprostował się na pełną wysokość. Broń u pasa przydawała mu ważności. — Do czego pan zmierza? Chce mi pan zaszcześcić w głowie jakieś myśli?

— To by było za trudne — powiedziałem nieopatrznie.

Sięgnął ręką do rękojeści rewolweru.

— Wynos się pan. Nie ma pan prawa tu przychodzić, obrażać mnie i robić mi wodę z mózgu.

— Przepraszam, jeżeli powiedziałem coś niestosownego. Cofam to. Już dobrze?

— Nie. Nie jest dobrze.

— Panu się zdaje, że czyham na pański skalp albo coś w tym rodzaju. Interesuje mnie Sidney Marburg. Pracował tu jako kreślarz.

— Nigdy o nim nie słyszałem. Nie odpowiem już na żadne pytania.

— W takim razie spróbuję zapytać personel. — Odwróciłem się w stronę windy. — Na którym piętrze jest biuro dyrektora personalnego?

— Wyszedł na lunch.

— Za wcześnie na lunch.

— Wobec tego jeszcze go nie ma. Dziś go nie będzie.

Podszedłem do niego i stanęliśmy twarzą w twarz.

— To zabawne. Co takiego pan wie, o czym nie chce, żebym ja się dowiedział?

Wyszedł zza kontuaru, podniósłszy część blatu osadzoną na zawiasach, po czym wyciągnął broń. Na ustach miał złośliwy grymas.

— Wynoś się stąd! — wrzasnął. — Nie będziesz obsmarowywał moich przyjaciół.

— Marburg jest twoim przyjacielem?

— Znów próbujesz mi zamącić w głowie? Nigdy nie słyszałem o Marburgu. Czy to Żyd?

— Nie wiem.

— Ja jestem chrześcijaninem. Podziękuj za to Bogu, bo gdybym nie był religijny, zastrzeliłbym cię jak psa.

Przekonanie o własnej słuszności połączone z naładowanym rewolwerem zawsze mnie przerażało, więc wyszedłem.

Moje biuro przy Bulwarze Zachodzącego Słońca zaczynało wyglądać na opuszczone. W rogu poczekalni pająk tkął pajęczynę, po szybach łążyły senne muchy, znacząc brzęczeniem upływający czas. Na wszystkich poziomych powierzchniach widniała warstewka kurzu.

Wytarłem blat biurka jednorazową chusteczką, usiadłem i obejrzałem czek od Ruth Marburg. Ponieważ nie mogłem złożyć postdatowanego czeku w banku, schowałem go w sejfie. W jakiś niepojęty sposób wcale nie miałem poczucia, że jestem bogaty.

Zadzwoiłem do Corpus Christi Oil w Long Beach i uzyskałem połączenie z kierownikiem kreślarni, człowiekiem o nazwisku Patterson. Pamiętał Sidneya Marburga, lecz wyrażał się o nim powściągliwie. Sid był solidnym pracownikiem, dobrym kreślarzem, zawsze pragnął zostać malarzem, dobrze, że mu się udało.

Podobno ożenił się z byłą panią Hackett. Tak mówią — odparł wymijająco Patterson. Przypomina pan sobie, czy był pańskim pracownikiem w tym czasie, gdy zastrzelono Hacketta?

Tak, bo mniej więcej wtedy zrezygnował z pracy.

— Dlaczego zrezygnował?

— Powiedział mi, że nadarza mu się okazja wyjazdu do Meksyku na stypendium artystyczne.

— A czy przypomina pan sobie ten rewolwer, który zginął? Z którego potem zastrzelono Marka Hacketta?

— Słyszałem o nim. — Mówił coraz ciszej, jakby opuszczały go siły. — Mój dział nie ponosi za to odpowiedzialności. Ale jeśli podejrzewa pan Sida, to trafił pan kulą w płot. On nie byłby zdolny zabić człowieka.

— To mnie cieszy. Kto opiekował się bronią?

— Za rewolwer była odpowiedzialna ochrona. Ale jeśli pan do nich pójdzie, proszę nie powoływać się na mnie. Nie chcę mieć kłopotów z szefem ochrony.

— Ma pan na myśli Ralphi Cuddy'ego?

— Słuchaj pan, wyciągnąłeś ze mnie więcej, niż chciałem powiedzieć. Z kim właściwie rozmawiam? Powiedział pan, że jest z policji Los Angeles?

— Powiedziałem, że kiedyś byłem policjantem. Teraz jestem prywatnym detektywem.

Patterson odłożył słuchawkę.

Siedząc za biurkiem, próbowałem wszystko uporządkować. Moje myśli układały się w zamknięty krąg, doznawałem jednak frustrującego uczucia, że poza nim, gdzieś bardzo blisko, znajduje się jakiś ważny element. Lub może w samym środku kręgu, lecz zagrzebany tak głęboko, jak głęboko pochowani są zmarli.

Szukałem po omacku tego brakującego elementu, pewny, iż mam go w pamięci, tylko nie wiem, jak go rozpoznać. Nie da się bowiem — tak jak to potrafi komputer — odszukać informacji w podświadomości. Schowa się jeszcze głębiej w jamie umysłu, warcząc jak dzikie zwierzę.

Byłem diabelnie zmęczony z powodu niewyspania i frustracji. Położyłem się na sofie w mojej poczekalni. Po prostu czułem potrzebę wyciągnięcia się. Sofa była o stopę za krótka, więc jak zwykle leżałem z nogami przewieszonymi przez drewnianą poręcz.

Obserwując pająka w rogu sufitu, poczułem zawiść, iż moja sprawa nie jest tak przejrzysta jak jego sieć. Zapadłem w sen. Przyśniło mi się, iż sam zostałem złapany w wielką sieć, której oczka były obwieszane wyschniętymi ciałami martwych ludzi. Sieć wirowała jak koło ruletki. Siedzący w środku pająk w każdej ze swych ośmiu łap trzymał grabki krupiera. Sięgnął nimi po mnie.

Zbudziłem się zlany potem. Pająk nieprzerwanie pracował w rogu sufitu. Wstałem, zamierzając go zabić, lecz miałem zdrętwiałe nogi. Zanim powróciło w nich krążenie, mój umysł zdążył się obudzić. Pozwoliłem pająkowi żyć. Pomyślałem, że może uda mu się wyłapać brzęczące na szybach muchy.

Krótki sen, mimo iż zmącony koszmarem, pokrzepił mnie. Zdjąłem mokrą koszulę, ogoliłem się elektryczną maszynką, włożyłem świeżą koszulę, którą trzymałem w biurowej szafie na wszelki wypadek, i podszedłem do okna sprawdzić, jaka jest pogoda.

Świeciło słońce, niebo było nieco tylko zaciągnięte smogiem. Na bulwarze trwał przedpołudniowy ruch. Z policyjnego samochodu, który się zatrzymał po przeciwległej stronie ulicy, wysiedli sierżant detektyw Prince i jego partner Janowski. Czułem się winny, że z nimi nie współdziałałem, miałem jednak przez moment nadzieję, że nie przybyli zobaczyć się ze mną. Ale oczywiście przyjechali do mnie.

Przeszli bulwar w poprzek, nie zważając na ruch, jakby byli niezniszczalni. Prince szedł o krok przed Janowskim, jak pies myśliwski, który trafiwszy na ślad rwie naprzód, ciągnąc swojego pana.

Włożyłem marynarkę i powitałem ich przy zewnętrznych drzwiach mojego biura. Weszli do środka bez zaproszenia. Prince był blady z wściekłości; widać było, że z trudem zachowuje kontrolę nad sobą. Jasna twarz Janowskiego była pokryta czerwonymi wypiekami.

— Nie współpracowałeś z nami, Archer. Postanowiliśmy zapytać cię dlaczego — powiedział Janowski.



— Byłem zajęty innymi sprawami.

— Na przykład jakimi? — spytał agresywnie Prince.

— Na przykład ratowaniem kogoś życia. Tak się złożyło, że mi się powiodło.

— Miałeś szczęście — rzekł Prince. — Ryzykowałeś własną szyję. Ale to jeszcze nie koniec.

Miałem dość traktowania mnie jak marionetkę. Poczulem tętnienie krwi w żołądku i w moich obolałych nerkach.

— Mów grzeczniej, sierżancie.

Prince sprawiał wrażenie, jakby zamierzał mnie uderzyć. Niemal chciałem, żeby spróbował. Podobnie jak większość Amerykanów, umiałem kontrować.

Janowski stanął między mną a Prince'em.

— Ja będę mówił — rzekł do Prince'a. Zwracając się do mnie, powiedział: — Nie będziemy płakać nad rozlanym mlekiem, ale teraz chcielibyśmy, żebyś z nami współdziałał. Są miejsca, do których możesz dotrzeć, i rzeczy, które możesz zrobić, a których nie może policja.

— Czego ode mnie chcecie?

— Chodzi o tego emerytowanego zastępcę szeryfa, który został zabity przez porywacza...

— Jacka Fleischera?

— Zgadza się. Pewnie to wszystko wiesz, ale dla pewności powtórzę: Fleischer od kilku tygodni podsłuchiwał mieszkanie Laurel Smith. Wiemy, że kupił taśmy i potrzebny sprzęt. Z całą pewnością zrobił nagrania. Doszliśmy do wniosku, że te taśmy mogą wyjaśnić wiele niewiadomych.

— Ja też doszedłem do takiego wniosku.

— Masz te taśmy? — wtrącił się Prince.

— Nie.

— Gdzie mogą być?

— Nie wiem. Może w domu Fleischera w Santa Teresa.

— My też tak myślimy — rzekł Janowski. — Wdowa zaprzecza, ale to niczego nie dowodzi. Kiedy rozmawiałem z nią przez telefon,

odpowiadała pokrętnie. Próbowałem włączyć do akcji policję z Santa Teresa, ale oni nie chcą się w to mieszać. Podejrzewam, że Fleischer miał polityczne powiązania, więc teraz, kiedy nie żyje, stał się bohaterem. Nie chcą nawet słyszeć o tym, że mógłby podsłuchiwać mieszkanie tej kobiety. Moglibyśmy oczywiście podziałać na nich odgórnie...

— Ale wolicie spróbować oddolnie — przerwałem mu, uśmiechając się. — Chcecie pewnie, żebym pojechał do Santa Teresa i porozmawiał z panią Fleischer?

— Dowiódłbyś w ten sposób chęci współpracy — powiedział Janowski.

— To żaden przykry obowiązek. Sam miałem zamiar się z nią spotkać.

Janowski uściskał mi dłoń, a Prince nawet lekko się uśmiechnął. Przebaczyli mi, przynajmniej na tyle, na ile potrafi przebaczyć policja.

## ROZDZIAŁ 28

Do Santa Teresa dojechałem tuż po pierwszej. W restauracji obok sądu zjadłem kanapkę, po czym bez pośpiechu poszedłem do domu Fleischerów. Perspektywa kolejnego spotkania z panią Fleischer nie budziła we mnie entuzjazmu.

Zaciągnięte zasłony we frontowych oknach nadawały domowi wyraz opuszczenia i smutku. Wewnątrz jednak toczyło się życie. Pani Fleischer otworzyła mi drzwi.

Znów poczułem w jej oddechu alkohol, lecz pijąc przez cały czas, przeszła zapewne różne stadia alkoholizmu, osiągając w końcu stan pozornej trzeźwości. W eleganckiej czarnej sukni i starannie uczesana, była bardzo ) 8 8 0000\$ 00\*0 Lekkie drzenie rąk nie rzucało się w oczy.

Wyraz jej twarzy dowodził, że absolutnie mnie nie pamięta. Patrzyła na kogoś stojącego za moimi plecami, jakbym był przezroczysty.

Zacząłem rozmowę.

— Pewnie mnie pani nie pamięta. Pracowałem z pani mężem nad sprawą Davy'ego Spannera.

— On zabił Jacka — oświadczyła. — Wie pan o tym? Zabił mojego męża!

— Wiem. Współczuję pani.

Spojrzała spod oka na sąsiedni dom i pochyliwszy się konspiracyjnie ku mnie, pociągnęła mnie za rękaw.

— Czy to pan był u mnie wczoraj w nocy? Niech pan wejdzie, zrobię panu drinka.

Rad nierad wszedłem za nią do domu. W salonie paliły się lampy, jakby nienawidziła dziennego światła. Przyniesione przez nią drinki składały się z ginu z bardzo małą ilością toniku. Miałem wrażenie, że podejmuję przerwana wizytę.

Wypiła ponad połowę swojego drinka.

— Cieszę się, że nie żyje — stwierdziła bez satysfakcji. — Mówię szczerze. Dostał to, na co zasłużył.

— Jak to?

— Oboje dobrze o tym wiemy. No, niech pan wypije do końca.

Skończyła swój gin. Wypiłem łyk z mojej szklanki. Lubię alkohol, ale ten drink w domu Jacka Fleischera, w towarzystwie wdowy, przypomniiał mi picie rycynusu.

— Powiedział pan, że pracowaliście razem z Jackiem — rzekła. — Czy pomagał mu pan nagrywać taśmy?

— Taśmy?

— Niech pan nie udaje. Zadzwoił do mnie dziś rano policjant z Los Angeles. Miał takie śmieszne nazwisko... polskie... Junkowski, czy coś takiego. Zna go pan?

— Znam sierżanta Janowskiego.

— To on. Chciał się dowiedzieć, czy Jack nie zostawił w domu jakichś taśm. Powiedział, że są ważne dla sprawy zabójstwa. Laurel też została załatwiona. — Zajrzała mi w oczy, jakby chciała w nich znaleźć potwierdzenie własnego trwania. — Wie pan o tym?

— To ja ją znalazłem.

— Jack pobił ją na śmierć, prawda?

— Nie wiem.

— Wie pan. Wyczytałam to z pańskiej twarzy. Może pan być ze mną szczerzy. Niech pan pamięta, że byłam jego żoną. Znosiłam jego

wariactwa przez trzydzieści lat. Jak pan myśli, dlaczego zaczęłam pić? Kiedy się ze mną żenił, byłam abstynentką. Zaczęłam pić, bo nie mogłam znieść tego, co wyczyniał.

Zbliżyła ku mnie twarz tak blisko, że zaczęła zezować. Mówiła bardzo spokojnie, lecz jej wersja zdarzeń była zbyt subiektywna, żeby można się było na niej oprzeć. Mimo to chciałem się od niej dowiedzieć dalszych rzeczy, więc kiedy kazała mi dokończyć drinka, posłuchałem jej.

Poszła do kuchni i po chwili przyniosła dwie kolejne porcje tej samej mikstury: jedną dla siebie, drugą dla mnie.

— Co pan sądzi o tych taśmach? — spytała. — Mają jakąś wartość?

Podjąłem szybką decyzję.

— Dla mnie owszem.

— Ile?

— Tysiąc dolarów.

— To niewiele.

— Policja nie zapłaci pani za te taśmy ani centa. Mogę podnieść ofertę, zależnie od tego, co na nich jest. Czy pani je przesłuchała?

— Nie.

— Gdzie one są?

— Nie powiem panu. Potrzeba mi znacznie więcej niż tysiąc. Teraz, kiedy Jack nie żyje, mam zamiar trochę popodróżować. On mnie nigdy nie zabierał ze sobą... w ciągu ostatnich piętnastu lat nie wyjechałam z nim ani razu. Wie pan czemu? Bo dokądkolwiek wyjeżdżał, ona tam na niego czekała. Teraz już nie czeka. — Po chwili dodała z łagodnym zdziwieniem: — Jack też na nią nie czeka. Oboje nie żyją, prawda? Życzyłam im tego tyle razy, iż sama nie mogę uwierzyć, że tak się stało.

— A jednak się stało.

— To dobrze.

Odprawiła ceremoniał wznoszenia i picia toastu, po czym wstała chwiejnie, usiłując utrzymać równowagę na płaczących się nogach. Wyjąłem jej z rąk szklankę i postawiłem na inkrustowanym stoliku.

— Każdy znajdzie swój azyl.

Wykonała krótki numer taneczny w takt muzyki, którą tylko ona słyszała. Odniosłem wrażenie, że za wszelką cenę próbuje robić coś, co pozwoliłoby jej znów poczuć w sobie pierwiastek człowieczeństwa.

— Nigdy nie przypuszczałam, że będę potrafiła jej współczuć — powiedziała. — Ale ja jej chyba naprawdę współczuję. Była do mnie podobna, wie pan? Kiedyś przewyższałam ją urodą, ale Laurel była młodsza ode mnie o piętnaście lat. Gdy byłam w łóżku z Jackiem, wyobrażałam sobie, że jestem nią. Ale nawet dla niej to nie mogły być miłe igraszki. Przywiązywał ją liną podczas stosunku. Tak postępował ze wszystkimi swoimi kobietami. Na koniec wsadzał fiuta w jej ładną buzię.

— Naprawdę wierzy pani, że mąż to robił?

— Nie zna pan nawet połowy faktów. — Klapnęła na sofę obok mnie. — Mogłabym opowiedzieć panu o rzeczach, od których cierpie nie skóra. To, co teraz powiem, jest straszne, ale muszę przyznać, że nie potępiam tego chłopaka za to, że odstrzelił mu głowę. Wie pan, kim on jest?

— Jego ojcem był Jasper Blevins, a matką Laurel.

— Jest pan bystrzejszy, niż myślałam. — Spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek. — A może już to wszystko panu opowiedziałam tamtej nocy?

— Nie.

— Założę się, że tak. Chyba że dowiedział się pan tego tam na północy. W Rodeo City wszyscy o tym wiedzą.

— O czym, pani Fleischer?

— O Jacku i jego sztuczkach. Był przedstawicielem prawa... nie było sposobu, żeby go powstrzymać. Zabił Blevinsa i podłożył go pod pociąg, żeby mieć jego żonę. Zmusił Laurel do zeznania, że to nie było ciało jej męża. Chłopczyka oddał do sierocińca, bo przeszkadzał mu w jego romansie.

Nie wierzyłem jej i zarazem wierzyłem. Jej słowa wisiły ciężko

w atmosferze tego nierzeczywistego pokoju, doskonale tu pasując, lecz nie wiązały się z rzeczywistością zewnętrznego świata.

— Skąd pani o tym wie?

— W znacznej części sama do tego doszłam. — Jedno z jej oczu spojrzało na mnie trzeźwo, drugie pozostało półprzymknięte i bezmyślne. — Mam przyjaciół w organach ścigania... a raczej miałam. Ich żony... wie pan, jak to jest... plotki łatwo się rozchodzą.

— Dlaczego ich mężowie nie zapudłowali Jacka?

Puste oko zamknęło się do końca, a drugim, trzeźwym, zajrzała mi w twarz.

— Jack wiedział, gdzie pogrzebano różne ciała. Północne hrabstwo jest dzikim terytorium, a on był jego królem. Poza tym co mogliby mu udowodnić? Laurel zeznała, że to nie jej mąż. Powiedziała, że pierwszy raz go widzi. Ponieważ głowa była roztrzaskana, oświadczyła, że nie może go ziden... — utknęła na tym słowie — nie może go zifendykować. Uznali, że to ofiara nieszczęśliwego wypadku.

— Jest pani pewna, że było inaczej?

— Wiem to, co wiem. — Ale zamknięte oko wydawało się kpić z prawdziwości jej słów.

— Ma pani zamiar powiedzieć o tym policji?

— Po co? Jack nie żyje. Wszyscy nie żyją.

— Pani żyje.

— Szkoda. — Ta pochopna konstatacja zdumiała ją i przstraszyła. Otworzyła szeroko oczy i spojrzała na mnie, jakbym jej zagrażał.

— Davy Spanner też żyje.

— Już niedługo. Trwa obława, ściga go pięćdziesięciu ludzi. Rozmawiałam rano przez telefon z Rorym Pennellem. Przyrzekł mi, że będą strzelali tak, żeby zabić.

— Zależy pani na tym?

— Zabił Jacka, czyż nie?

— Powiedziała pani, że nie ma mu tego za złe.

— Powiedziałam tak? — Było to pytanie skierowane zarówno do mnie, jak i do niej samej. — Nie powinnam tak mówić. Jack był moim mężem.

W tym momencie wiedziałem już o niej wszystko. Samotność i pustka życia objawiły jej się równie jasno jak rozpad małżeństwa. Wstałem, żeby się pożegnać.

Odprowadziła mnie do drzwi.

— Co będzie z taśmami?

— A co miałyby być? Ma je pani?

— Myślę, że mogłabym je sprzedać.

— Za tysiąc?

— To za mało — stwierdziła. — Jestem teraz wdową, muszę dbać o swoje interesy.

— Niech mi pani pozwoli je przesłuchać. Potem złożę pani inną ofertę.

— Nie mam ich tu.

— A gdzie są?

— Musiałby pan sobie ich poszukać.

— W porządku, niech je pani zatrzyma. Wrócę albo zatelefonuję. Pamiętaj pani, jak się nazywam?

— Archer — odparła. — Jack Archer.

Nie sprostowałem. Odjechałem, ona zaś wróciła do sztucznego półmroku swojego saloniku.



## ROZDZIAŁ 29

Przed odjazdem z Santa Teresa zadzwoniłem z budki przy stacji benzynowej do Henry'ego Langstona. Telefon przyjęła jego żona.

— Dom Langstonów — powiedziała oficjalnie.

— Czy pani mąż jest w domu?

— A kto prosi? — Prawdopodobnie poznała mnie, bo ton jej głosu był nieprzyjazny.

— Lew Archer.

— Nie ma go i to jest pańska wina. Siedzi nadal w tamtym północnym hrabstwie. Próbuje uratować życie swojemu bezcennemu przestępcy. Skończy się tym, że go zastrzelą.

Była w stanie łagodnej hysterii. Próbowałem ją uspokoić:

— To się nie może zdarzyć, pani Langston.

— Nie wiadomo — odpowiedziała. — Mam straszne uczucie, że ciąży nad nami fatum i że nasze życie już nigdy nie wróci do normy. To pańska wina, pan go w to wciągnął.

— Pomyłka. Pani mąż zajmuje się Davym Spannerem od lat. Podjął wobec niego zobowiązanie i stara się z niego wywiązać.

— A co ze mną?! — krzyknęła.

— Czy ma pani jakieś szczególne zmartwienie?

— Nie będę się panu opowiadała — odparła ostro, jakby broniła swojej zagrożonej prywatności.—Nie jest pan lekarzem.

— Czy pani ma kłopoty ze zdrowiem, pani Langston?

Odpowiedzią było odłożenie słuchawki. Wahalem się, czy do niej nie pojechać, lecz doszedłem do wniosku, że byłoby to stratą czasu. Współczułem jej, ale nie mogłem pomóc. Mógł to zrobić tylko jej mąż.

Dojechawszy do autostrady, skierowałem się na północ. Mój organizm zaczynał się buntować przeciw ciągłej akcji bez chwili odpoczynku. Miałem uczucie, jakby moja prawa noga, spoczywająca na pedale gazu, musiała popychać samochód wzdłuż całej drogi przez góry aż do Rodeo City.

Zastępca szeryfa Pennell siedział w wewnętrznym pokoju swojego biura, słuchając wiadomości na kanale operacyjnym. Miałem wrażenie, że przez cały czas, odkąd w środku nocy rozmawiałem z nim przez telefon, nie ruszał się od radia. Wąsy i oczy wydawały się dominować na jego twarzy, która była teraz bledsza, wymizerowana i domagała się żyletki.

— Jakie wieści, kolego?

— Zgubili go. — Głos Pennella był pełen pogardy.

— W którym miejscu?

— Nie powiedzieli gdzie. Deszcz rozmył jego ślady. Na północnej przełęczy ciągle pada.

— Gdzie uciekał?

— W stronę wybrzeża. W głębi lądu są tylko góry. Powyżej pięciu tysięcy stóp pada śnieg.

— Jaki stąd wniosek?

— Dopadniemy go, kiedy dotrze do autostrady. Wydałem rozkaz dla patroli drogowych, żeby ustawiły blokady.

— Czy istnieje możliwość, że jeszcze jest w dolinie?

— P-profesor uważa, że tak.

— Mówisz o Henrym Langstonie?

— Tak. Pałęta się cały czas w okolicy starego rancza Kruga. Trwa przy swoim poglądzie, że Spanner jest stuknięty na punkcie tego miejsca i że może tam wrócić.

— Nie podzielasz jego zdania?

— Nie. Nie spotkałem jeszcze p-profesora, który by wiedział, o czym mówi. Mózg im rozmięka od czytania książek.

Ponieważ nie próbowałem z nim polemizować, poczuł się zachęcony do przedstawienia mi swojej teorii. Widać było, że Langston wytrącił go z równowagi i potrzebuje duchowego wsparcia.

— Wiesz, co próbował mi wmówić? Że Spanner miał p-powód, żeby zabić biednego starego Jacka, ponieważ ten oddał go do sierocińca.

— A czy tak nie było?

— To prawda, ale co Jack miał zrobić z dzieckiem? Ojca zabił pociąg. Jack nie był za niego odpowiedzialny.

Zauważyłem w jego ostatnich słowach brak spójności.

— Za kogo Jack nie był odpowiedzialny, szeryfie?

— Za obu: za ojca i za syna. Wiem, że swego czasu krążyły różne brudne plotki. Teraz ten Langston próbuje znów je wskrzesić, nim jeszcze stary Jack został pogrzebany.

— Jakie to były plotki?

Pennell spojrzał na mnie rozgorączkowanymi, smutnymi oczami.

— Są tak nieprawdopodobne, że nie chcę ich nawet powtarzać.

— Plotki, że to Jack zabił tego człowieka?

— Tak. To kompletna bzdura.

— Mógłbyś przysiąc, że to nie on, szeryfie?

— Oczywiście — odparł zuchwale. — Przysięgłbym na całą stertę Biblii. Powiedziałem to p-profesorowi, ale nie był usatysfakcjonowany.

Ja też nie byłem.

— Poddałbyś się testowi na wykrywaczu kłamstw?

Spojrzał na mnie z rozczarowaniem.

— Więc masz mnie za kłamcę. A biedny stary Jack jest twoim zdaniem mordercą.

— Kto inny mógł zabić Jaspera Blevinsa?

— Całe mnóstwo ludzi.  
— Kogo podejrzewaliście?  
— Mówiono, że koło rancza kręcił się jakiś osobnik z brodą. Wyglądał na Rosjanina.

— Wolnego, szeryfie. Nie dam się nabrać na bajeczkę o brodatym anarchiście. Wiem, że koło rancza kręcił się Jack. Później ukrył podobno tę kobietę u Mamy Hagedorn.

— No to co? Blevins nie chciał swojej żony. Wcałe się z tym nie krył.

— Znałeś Blevinsa?

— Spotkałem go parę razy.

— Widziałeś jego zwłoki?

— Tak.

— Czy to był on?

— Nie mógłbym na to przysiąc. — Oczy Pennella stały się chytre. — Pani Blevins zeznała, że to nie był on. Czy ktoś mógłby wiedzieć lepiej?

— A chłopczyk?

— Nie powiedział ani słowa. Nie mógł mówić, był jak manekin.

— To wam odpowiadało, prawda?

Pennell wstał, kładąc dłoń na rękojeści rewolweru.

— Mam dość t-tej rozmowy. Jack Fleischer był dla mnie jak starszy brat. N-nauczył mnie strzelać i pić. Podsunał mi moją pierwszą kobietę. Z-zrobił ze mnie mężczyznę.

— A ja się zastanawiałem, czyje to dzieło!

Rzucił przekleństwo i wyciągnął broń. Wycofałem się z pokoju. Nie poszedł za mną, mimo to byłem odrobinę zaszokowany. To już drugi rewolwer wyciągnięty przeciw mnie tego samego dnia. Wcześniej czy później któryś mógł wystrzelić.

Przeszedłem przez ulicę do hotelu Rodeo i spytałem recepcjonistę, gdzie mieszka Mama Hagedorn.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem.

— Mama wycofała się z interesu.

— Nie szkodzi. Chcę się z nią zobaczyć na towarzyskim gruncie.

— Rozumiem. Mieszka niedaleko stąd, przy drodze do Centerville. Duży ceglany dom: jedyny dom z czerwonej cegły w tej części miasta.

Wydostawszy się z centrum, pojechałem poprzez tereny rodeo w stronę wzgórz. Dom z czerwonej cegły stał na najwyższym, dominując nad całą okolicą. Dzień był szary i pochmurny; morze wyglądało jak zmatowiałe lustro, w którym odbijało się posępne niebo.

Podjechałem żwirowym podjazdem pod wielki dom i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi Latynoska w czarnym mundurku i białym czepku przewiązanym czarną aksamitną wstążką. Była pierwszą umundurowaną służącą, którą spotkałem w ciągu ostatnich lat.

Zaczęła mnie wypytywać, jak się nazywam, kim jestem i w jakim celu przybywam. W trakcie tej indagacji z frontowego saloniku dobiegł nas kobiecy głos:

— Wpuść go! Sama z nim porozmawiam.

Służąca zaprowadziła mnie do pomieszczenia pełnego ozdobnych wiktoriańskich mebli, przykrytych pokrowcami. Choć tuż za granicą tego północnego hrabstwa widniały dźwigi Vandenberg, wróciło złudzenie, któremu uległem, kiedy do niego przybyłem: że znalazłem się w przedwojennej epoce.

Złudzenie to podtrzymywała postać Mamy Hagedorn. Siedziała na sofie — mała kobieta, której stopy w złotych pantoflach nie sięgały podłogi. Była ubrana w wieczorową suknię z wysokim kołnierzykiem. Miała klatkę piersiową jak gołąb garłacz, pospolitą uróżowaną twarz i włosy lub perukę o wyjątkowo krzykliwym odcieniu opalizującej czerwieni — ale spodobał mi się uśmiech, którym mnie powitała.

— Masz jakiś problem? — spytała. — Usiądź koło mnie i opowiedz o nim Mamie.

Podniosła rękę, na której błysnął brylant. Usiadłem obok niej.

— Wczorajszej nocy rozmawiałem w Centerville z Alem Simmonsem. Wspomniał, że pani znała kiedyś Laurel Blevins.

— Al zawsze mówi za dużo — zauważyła pogodnie. — Prawdę mówiąc, znam bardzo dobrze Laurel. Zamieszkała u mnie po śmierci męża.

— Więc człowiek, który zginął pod pociągiem, to był jej mąż?

Zastanawiała się przez chwilę nad tym pytaniem.

— Nie mam całkowitej pewności. Oficjalnie nigdy tego nie potwierdzono.

— Dlaczego?

Poruszyła się niespokojnie. Szelestowi sukni towarzyszył powiew lawendowego zapachu, a ja miałem wrażenie, że ucieleśniona przez Mamę przeszłość poruszyła się w swoim całunie.

— Nie chciałabym zaszkodzić Laurel. Zawsze ją lubiłam.

— W takim razie zmartwi panią wiadomość, że nie żyje.

— Laurel nie żyje? To jeszcze młoda kobieta.

— Nie umarła ze starości. Została zakatowana na śmierć.

— Święte nieba! — wykrzyknęła Mama. — Kto to zrobił?

— Głównym podejrzanym jest Jack Fleischer.

— On też nie żyje.

— To prawda. Już nie może pani wyrządzić krzywdy żadnemu z nich, pani Hagedorn.

— Panno. Nigdy nie wyszłam za mąż. — Włożywszy okulary w rogowej oprawie, które nadały jej poważny wygląd, przypatrzyła mi się. — Kim pan właściwie jest?

Kiedy się przedstawiłem, poprosiła, żebym jej opowiedział o wszystkim. Zrobiłem to, przytaczając nazwiska i miejsca wydarzeń.

— Znałam większość tych ludzi — powiedziała chropawym głosem. — Łącznie z Joe Krugiem i Alną, jego żoną. Lubiłam Joego. Był pięknym mężczyzną. Za to Alna była nawiedzoną moralizatorką. Joe czasem mnie odwiedzał. Prowadziłam dom w Rodeo City... mówię to na wypadek, gdyby pan nie wiedział.

Alma nigdy mi nie wybaczyła, że sprowadziłam jej męża na złą drogę. Myślę, że właśnie dlatego skłoniła go do przeprowadzenia się do Los Angeles. Chryste, to było czterdzieści lat temu. Co się z nim dzieje?

— Nie żyje. Alma została sama.

— Musi być bardzo stara. Była starsza ode mnie.

— Ile pani ma lat?

Uśmiechnęła się swoim łobuzerskim uśmiechem.

— Nie zdradzam mojego wieku. Jestem starsza, niż wyglądam.

— Nie wierzę pani.

— Niech mi pan nie pochlebia. — Zdjęła okulary i wytarła oczy chusteczką z koronką. — Joe Krug był dobrym człowiekiem, ale w tych stronach mu się nie wiodło. Słyszałam, że poszczęściło mu się na krótko przed śmiercią, po przeniesieniu się do Los Angeles.

— Jak mu się poszczęściło?

— Finansowo. Czy jest jakieś inne szczęście? Dostał pracę w dużej kompanii i wydał córkę Ettę za szefa.

— Ettę?

— Henriettę. W skrócie mówili na nią Etta. Wcześniej była żoną człowieka o nazwisku Albert Blevins. Albert był ojcem Jaspera Blevinsa, który potem ożenił się z tym kochanym biedactwem, Laurel. — Stara kobieta wydawała się dumna ze swojej wiedzy genealogicznej.

— Kto zabił Jaspera, panno Hagedorn?

— Nie wiem na pewno. — Popatrzyła na mnie długim, przenikliwym spojrzeniem. — Gdybym panu powiedziała wszystko, co wiem, to co by pan z tym zrobił?

— Wznowiłbym sprawę i wpuścił do niej trochę światła.

Uśmiechnęła się smutno.

— To mi przypomina hymn, który poznałam w młodości: stary hymn odnowy religijnej. Proszę sobie wyobrazić, że byłam kiedyś konwertytką. Byłam nią, dopóki nasz kaznodzieja nie uciekł z tygodniową kasą i moją najlepszą przyjaciółką. Jaki pan ma w tym w interes, panie kaznodzieja? Pieniądze?

— Jestem opłacany.

— Przez kogo?

— Przez pewnych ludzi z południa.

— Za co panu płacą?

— Wyjaśnienie tego zajęłoby mi cały dzień.

— Może lepiej nie wznawiać sprawy? Niech zmarli spoczywają w pokoju.

— Jest ich coraz więcej. To się zaczęło dawno temu. Przed piętnastu laty. — Pochyliwszy się ku niej, zapytałem cicho: — Czy Laurel zabiła swojego męża? A może zabił go Jack Fleischer?

Skontrowała mnie pytaniem, które obudziło we mnie nadzieję:

— Powiedział pan, że Laurel nie żyje. Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

— Proszę zadzwonić na policję w Los Angeles, do komisariatu przy Purdue Street, i zapytać sierżanta Prince'a albo sierżanta Janowskiego.

Podałem jej numer. Zeszła z sofy z pomocą haftowanego podnóżka i opuściła pokój. Dobiegł mnie trzask zamykanych drzwi w głębi korytarza. Po kilku minutach usłyszałem, że znów się otworzyły.

Wróciła do salonu, poruszając się tym razem znacznie wolniej, i wdrapała się z powrotem na sofę. Róż na jej twarzy stanowił dziwny kontrast ze zwiotczałą skórą policzków. Przez moment wydała mi się dzieckiem, które przebrało się w odświętny strój i perukę, znalezione w starej szafie na strychu.

— Laurel rzeczywiście nie żyje — powiedziała ponuro. — Rozmawiałam z sierżantem Prince'em. Ma zamiar kogoś tu przysłać, żeby mnie przesłuchał.

— Właśnie to robię.

— Rozumiem. Ponieważ Laurel i Jack nie żyją, odpowiem na pańskie pytanie. To Laurel zabiła Jaspersa Blevinsa. Uderzyła go w głowę tępym końcem siekiery. Jack Fleischer podłożył jego ciało pod pociąg, po czym wpisał do rejestru nieszczęśliwych wypadków niezidentyfikowanych osób.



— Skąd pani to wie?

— Laurel mi wszystko wyznała. Zanim odeszła, byłyśmy ze sobą jak matka i córka. Opowiedziała mi, w jaki sposób zabiła Jaspera i dlaczego. Nie miałam jej tego za złe nawet przez chwilę. — Mama Hagedorn wzięła głęboki oddech. — Jedyłą rzeczą, za którą ją potępiałam, było to, co zrobiła z chłopcem. To było straszne. Chciała korzystać z życia, a dziecko jej w tym przeszkadzało.

— W końcu do niego wróciła — zauważyłem. — Ale za późno dla nich obojga.

— Sądzi pan, że zabił ją własny syn?

— Do tej pory nie podejrzewałem go. Nie miał powodu. Jeśli jednak się dowiedział, że to ona zabiła jego ojca... — zawiesiłem głos.

— Nie zabiła jego ojca.

— Przed chwilą sama pani powiedziała, że to ona.

— Nie. Powiedziałam, że zabiła swojego męża. Jasper Blevins nie był ojcem chłopca.

— A kto?

— Pewien bogaty facet z Teksasu. Laurel zaszła z nim w ciążę, zanim stamtąd wyjechała. Jego rodzina dała jej trochę pieniędzy i wysłała do Kalifornii. Jasper ożenił się z nią dla tych pieniędzy, ale nigdy nie uprawiał z nią normalnych stosunków małżeńskich. Nie považam mężczyzny, który nie lubi normalnego współ...

Przerwałem jej.

— Skąd pani o tym wie?

— Od Laurel. Powiedziała mi to po zabiciu go. Robił z nią rzeczy, których żadna kobieta nie wytrzyma. Dlatego go zabiła... i nie potępiam jej.

## ROZDZIAŁ 30

Podziękowałem Mamie Hagedorn i wróciłem do samochodu. Wprawdzie udało mi się wpuścić nieco światła do sprawy, lecz teraz zależało mi na zmianie jego barwy.

Pojechałem przez przełęcz w stronę rancza Kruga — do miejsca, w którym zaczęły się wszystkie kłopoty, gdzie Albert Blevins rzucił lampą w żonę (lub odwrotnie), niszcząc dom, własne małżeństwo i przyszłość swojego syna Jaspera, gdzie małżeństwo Jaspera skończyło się zabójstwem, gdzie urodził się Davy Spanner i zginął Jack Fleischer. Chciałem przyjrzeć się temu miejscu w świetle dnia.

W dolinie deszcz przestał padać. Pokrywa chmur podniosła się, tu i ówdzie zaczęły prześwitywać skrawki błękitu.

Przejechałem przez Centerville i zatrzymałem się dopiero w Buzzard Creek. Kombi Henry'ego Langstona stało przy drodze. Poziom strumienia obniżył się, woda sączyła się w poprzek drogi, meandrując kanalikami wyżłobionymi w naniesionym przez siebie błocie.

Przebrnąwszy przez błoto, poszedłem kamienistą drogą za odciskami stóp — prawdopodobnie Langstona — w stronę rancza. Okoliczne pola wyglądały świeżo i czysto; każde źdźbło trawy, każdy liść

dębu lśnił żywym blaskiem. Niebo było oślepiająco jasne, porozrzu-  
cane chmury wyglądały na jego tle jak świetliste kry.

W tym wszystkim jedynie dzieło rąk ludzkich znajdowało się w  
stanie rozkładu. Wyglądało karłowato w porównaniu z ogromem nie-  
ba, rozpinającego się łukiem nad doliną niczym kopuła czasu.

Ślady Henry'ego Langstona prowadziły obok stodoły do zrujno-  
wanego domu. Zanim do niego doszedłem, wyłonił się z wnętrza,  
trzymając w lewej ręce swój sportowy pistolet kalibru 0.32, a w pra-  
wej obciętą dubeltówkę. Przemknęła mi przez głowę idiotyczna myśl,  
że chce mnie zastrzelić.

Nie zastrzelił mnie jednak, tylko pomachał przyjaźnie dubel-  
tówką i wykrzyknął radośnie:

— Znalazłem broń mordercy!

— W domu?

— Nie. Wrzucił ją do wody. Przechodząc przez strumień, za-  
uważyłem, że wystaje z błota.

Wziąłem z jego rąk dubeltówkę i przełamałem ją. W zamku  
tkwiły dwie puste gilzy. Podwójna muszka była pokryta błotem.

— Trafiłeś na jakiś ślad Davy'ego?

Hank potrząsnął głową.

— Spodziewałem się, że wróci na ranczo, ponieważ było to  
miejsce, którego szukał, ale pomyliłem się.

— Gdzie jest oddział pościgowy?

Hank wskazał ręką góry na północnym wschodzie. Nad szczyta-  
mi unosił się zwał czarnych chmur, którego obrzeża były zasnutę  
deszczem.

— Może tam ugrzęźli — powiedział z pewną satysfakcją.

— Nie chciałbyś, żeby go złapali, prawda, Hank?

— Mam ambiwalentne uczucia w stosunku do Davy'ego. Chcę  
oczywiście, żeby go złapali, bo jest niebezpieczny. Nie zamierzam  
jednak pozwolić, żeby został zastrzelony bez sądu. Zważ, że istnieją  
okoliczności łagodzące.

Pamiętałem o tym. To była jedna z przyczyn, dla których nadal zajmowałem się tą sprawą. Davy nie miał szans uniknięcia oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia, ale dziewczynę można było od tego wybronić.

— Wyośmy się stąd — zaproponowałem. — Chcę ci powiedzieć, że po drodze zatrzymałem się w Santa Teresa i zadzwoniłem do twojej żony.

Hank spojrzał na mnie z poczuciem winy.

— Czy z Kate wszystko w porządku?

— Nie. Martwi się o ciebie i martwi się o siebie.

— Co jej jest?

— Może to tylko nerwy. Nie chciała mi powiedzieć, bo nie jestem lekarzem.

— Boi się, że straci dziecko — wyjaśnił ponuro. — Przed moim odjazdem trochę krwawiła.

Ruszył długim krokiem obok stodoły w stronę drogi. Z dziury wyleciała sowa: przez ułamek sekundy widzieliśmy zdziwioną twarz z szeroko otwartymi oczami. Hank strzelił do niej z pistoletu. Nie trafił, co mi sprawiło ulgę. Przypomniał mi się Lupe, kiedy zabił ły-skę.

Pojechaliśmy do Centerville, każdy swoim samochodem. Hank zaparkował swój wóz przed barem Ala Simmonsa. Zanim zdążyłem wejść do wnętrza, mówił już do telefonu:

— Zamawiam rozmowę na koszt abonenta. Nazywam się Henry Langston.

Zapadła długa cisza, przerywana dzwonieniem telefonu na drugim końcu linii i mrużeniem ściszonego radia w barze. Al Simmons pochylił się nad kontuarem.

— Jakies nowe kłopoty?

— Mam nadzieję, że nie.

W tym samym momencie usłyszeliśmy głos operatora:

— Abonent nie odpowiada, proszę pana. Spróbować jeszcze raz?

— Zadzwonię później, dzięki. — Hank odłożył słuchawkę i rzekł do mnie: — Pewnie pojechała do żłobka odebrać dziecko... chociaż to jeszcze za wcześnie.

Ruszył gwałtownie w stronę drzwi, jakby pociągnęła go niewidzialna siła. Al Simmons zatrzymał mnie i zapytał: Czym się martwi pański przyjaciel?

—Boi się o żonę.

Ze morderca może jej zrobić krzywdę?

—Tak.

—Myślę, że sporo ludzi zacznie się bać. Uciekł przez północną przełęcz, wie pan? Radio podało, że zabrał się jakąś ciężarówką.

—W którą stronę uciekł?

—Na południe. Z zeznań kierowcy wynika, że wysiadł w Santa Teresa.

Wyszedłem z baru, chcąc o tym powiedzieć Hankowi, ale wóz pędził już po asfalcie. Zanim ruszyłem w stronę szczytu przełęczy, jego samochód był już daleko na krętej drodze, wyglądając jak pchła, pełznąca w górę po poszarpanym zboczu

Możę powinienem był zatrzymać się w Rodeo City. Rzecz w tym, że obawiałem się działań Pennella. Gdyby Davy zaszył się w domu Langstona i wybuchłaby strzelanina, mogli zginąć niewinni ludzie.

Znalazłszy się na autostradzie, minąłem blokadę, którą Pennell zarządził zbyt późno, i rozpędziwszy wóz do dziewięćdziesięciu mil na godzinę, nie zwalniałem, dopóki nie znalazłem się w obrębie miasta Santa Teresa. Skorzystałem z pierwszego zjazdu z autostrady i pojechałem najkrótszą drogą do dzielnicy Langstona.

Jego samochód stał na ulicy, spod maski wydobywała się para. Hank biegł ku domowi z pistoletem w dłoni. Kate! Odezwij się! — wrzasnął.

Wybiegła z krzykiem frontowymi drzwiami. Rzuciła się ku mężowi, upadła na chodnik, nim do niego dobiegła po czym podniosła się z zakrwawionymi kolanami, zawodząc żałośnie:

— Stracę dziecko... Przez niego stracę dziecko.

Hank przytulił ją do siebie lewą ręką. Na progu ukazał się Davy.

Był zablocony i nieogolony, przypominał początkującego aktora, którego opanowała trema.

Hank podniósł prawą rękę. Pistolet w jego dłoni wyglądał jak czarne przedłużenie wskazującego palca. Davy spojrział nieśmiało i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć. Hank pociągnął kilka razy za spust. Trzecia kula trafiła Davy'ego w oko. Nogi pod nim zmiękły, usiadł na progu i po chwili umarł.

Wkrótce przybyła miejscowa policja, która po odebraniu od Hanka oświadczenia i pogratulowaniu mu zabrała ciało. Zostaliśmy z Hankiem sami w jego domu. Kate była w szpitalu na oddziale nagłych wypadków, gdzie zaaplikowano jej środek uspokajający.

W tym samym celu dolewałem Hankowi whisky, sam nie pijąc zbyt wiele. Whisky szybko na niego podziałała. Krążył po pokoju, szukając czegoś, czego tam prawdopodobnie nie było. Stał przy fortepianie i zaczął walić pięścią w klawisze.

Wrzasnąłem na niego:

— Musisz to robić?!

Odwrocił się ku mnie z podniesioną w górę pięścią. Oczy miał mroczne i szalone, podobnie szalone jak oczy Davy'ego.

— Nie powinienem był go zabijać, prawda?

— Nie jestem twoim sumieniem. Życie toczy się według reguł ekonomicznych. Nie możesz wydać więcej, niż masz, powiedzieć więcej, niż wiesz, ani schudnąć więcej, niż ważysz.

— Rujnował moje małżeństwo, doprowadzał moją żonę do szaleństwa. Musiałem podjąć decyzję.

— I podjąłeś ją.

— Policja nie ma mi tego za złe.

— Oni również nie są twoim sumieniem.

Usiadł chwiejnie na stołku przy fortepianie. Zawiodłem się na nim, ale było mi go żal. Druga natura, którą każdy człowiek ma w sobie, objawiła się w nim w sposób bardzo gwałtowny. Musiał teraz żyć ze świadomością swojego czynu niczym z chorym syjamskim bliźniakiem.

Zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Dom Langstonów, słucham?
- Czy to pan, panie Langston? — spytał kobiecy głos.
- Jestem przyjacielem rodziny. Pani Langston zachorowała.
- Zastanawiałam się, dlaczego nie odebrała syna.
- Czy to żłobek?

Kobieta powiedziała, że tak i że nazywa się Hawkins.

— Proszę zaopiekować się chłopcem. Niech zostanie przez noc w żłobku.

- Nie możemy tego zrobić. Nie mamy możliwości.
- Proszę się postarać. Pani Langston jest w szpitalu.
- A jej mąż?
- Też nie czuje się zdrowy.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do Langstona. Jego oczy przypominały wypalone zgliszcza. Zaczynał odczuwać zmianę, która się dokonała w jego życiu i w nim samym.

Powiedziałem mu do widzenia i opuściłem dom, uważając, by nie nadeprnąć na próg, gdzie plama krwi Davy'ego brązowiała na słońcu, którego on sam nie miał już nigdy ujrzeć.

# ROZDZIAŁ 31

Przed powrotem do Los Angeles złożyłem ostatnią wizytę pani Fleischer. Otworzyła mi drzwi ubrana w czarny płaszcz i tego samego koloru kapelusz. Miała świeży makijaż, lecz jej twarz była ziemista i apatyczna.

Wyglądała na zupełnie trzeźwą, za to okazała się nerwowa.

— Czego pan chce?

— Taśm.

Rozłożyła dłonie w rękawiczkach.

— Nie mam, nie kumam.

— Proszę mi nie wciskać kitu, pani Fleischer. Powiedziała pani, że wie, gdzie one są.

— Już ich nie ma.

— Oddała je pani policji?

— Może tak, może nie. Proszę dać mi wyjść. Czekam na tak-sówkę.

Zaczęła zamykać mi drzwi przed nosem. Oparłem się o nie niby przypadkiem, lecz stanowczo. Jej oczy podniosły się ospale ku mojej twarzy.

— O co jeszcze chodzi?

— Postanowiłem podnieść ofertę. Zapłacę dwa tysiące.

Zaśmiała się bez radości.



— To grosze. Tyle co kot napłakał. Powiedziałabym panu, co może zrobić ze swoimi parszywymi dwoma tysiącami, gdybym nie była damą.

— Z kim pani rozmawiała?

— Z bardzo miłym młodym człowiekiem. Zachowywał się wobec mnie jak džentelmen... nie tak jak niektórzy. — Szarpnęła drzwiami, które blokowałem ramieniem. — Powiedział mi, ile te kasety z taśmami są naprawdę warte.

— Ile?

— Dziesięć tysięcy — oświadczyła triumfalnie, z pogardą wygranego w podwójnych zakładach wobec pechowca.

— Kupił je od pani?

— Może kupił, a może nie kupił.

— Rozumiem. Może nie kupił. Zechce mi go pani opisać?

— Bardzo przystojny, z brązowymi kędzierzawymi włosami. Znacznie przystojniejszy od pana. I sporo młodszy — dodała, chcąc się zapewne zemścić na mężu w osobie jego starego kumpla, Jacka Archera.

Opis nie pasował do żadnej ze znanych mi osób, co najwyżej do Keitha Sebastiana, lecz było to mało prawdopodobne.

— Jak się nazywał?

— Nie przedstawił się.

To oznaczało, iż zapłacono jej gotówką... o ile jej zapłacono.

— Dziesięć tysięcy to kupa pieniędzy. Mam nadzieję, że nie będzie ich pani trzymała w domu...

— Nie, mam zamiar... — zagryzła dolną wargę, która pofarbowała jej zęby. — To nie pański interes, co z nimi zrobię. I jeśli pan nie zostawi mnie w spokoju, wezwę policję.

To ostatnie było najmniej prawdopodobne, ale byłem już znużony nią i moimi jałowymi wysiłkami. Okrążyłem kwartał ulic i zaparkowałem na rogu. Po chwili z przeciwnej strony nadjechała żółta tak-sówka. Kierowca stanął przed domem i krótko zatrąbił.

Pani Fleischer wyszła z mieszkania, niosąc jasnoniebieską torbę podróżną, i wsiadła do taksówki. Pojechałem za nimi na miejscowe lotnisko.

Nie traciłem czasu, żeby się dowiedzieć, dokąd leci. To mnie nie interesowało. Nie wyjechałaby z miasta, gdyby nie sprzedała taśm.

W poczuciu bezsensowności moich wysiłków ruszyłem na południe, do Woodland Hills. Nadzieja, iż uda mi się wyciągnąć Davy'ego, a przynajmniej uratować mu życie i dać szansę rehabilitacji, okazała się płonna. Było to dobrożyczeniowe myślenie.

Dobre chęci w stosunku do innych na ogół przynoszą odwrotne skutki. Dobre chęci Langstona wobec Davy'ego doprowadziły do utajonego trójkąta, który był przeciwieństwem jego zamiarów. Zacząłem się martwić o rezultat moich dobrych chęci w stosunku do Sandy.

Otworzyła mi drzwi Bernice Sebastian. Była smutna, czarne oczy lśniły udreką w ziemistej twarzy. Po raz pierwszy zobaczyłem ją zaniedbaną. Na sukni miała ślady popiołu z papierosów i była nieuczyszana.

Zaprowadziła mnie do salonu i posadziła w złotej plamie późnopołudniowego słońca, wpadającego przez wysokie okno.

— Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję. Wystarczy szklanka wody.

Przyniosła mi ją elegancko na tacy. Sprawiała wrażenie, jakby dbając o formy, starała się przeciwdziałać odśrodkowym siłom, którym zostały poddane okruchy jej egzystencji. Wypiłem wodę i podziękowałem.

— Gdzie jest pani mąż?

— Wyjechał służbowo — odpowiedziała oschle.

— Nie pojechał przypadkiem do Santa Teresa?

— Nie wiem, dokąd pojechał. Pokłóciliśmy się.

— Opowie mi pani o tym?

Nie. To nie była rozmowa, którą chciałyby komukolwiek Potwórzyć. W gruncie rzeczy obarczaliśmy się wzajemnie winą.

Usiadła na pufie naprzeciw mnie, założyła nogę na nogę i zaplótła dłonie na kolanie. Poruszała się z dużym wdziękiem. Na pół świadomie pochyliła ku mnie piękną nieuczesaną głowę.

— Powiem panu, o co się pokłóciliśmy, jeśli pan mi przyrzeknie, że nic w tej sprawie nie zrobi.

— Czego miałbym nie zrobić?

— Powstrzymać Keitha. Zdradziłabym go w ten sposób.

— Powstrzymać przed czym?

— Proszę przyrzec.

— Nie mogę, pani Sebastian. Przyrzeknę pani coś innego: nie zrobię niczego, co mogłoby zaszkodzić pani córce.

— Czy to obejmuje również Keitha?

— Jeśli ich interesy okażą się rozbieżne, to nie. Zrobię dla Sandy, co tylko będę mógł.

— W takim razie powiem panu. Chce ją wywieźć z kraju.

— Zapłacić kaucję i uciec z nią?

— Obawiam się, że tak. Mówił coś o Ameryce Południowej.

— To zły pomysł. Nie będzie mogła nigdy wrócić do kraju, on również.

— Wiem. Powiedziała mu to.

— W jaki sposób zamierza to sfinansować?

— Boję się, że myśli o zdefraudowaniu pieniędzy. Jest cały rozbity. Nie może znieść myśli, że Sandy stanie przed sądem i prawdopodobnie pójdzie do więzienia.

— Czy Sandy jest nadal w Centrum Psychiatrii?

— Nie wiem.

— Proszę zadzwonić i dowiedzieć się.

Bernice poszła do gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Słyszałem, jak rozmawia, ale mówiła zbyt cicho, żebym mógł cokolwiek zrozumieć. Po chwili wyszła z ustami wykrzywionymi strachem.

— Odebrał ją z Centrum.

— Kiedy?

— Mniej więcej godzinę temu.

— Powiedział, dokąd ją zabiera?

— Nie.

— A nie domyśla się pani?

— Rano mówił o locie do Mexico City, a stamtąd najprawdopodobniej do Brazylii. Ale nie ucieknie bez powiadomienia mnie. Spodziewa się, że polecimy we troje.

— Ma pani na to ochotę?

Pokręciła przecząco głową.

— Moim zdaniem nikt z nas nie powinien uciekać. Powinniśmy zostać i stawić czoło sytuacji.

— Dobra dziewczyna.

Jej oczy wypełniły się łzami.

— Nie. Gdybym była dobra, moja rodzina nie wpadłaby w tarapaty. Popełniłam wszystkie możliwe błędy.

— Ma pani ochotę je wymienić?

— Jeśli zdoła pan wytrzymać, słuchając. — Przestała mówić i przez dłuższą chwilę siedziała, porządkując myśli. — Nie wiem, czy chciałabym o nich opowiadać. To nie jest odpowiedni czas, poza tym nie jestem pewna, czy pan jest odpowiednią osobą.

— A kto byłby odpowiednią osobą?

— Powinien nią być Keith. Jest nadal moim mężem. Problem w tym, że już od lat nie rozmawiamy z sobą. Zaczęliśmy się bawić w udawanie, nie uświadamiając sobie nawet, iż to robimy. Keith grał rolę młodego, obiecującego pracownika na kierowniczym szczeblu, ja zaś jego wzorowej żony, pielęgnującej ognisko domowe i sprawiającej, że czuł się mężczyzną. Rolą Sandy było dostarczać nam satysfakcji dobrymi wynikami w szkole i nienagannym zachowaniem. Rezultat był taki, że zamiast się kochać, wykorzystywaliśmy się wzajemnie.

— Nadal twierdzę, że jest pani dobrą kobietą.

— Proszę nie starać się polepszyć mi samopoczucia. Nie jestem tego warta.

Wbrew temu co powiedziała, zamknęła oczy i pochyliła ku mnie głowę. Objąłem dłońmi jej twarz, czując pod palcami jej usta i ciepły oddech.

Po chwili wyprostowała się. Wyglądała teraz na bardziej opanowaną; na jej oblicze powrócił dawny wyraz dumy, który sprawiał, że była piękna.

— Jest pan głodny? Zrobię panu coś do jedzenia.

— To nie jest dobry pomysł.

— Dlaczego?

— Sama pani przed chwilą powiedziała, że ludzie nie powinni bawić się w udawanie.

— Czy tak się zachowuję?

— Ja też bym się tak zachował, Bernice. Ale jest coś innego, co powinniśmy zrobić.

Źle mnie pojęła. Rzuciła mi szybkie chłodne spojrzenie.

— Naprawdę?

— To nie jest przesłuchanie, ale muszę zapytać panią o coś, co może ją zażenować. Pytanie dotyczy doświadczenia seksualnego Sandy.

Zaskoczyłem ją. Podniósłszy się, poszła w daleki kąt pokoju.

— Co pani córka wie o seksie? Odwróciła się powoli.

— Nie mam pojęcia. Nie rozmawiałyśmy nigdy na ten temat.

— Dlaczego?

— Zakładałam, że wszystkiego dowiedziała się w szkole. Wy-słuchiwała specjalnego kursu na ten temat. W dodatku nie czułam się do tego upoważniona.

— Dlaczego?

Spojrzała na mnie z gniewem.

— Czemu pan mnie dręczy? To nie ma żadnego związku ze sprawą.

— Ludzie zawsze tak mi odpowiadają, kiedy pytam o ich główne zainteresowania.

— Seks nie należy do moich głównych zainteresowań. Mogę bez niego żyć. Keith i ja... — zorientowawszy się, że mówi o sobie, urwała.

— Co jest między panią i Keithem?

— Nic. Nie ma pan prawa mnie wypytywać.

Podszedłem do niej.

— Proszę mi powiedzieć tylko jedną rzecz. Co się przydarzyło Sandy ostatniego lata? Mam na myśli incydent opisany przez nią w pamiętniku, który pani zniszczyła.

— To już ma niewielkie znaczenie.

— Wszystko ma znaczenie.

Spojrzała na mnie niedowierzająco.

— Naprawdę pan tak myśli? Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan.

— Nie schodźmy z tematu. Czy napisała o swoich doświadczeniach z LSD?

— Pewne fragmenty dotyczyły tej kwestii. Przy okazji, zapomniałam panu powiedzieć, że doktor polecił przekazać panu wiadomość. Kostka cukru, którą dał mu pan do analizy, zawierała kiepskiej jakości LSD. Oświadczył, że to częściowo usprawiedliwia reakcję Sandy.

— Nie dziwię się. Co jeszcze innego usprawiedliwia jej reakcję?

— Nic więcej nie mówił.

— Pytam o to panią, Bernice. Co jeszcze innego? Zaczerwieniła się.

— Nie mogę panu powiedzieć. Mówię szczerze, nie mogę.

— Skoro Sandy to robiła albo z nią robiono, powinna pani się przełamać. Czy Lupe ją zgwałcił?

Zwiesiła głowę.

— Było ich kilku, gwałcili ją kolejno, jeden po drugim. Robili z nią różne rzeczy.

— Opisała to wszystko w pamiętniku?

— Tak.

— Mogę go przeczytać?

— Zniszczyłam go. Przysię

— Nie sądzi pani, że oczekiwała pomocy ze strony matki?

— Nie wiem. To był dla mnie szok. Nie mogłam jasno myśleć. Nadal nie potrafię. — Mówiła szybkim, monotonnym głosem, w którym brzmiała panika.

— Dlaczego, Bernice? — Zastanawiałem się, czy jej samej nie przydarzyło się w przeszłości coś podobnego.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie złym wzrokiem.

— Nie chcę już z panem rozmawiać. Niech pan odejdzie.

— Odejdę, ale pod warunkiem, że coś mi pani obieca. Kiedy Keith wróci, da mi pani znać. Chcę tylko porozmawiać z nim i z Sandy.

— Zadzwońię do pana. Tyle mogę panu obiecać.

Powiedziałem, że będę czekał na wiadomość od niej w moim biurze, po czym wyszedłem. Popołudniowe słońce przelewało swój blask nad górami na zachodzie. Światło miało uroczystą, elegijną patynę, jakby zachodzące słońce miało już nigdy nie wzejść. Gracze na polach golfowych wyglądali, jakby nagle zaczęli się spieszyć, ści-gani przez własne wydłużające się cienie.

## ROZDZIAŁ 32

Kupiwszy porcję smażonego kurczaka w plastikowym pojemniczku, wróciłem do biura. Zanim zacząłem jeść, sprawdziłem pocztą głosową. Dziewczyna w centrali powiedziała mi, że telefonował Ralph Cuddy.

Zadzwoiłem pod numer w Santa Monica, który mi podał. Telefon odebrał on sam.

— Dobry wieczór. Mówi Ralph Cuddy.

— Lew Archer. Nie spodziewałem się, że pan zadzwoni.

— Dzwoniłem na prośbę pani Krug. — W jego głosie słychać było zakłopotanie. — Powiedziałem jej, że Jasper nie żyje. Chce z panem o tym porozmawiać.

— Proszę jej powiedzieć, że jutro się z nią skontaktuję.

— Lepiej dziś. Pani Krug bardzo zależy na tym, żeby się z panem spotkać. Pytał mnie pan, czy wiem coś o tamtym zaginionym pistolecie. Pani Krug ma na ten temat jakąś informację.

— Skąd?

— Kiedy pistolet zaginął, pan Krug był szefem ochrony w Corpus Christi Oil.

— Kto go ukradł? Jasper Blevins?

— Nie zostałem upoważniony, żeby panu cokolwiek opowiadać. Proszę osobiście zapytać panią Krug.



Pojechałem w gęstym wczesnowieczornym ruchu do sanatorium w Oakwood. Idąc korytarzem za pielęgniarką, poczułem zapach spożywanej przez pacjentów kolacji, co mi przypomniało o nietkniętym kurczaku, pozostawionym na biurku.

Gdy wszedłem, Alma Krug czytała Biblię. Spojrzawszy na mnie poważnym wzrokiem, odprawiła gestem ręki pielęgniarkę.

— Proszę zamknąć drzwi — powiedziała do mnie. — Dobrze, że pan przyszedł, panie Archer. — Wskazała mi twarde krzesło, po czym obróciła wózek, żeby znaleźć się twarzą w twarz ze mną. — Dowiedziałam się od Ralphi Cuddy'ego, że mój wnuk Jasper zginął w wypadku kolejowym. Czy to prawda?

— Jego ciało zostało znalezione pod pociągiem. Powiedziano mi, że został zabity w innym miejscu i że zabójstwa dokonała Laurel. To tylko pogłoski, ale jestem skłonny im wierzyć.

— Czy Laurel została ukarana?

— Nie zaraz. Miejscowy zastępca szeryfa zatuszował zbrodnię, a przynajmniej tak mnie poinformowano. Została zabita znacznie później.

— Kto to zrobił?

— Nie wiem.

— To straszne. — Jej głos miał chropawe brzmienie. — Mówi pan, że Laurel sama później została zabita. Nie powiedział mi pan tego przy pierwszej wizycie.

— Nie.

— I nie powiedział mi pan, że Jasper nie żyje.

— Nie byłem tego pewny, więc nie chciałem niepotrzebnie pani ranić.

— Powinien pan być mi o tym powiedzieć. Kiedy zginął?

— Piętnaście lat temu. Jego ciało znalezione na torach w pobliżu Rodeo City w końcu maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku.

— Źle skończył.

— Zdarzyły się jeszcze inne złe rzeczy. — Mówiłem powoli i

wyraźnie, obserwując jednocześnie jej twarz. — Trzy lub cztery dni przed śmiercią Jaspera zastrzelono na Malibu Beach Marka Hacketta. Może jest tak, że oboje nie mówimy wszystkiego, pani Krug. Nie powiedziała mi pani, że mąż był funkcjonariuszem ochrony w kompanii naftowej Marka Hacketta. Przyznaję, że powinienem był sam to wykryć, ale z jakiegoś powodu tak się nie stało. Myślę, że tym powodem jest pani. Zamrugła powiekami.

— Mam sporo na sumieniu. Dlatego poprosiłam, żeby pan przyjechał, panie Archer. Wewnętrzny głos przez wiele lat nie dawał mi spokoju, więc teraz, kiedy mój wnuk Jasper nie żyje... — urwała, pozwalając, by koniec zdania utonął w ciszy.

— Czy to Jasper ukradł pistolet z kompanii Hacketta?

— Joe zawsze go o to podejrzewał. Jasper już przedtem kradł... kiedy bywał u nas, musiałam chować torebkę. Tamtego dnia odwiedził Joego w biurze.

— Mówi pani o dniu, kiedy został zastrzelony Mark Hackett?

Bardzo powoli skinęła głową.

— Dzień wcześniej miał potworną scysję z panem Hackettem.

— Skąd pani wie?

— Powiedział o tym Joemu. Chciał, żeby Joe interweniował u Hacketta w jego sprawie.

— W jakiej sprawie?

— Chodziło o pieniądze. Jasper był zdania, że ma prawo żądać pieniędzy za wychowywanie chłopca. Pan Hackett dał mu sporą sumę, kiedy Jasper żenił się z Laurel. To wszystko było w umowie.

— Twierdzi pani, że Davy był nieślubnym synem Marka Hacketta?

— Był jego wnukiem — poprawiła mnie. — Davy był synem Stephena Hacketta, a Laurel jedną ze służących w domu Hackettów w Teksasie. Była uroczym, miłym stworzeniem i Stephen zrobił jej dziecko. Ojciec wysłał go na studia do Europy, a Laurel zostawił u nas, żebyśmy znaleźli jej męża, nim będzie miała za duży brzuch.

Jasper postanowił, że sam się z nią ożeni. Był wtedy fryzjerem i ledwie wiązał koniec z końcem. Pan Hackett dał im pięć tysięcy dolarów w prezencie ślubnym. Po pewnym czasie Jasper doszedł do wniosku, że może zażądać więcej. Dzień wcześniej wiercił dziurę w brzuchu panu Hackettowi... — urwała swój precyzyjny wywód, nie skończywszy zdania.

— Dzień wcześniej, nim go zabił?

— Joe zawsze tak myślał. To mu skróciło życie. Był prawym człowiekiem, lecz nie mógł się zdecydować na oskarżenie syna własnej córki. Spytał mnie, czy powinien to zrobić, a ja mu odpowiedziałam, że nie, więc moje sumienie też nie jest czyste.

— Postąpiliście tak, jak postąpiłaby większość dziadków.

— To jeszcze nie wszystko. Przyzwyczailiśmy się kryć Jaspera. Od chwili kiedy do nas przybył jeszcze jako mały chłopiec, zachowywał się jak dzikus. Kradł, bił się, znęcał się nad kotami i miał kłopoty w szkole. Zaprowadziłam go kiedyś do doktora od głowy, który mi poradził, żebyśmy się go pozbyli. Nie mogłam tego zrobić, biedak nie był aż taki zły. — Po namyśle dodała: — Miał talent artystyczny. Odziedziczył go po matce.

— Proszę mi coś powiedzieć o jego matce.

Zmieszła się. Spojrzała na mnie z niezadowoleniem.

— Wolałabym nie mówić o mojej córce. Mam prawo do prywatności moich uczuć.

— Coś niecoś już o niej wiem, pani Krug. Córka urodziła się w Rodeo City w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku. Może to panią zaskoczy, ale mam kopię jej świadectwa urodzenia. Została ochrzczona jako Henrietta R. Krug. Nazywaliście ją Ettą, potem jednak porzuciła to imię.

— Nigdy go nie lubiła. Po rozejściu się z Blevinsem zaczęła używać swojego drugiego imienia.

— Na drugie miała Ruth, prawda?

Stara kobieta pochyliła potwierdzająco głowę. Uniknęła mojego wzroku.

— A jej następnym mężem był Mark Hackett?

— Był jeszcze jeden między nimi — odparła ze starym zamiłowaniem do dokładności. — Meksykański chłopak z San Diego.

— Jak się nazywał?

— Lupe Rivera. Byli ze sobą tylko kilka miesięcy. Policja aresztowała go za przemyt i Etta uzyskała rozwód. Następny był Mark Hackett, a po nim Sidney Marburg. — Mówiła surowym głosem, jakby odczytywała akt oskarżenia.

— Czemu pani przede mną ukryła, że Ruth Marburg jest pani córką?

— Nie zapytał pan o to. Zresztą to nie czyni różnicy. Nie miałam wiele wspólnego z Ettą od czasu, gdy wyszła za Hacketta i stała się światową damą. Nie utrzymuje ze mną kontaktu, ponieważ wstydzi się prowadzonego przez siebie życia... z mężczyznami o połowę młodszymi od niej. Nie mam rodziny. Nawet mój wnuk Stephen nigdy mnie nie odwiedza.

Powiedziałem, że jej współczuję, i wyszedłem, zostawiając ją z Biblią w dłoni.

## ROZDZIAŁ 33

Pojechałem do Malibu, zapominając o głodzie i zmęczeniu. Niedaleko bramy Hackettów minął mnie samochód, jadący w przeciwnym kierunku. Mężczyzna przy kierownicy był podobny do Keitha Sebastiana. Zawróciłem przy wjeździe do bramy i pojechałem za nim.

Złapałem go przy znaku STOP przed autostradą. Skręcił w prawo, pojechał kawałek autostradą, a potem boczną drogą w lewo, wzdłuż plaży. Zatrzymawszy się za jednym z domków plażowych, w którym paliło się światło, zapukał do tylnych drzwi. Kiedy się otworzyły, ujrzałem przez sekundę na tle oświetlonego wnętrza sylwetkę jego córki.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem pod dom. Firanki i zasłony były zaciągnięte. Światło przez nie przenikało, lecz rytmiczny łoskot fal zagłuszał wszelkie odgłosy z wewnątrz.

Na skrzynce pocztowej widniało nazwisko „Hackett”. Zapukałem do drzwi, próbując jednocześnie klamki. Były zamknięte.

Keith Sebastian zapytał przez drzwi:

- Kto tam?
- Archer.

Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszałem zamykanie jakichś wewnętrznych drzwi. Sebastian przekręcił klucz i otworzył frontowe.

Minąwszy go, wszedłem do wnętrza, nie czekając na zaproszenie.

— Co pan wyczynia, Keith?

Nie przygotował sensownego usprawiedliwienia.

— Postanowiłem na dzień lub dwa uciec od tego wszystkiego. Pan Hackett pozwolił mi korzystać ze swojego prywatnego domu.

Przeszedłem z kuchni do sąsiedniego pokoju. Na pokerowym stoliku stały brudne naczynia po dwóch osobach. Na brzegu jednego z kubków po kawie widniał półksiężyc szminki.

— Jest tu jakaś kobieta?

— Przyłapał mnie pan. — Spojrzał na mnie z nadzieją, jego wzrok wyrażał naiwną przebiegłość. — Nie powie pan Bernice, prawda?

— Ona wie. Ja też. Ta kobieta to Sandy, prawda?

Wziął do ręki jej kubek. Przez moment się zastanawiał. Miałem wrażenie, że zamierza rozbić mi go na głowie, więc cofnąłem się o krok. Postawił kubek z powrotem na stole.

— Jest moją córką — oświadczył kategorycznie. — Sam wiem, co jest dla niej najlepsze.

— Dlatego jej życie układa się tak wspaniale. Ale to nie zastąpi właściwego leczenia.

— Lepsze to niż więzienie. Jej nie trzeba leczenia.

— Kto panu naopowiadał takich bzdur?

Nie odpowiedział. Stał w miejscu, potrząsając swoją głupią urodziwą głową. Nie czekając na zaproszenie, usiadłem przy stole. Po chwili zajął miejsce naprzeciw mnie. Patrzyliśmy na siebie jak dwaj pokerzyści, usiłujący przechytryć jeden drugiego.

— Nie rozumie pan. Sandy i ja nie mamy zamiaru tutaj zostać. Wszystko zostało przygotowane.

— Chcecie opuścić Stany?

Zmarszczył brwi.

— Widzę, że Bernice panu powiedziała.

— I chwiała jej za to. Jeśli pan zwieje, straci pan obywatelstwo... nie mówiąc o Sandy. Z czego zamierza pan się utrzymywać w obcym kraju?

— Wszystko zostało przewidziane. Jeśli będę dbał o to, co mam, i mieszkał w odpowiednim miejscu, nie będę musiał już więcej pracować.

— Myślałem, że jest pan doszczętnie splukany.

— Już nie. Mój plan się powiódł. — Mówił ze sztuczną fanfaronadą, jakby chciał zagłuszyć wewnętrzną niepewność. — Proszę mnie nie powstrzymywać, panie Archer. Wiem dokładnie, co robię.

— Czy żona leci z wami?

— Mam nadzieję. Jeszcze się nie zdecydowała. Wylatujemy jutro, więc musi się pospieszyć.

— Żadne z was nie powinno postępować pochopnie.

— Nikt pana nie pyta o radę.

— W pewnym sensie pan to zrobił, angażując mnie do sprawy. Obawiam się, że jest pan na mnie skazany.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy jak dwaj pokerzyści z kiepskimi kartami, którzy zapędzili się za daleko w licytacji, żeby spasować. Przez moment miałem wrażenie, że słyszę wyraźniej szum morza i poczułem na kostkach chłodny przeciąg. Coś wewnątrz domu stuknęło, po czym przeciąg się skończył.

— Gdzie jest pańska córka?

Przeszedł przez pokój i otworzył jakieś drzwi.

— Sandy!

Wszedłem za nim do oświetlonej sypialni. Pokój wyglądał groteskowo, przypominał pokój Lupe. Ściany i sufit były różnokolorowe, a na środku, niczym ołtarz ofiarny, stało okrągłe łóżko. Leżały na nim porozrzucane rzeczy Sandy.

Sebastian otworzył przesuwne szklane drzwi. Pobiegliśmy na brzeg. Dziewczyna była daleko za linią przyboju, walcząc o życie, a może płynąc po śmierć.

Jej ojciec zaczął brodzić w ubraniu, lecz po chwili odwrócił się bezradnie do mnie.

— Nie umiem dobrze pływać.

Nadbiegająca fala podcięła mu nogi. Musiałem faceta przytrzymać, żeby powracająca woda go nie wessała.

— Idź i wezwij szeryfa.

— Nie!

Uderzyłem go otwartą dłonią w twarz.

— Wezwij szeryfa, Keith! Musisz to zrobić.

Pobrnął wzdłuż brzegu. Zrzuciwszy buty i wierzchnią odzież, popłynąłem za Sandy. Była młoda, więc trudno ją było doścignąć. Zanim się z nią zrównałem, byliśmy daleko od brzegu, a ja poczułem się wyczerpany.

Nie wiedziała, że za nią płynę, dopóki jej nie dotknąłem. Jej oczy były rozszerzone i ciemne jak oczy fokii.

— Zostaw mnie. Chcę umrzeć.

— Nie pozwolę na to.

— Pozwoliłbyś, gdybyś wszystko o mnie wiedział.

— Wiem prawie wszystko. Wróć ze mną, Sandy. Jestem za bardzo zmęczony, żeby cię holować.

Na brzegu błysnął szperacz. Promień światła błędził po morzu, dopóki nas nie znalazł. Sandy odpłynęła ode mnie. Jej ciało, białe i lekko fosforyzujące, połykiwało w wodzie jak światło księżycy.

Starłem się trzymać blisko niej. Nikogo w pobliżu nie było. W końcu na gumowej łodzi ratunkowej przyplłynął mężczyzna w czarnym kombinezonie z pianki i przewiózł ją, nie stawiającą oporu, poprzez przybój.

Sebastian i kapitan Aubrey czekali na nas z kocami. Pozbierałem moje rzeczy spod nóg gapiów i poszedłem za Sebastianem i jego córką do domku. Towarzyszył mi kapitan Aubrey.

— Próba samobójstwa? — zapytał.

— Mówi o tym od miesiący. Mam nadzieję, że teraz zrezygnuje.



— Nie liczylibym na to. Rodzina powinna podjąć środki zapobiegawcze.

— Usiłuję im to wytłumaczyć.

— Powiedziałaś, że jest w takim stanie od miesiący. Z tego wynika, że musiała się nosić z tym zamiarem już od dawna.

— Zgadza się.

Doszliśmy do domku. Trząśłem się z zimna pod kocem, lecz Aubrey zatrzymał mnie na zewnątrz.

— Co mogło być powodem jej wcześniejszych samobójczych nastrojów?

— Porozmawiam o tym z tobą, kapitanie, ale najpierw wezmę gorący prysznic i załatwię porachunki z Sebastianem. Gdzie będziesz za godzinę?

— Będę na ciebie czekał na posterunku.

Otworzyłem szklane drzwi i wszedłem do kolorowej sypialni. Sebastian był w drugim końcu pokoju. Stał jak strażnik obok otwartych drzwi, przez które dolatywał szum prysznica. Jego ubranie ociekało wodą, we włosach miał mokry piasek, a oczy były nieprzytomne.

— Co zamierzasz robić przez następne pięć czy dziesięć lat, Keith? Być strażnikiem?

Spojrzał na mnie pytająco.

— Nie całkiem cię rozumiem.

— Przed chwilą omal jej nie straciliśmy. Nie wolno ci igrać z jej życiem. Ale przecież nie jesteś w stanie pilnować jej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Nie wiem, co mam zrobić.

— Zawieź ją z powrotem do Centrum Psychiatrii. Daj sobie spokój z Ameryką Południową. Nie wytrzymasz tam.

— Obiecałem.

— Komu, Sandy? To ją zabije.

— Ona nie jest jedyną osobą w tej grze — powiedział żałośnie.

— W kwestii Ameryki Południowej nie mam wyboru. To element większego planu.

— Wytłumacz mi to.

— Nie mogę. Przynależem o tym nie mówić.

— Komu przynależem? Stephenowi Hackettowi?

— Nie. Komuś innemu.

Okrążyłem łóżko i podszedłem do niego.

— Nie mogę nic więcej dla ciebie zrobić, jeżeli będziesz milczał. Odnoszę wrażenie, że ktoś zaproponował ci wyjazd. Tobie i twojej córce.

— Wiem, co robię. Nie chcę ani nie potrzebuję twojej pomocy — oświadczył z uporem.

— Możliwe, że nie chcesz, ale jestem ci potrzebny. Odwieszysz Sandy z powrotem do Centrum?

— Nie.

— Wobec tego zmuszę cię do tego.

— Nie możesz. Jestem wolnym obywatelem.

— Już niedługo. Kapitan Aubrey czeka na mnie. Kiedy się dowie, że kupujesz i sprzedajesz dowody w sprawie o morderstwo...

— Co masz na myśli?

— Taśmy, które kupiłeś od pani Fleischer.

Była to hipoteza, oparta na jego wzmiance o elemencie większego planu. Domyśliłem się, że główną rolę grały w nim taśmy. Wyraz twarzy Sebastiana potwierdził moje przypuszczenie.

— Dla kogo je kupiłeś, Keith?

Nie odpowiedział.

— Kto ci płaci za wywiezienie córki z kraju?

Milczał nadal. Na progu za nim ukazała się Sandy. Była zaróżowiona od gorącej wody i miała na sobie czysty żółty frotowy szlafrok. Wyglądało na to, że nocne pływanie dobrze jej zrobiło. Trudno mi było jej to wybaczyć.

Zapytała ojca:

— Czy ktoś płaci za nasz wyjazd? Nic mi o tym nie mówiłeś. Powiedziałeś, że kompania ma ci dać trochę pieniędzy, ponieważ odchodzisz z pracy.

— Tak, kochanie, to są właśnie te pieniądze. — Stał między nami, przenosząc wzrok z jednego na drugie.

— Ile tego jest?

— To nie twoja sprawa, kochanie. Pozwól mi samemu to wszystko przeprowadzić. Nie musisz zaprzętać sobie głowy takimi problemami...

— Dzięki za troskę. Czy to są pieniądze od pana Hacketta?

— W pewnym sensie tak. Kompania należy do niego.

— I dostaniesz je pod warunkiem, że wywieziesz mnie do Ameryki Południowej, prawda? W innym przypadku nie?

— Nie podoba mi się to przesłuchanie — rzekł Sebastian. — Ostatecznie jestem twoim ojcem.

— Jesteś, tato. — Jej głos był szyderczy, podszyty wagą przeżytych cierpień. — Ale ja nie chcę wyjeżdżać do Ameryki Południowej.

— Powiedziałaś, że chcesz.

— Już nie. — Stanąwszy arogancko plecami do ojca, zwróciła się do mnie: — Proszę mnie stąd zabrać, dobrze? Mam dość tego domu. Właśnie tu, w tym pokoju, przeżyłam odlot. To jest łóżko, na którym Lupe i Steve po kolei mnie gwałcili. W srom i w odbytnicę. — Dotknęła wymienionych części ciała jak dziecko, pokazujące dorosłym, w którym miejscu zostało skaleczone.

Mówiła do mnie, ale jej słowa i gesty były zaadresowane do ojca. Sebastian był przerażony. Usiadł na łóżku, po czym natychmiast się poderwał i strzepnął pozostawiony piasek.

— To nie mógł być pan Hackett.

— Mógł i był. Miałam odlot i ledwie wiedziałam, co się ze mną dzieje, ale zbyt dobrze znałam Steve'a Hacketta, że bym go nie poznała.

Oczy Sebastiana poruszały się jak ruchome obiektywy w skomplikowanym aparacie. Bardzo chciał jej nie wierzyć, znaleźć w tym wyznaniu wiarygodną lukę, lecz obaj wiedzieliśmy, że Sandy nie kłamie.

— Czemu mi o tym nie powiedziałaś, Sandy?

— Mówię ci teraz.

— Dlaczego nie ostatniego lata, kiedy to się wydarzyło?

Spojrzała na niego z pogardą.

— Skąd wiesz, że to się zdarzyło ostatniego lata? Nie mówiłam o tym.

Rozejrzał się błędnym wzrokiem po pokoju i rzekł:

— Twoja matka o czymś wspomniała, ale niejasno. Było coś o tym w twoim pamiętniku, prawda?

— Opisałam to bardzo szczegółowo — oświadczyła. — Wiedziałam, że Bernice czyta mój pamiętnik. Ale żadne z was nie przyznało się, że wie.

— Zostawiłem to twojej matce, Sandy. Ostatecznie jestem mężczyzną, a ty dziewczyną.

— Wiem, że jestem dziewczyną. Miałam okazję boleśnie się o tym przekonać.

Była zła i zmartwiona, przemawiała przez nią jednak już nie niewinna dziewczyna, ale kobieta. Przestała się bać. Pomyślałem, że to morze dokonało w niej tej transformacji i że jej wewnętrzne burze ucichły.

Poszedłem do łazienki wziąć prysznic. Kabina była ciepła i unosił się w niej jeszcze zapach Sandy.

Nieco później, kiedy do łazienki poszedł Sebastian, usiedliśmy z jego córką naprzeciw siebie przy pokerowym stoliku. Byliśmy już ubrani, więc nasza rozmowa nabrała pewnej formalnej sztywności. Sandy zaczęła od podziękowań, co było pozytywnym znakiem.

Odpowiedziałem, iż przede wszystkim nie powinno jej się здаwać, że poczułem nieodpartą potrzebę popływania sobie.

— Czy postanowiłaś dać szansę życiu?

— Niczego nie obiecuję — odparła. — Świat jest cuchnący.

— Nie poprawisz go, popełniając samobójstwo.

— Poprawię własny los. — Umilkła i przez chwilę siedziała nieruchomo. — Myślałam, że uda mi się uciec od tego wszystkiego z Davym.

— Czyj to był pomysł?

— Jego. Poderwał mnie na deptaku, bo ktoś mu powiedział, że znam Hackettów. Zależało mu na dotarciu do Steve'a, a ja się ucieszyłam, że mogę mu w tym pomóc.

— Dlaczego?

— Wie pan dlaczego. Chciałam się zemścić na nim i na Lupe. Prawdę mówiąc, nie przyniosło mi to ulgi, nawet poczułam się gorzej.

— A o co chodziło Davy'emu?

— Trudno powiedzieć. Zawsze miał trzy lub cztery uzasadnienia dla wszystkiego, co robił. Ale to nie jego wina. Nikt mu nigdy nie powiedział prawdy o jego pochodzeniu, zrobiła to dopiero Laurel. Nawet wtedy nie był pewny, czy tak było w istocie. Kiedy mu to mówiła, była pijana.

— Czy powiedziała mu, że jego ojcem jest Stephen Hackett?

— Nie wiem, co mu powiedziała. Mówię szczerze. — To był zwrot jej matki i wypowiedziała go z taką samą intonacją. — Nie rozmawialiśmy z Davym zbyt wiele pod sam koniec. Bałam się pójść za nim i jednocześnie nie chciałam go opuścić. Nie wiedziałam, jak daleko się posunie. On też nie.

— Już dalej się nie posunie. — Doszedłem do wniosku, że pora jej to powiedzieć, dopóki nie utrwaliły się w niej nocne zmiany. — Dziś po południu został zastrzelony.

Spojrzała na mnie apatycznie, jakby chwilowo wyczerpał się w niej zapas wrażliwości.

— Kto to zrobił?

— Henry Langston.

— Myślałam, że jest przyjacielem Davy'ego.

— Tak było, ale miał problemy sam ze sobą. Większość ludzi je ma.

Dając jej czas na refleksję nad tą myślą, poszedłem do sypialni, gdzie jej ojciec wybierał z szafy ubrania. Ostatecznie zdecydował się na luźne spodnie i sweter z golfem. W swetrze wyglądał młodo i odważnie, jak bohater filmowy.

— Co masz zamiar zrobić, Keith?

— Pojadę do Hacketta i zwrócę mu czek.

Ta nagła przemiana w nim zaskoczyła mnie. Sprawiał wrażenie, jakby jego samego również.

— Cieszę się, że tak postanowiłeś, lepiej jednak będzie, jeśli ja wezmę ten czek. To jest dowód obciążający.

— Mnie?

— Hacketta. Ile pieniędzy wchodzi w grę?

— Czek jest na sto tysięcy.

— Ile dał ci gotówką na taśmy?

— Dziesięć tysięcy — odparł bez wahania. — Zapłaciłem je pani Fleischer.

— Co ci powiedział Hackett na temat tych taśm?

— Że Fleischer próbował go nimi szantażować.

— O co w tym szantażu chodziło?

— Nie powiedział. Przypuszczam, że o romans.

— Kiedy oddałeś mu te taśmy?

— Tuż przed twoim przyjazdem.

— Kto jeszcze był w domu?

— Widziałem tylko pana Hacketta i jego matkę.

— Mają magnetofon?

— Tak. Widziałem, jak przymierzali do niego krawki, czy się zmieszczą.

— Ile ich jest?

— Sześć.

— W którym pokoju im je przekazałeś?

— W bibliotece. Oddałem je pani Marburg.

— Dopiero potem dali ci czek?

— Tak. Hackett mi dał.

Wyjął z portfela żółty odcinek i wręczył mi. Był taki sam jak ten, który spoczywał w moim sejfie, z tą różnicą, że był podpisany przez Stephena Hacketta, a nie przez jego matkę, i nie był postdatowany.

Widać było po Sebastianie, iż siła charakteru, której potrzebował, żeby wyrzec się takiej sumy, rosła w nim jak na drożdżach. Poszedł za mną energicznym krokiem do saloniku.

— Pojadę z tobą. Powiem tej kanalii Hackettowi, co o nim my-  
śle.

— Nie. Masz do zrobienia ważniejsze rzeczy.

— Jakie?

— Odwieszisz córkę z powrotem do Centrum.

— Nie mogę zabrać jej po prostu do domu?

— Jeszcze na to za wcześnie.

— I niech zawsze będzie za wcześnie — powiedziała Sandy.

Mimo tych słów odniosłem wrażenie, że wzrok, którym popa-  
trzyła na ojca, był cieplejszy.

## ROZDZIAŁ 34

Kapitan Aubrey czekał na mnie przy drzwiach prowadzących na werandę przed posterunkiem policji. Rozmawialiśmy w obskurnym korytarzu starego budynku, poza zasięgiem słuchu dyżurnego funkcjonariusza. Kiedy podzieliłem się z nim tym, co wiedziałem, i przedstawiłem niektóre moje domysły, chciał pojechać ze mną do Hackettów.

Przypomniałem mu, że powinien mieć nakaz rewizji, którego uzyskanie mogłoby trochę potrwać, a w tym czasie Hackett zdążyłby zniszczyć taśmy lub skasować dźwięk.

— Co sprawia, że te taśmy są takie ważne? — spytał Aubrey.

— Śmierć Laurel Smith. Dowiedziałem się dziś, że przed dwudziestu laty miała romans ze Stephenem Hackettem. Davy Spanner jest ich nieślubnym synem.

— Sądzisz, że to Hackett ją zabił?

— Za wcześnie na takie orzeczenie. Wiem tylko, że zapłacił dziesięć tysięcy za taśmy.

— Nawet wiedząc o tym, nie masz pretekstu, żeby tam wejść i zabrać je.

— Nie muszę mieć pretekstu, kapitanie. Zostałem zaangażowany przez panią Marburg. Mam wstęp do tego domu.

— Nie boisz się, że już stamtąd nie wyjdiesz?





Została na progu własnego domu, jakby się czuła kimś obcym. Jego rozległość, którą zauważyłem w trakcie wędrówki do biblioteki, nasunęła mi rozwiązanie zagadki, dlaczego Hackett ożenił się z cudzoziemką. Nie chciał, żeby ktoś ze znajomych żony znał go z przeszłości.

Drzwi do biblioteki były zamknięte. Usłyszałem za nimi kobiecy głos. Przyłożywszy ucho do dębowych drzwi, poznałem głos Laurel Smith. Włosy mi się zjeżyły na karku, a serce zaczęło bić jak młotem w absurdalnej nadziei, iż Laurel przeżyła.

Byłem bliski załamania, jak człowiek u kresu długiej wspinaczki — wspinaczki w odwrócony czas: w głąb przeszłości. Oparłem się o drzwi i z trudem łąpałem powietrze.

— Dziękuję, pani Lippert. — To był głos Laurel. — Chce pani pokwitowanie?

— Nie trzeba — odparł inny kobiecy głos. — Dostanę pokwitowanie z banku.

— Zrobić pani drinka?

— Nie, dziękuję. Mężowi się nie spodoba, kiedy po powrocie do domu poczuje ode mnie alkohol.

— Wódki nie wyczuje.

— On wyczuje. Ma nos jak pies myśliwski. Dobranoc.

— Proszę uważać na siebie.

Trzasnęły drzwi. Laurel zaczęła nucić znaną piosenkę o gwizdaniu w mroku. Musiała krążyć po mieszkaniu, bo jej głos to się nasilał, to słabł.

Zacząłem przekręcać gałkę w drzwiach. Ruth Marburg zapytała:

— Kto tam?

Wszedłem ze sztucznym uśmiechem. Pani Marburg siedziała koło telefonu. Nie dostrzegłem nigdzie rewolweru.

Hackett siedział przy stole, na którym stał magnetofon. Jego zbolaty uśmiech był równie sztuczny jak mój. Wyłączył śpiew Laurel.

— Pani Hackett powiedziała mi, gdzie można państwa znaleźć. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Hackett zaczął mówić, że oczywiście nie, ale przebiła go pani Marburg.

— Prawdę mówiąc, przeszkodził nam pan. Mój syn i ja puszczaemy sobie stare taśmy rodzinne.

— Proszę kontynuować.

— Nie zainteresują pana. Są zbyt nostalgiczne, żeby ktoś poza rodziną je docenił. — Jej głos się zaostrzył. — Czego pan chce?

— Przyjechałem złożyć końcowy raport.

— Wybrał pan złą porę. Niech pan przyjedzie jutro.

— Lepiej posłuchajmy, co ma do powiedzenia. — Zdenerwowany Hackett spojrział na matkę. — Płacimy mu tyle, że miejmy z tego jakąś korzyść.

— Wolałbym posłuchać, co Laurel ma do powiedzenia.

Pani Marburg zatrzepotała sztucznymi rękami.

— Laurel? Kim, do diabła, jest Laurel?

— Żoną Jaspiera. Przed chwilą jej słuchaliście. Posłuchajmy wszyscy.

Odwróciła się nagłym ruchem w moją stronę.

— Proszę zamknąć drzwi. Chcę z panem pomówić.

Zamknawszy drzwi, oparłem się o nie, obserwując oboje.

Pani Marburg podniosła się ociężale, pomagając sobie rękami. Hackett sięgnął do magnetofonu.

— Proszę go nie ruszać.

Jego ręka zastygła nad klawiszami, po czym cofnęła się. Pani Marburg podeszła do mnie.

— Wydaje ci się, że dokopałeś się brudu i chciałbyś podnieść stawkę? Pomyliłeś się. Jeśli będziesz wścibiał nos w nie swoje sprawy, to znajdziesz się w więzieniu, nim jeszcze wzejdzie słońce.

— Ktoś z całą pewnością tam się znajdzie.

Przybliżyła twarz do mojej.

— Mój syn i ja kupujemy takich jak ty za darmo. Czek, który ci dałam, jest postdatowany. Czyżbyś był na tyle głupi, że nie wiesz, co to znaczy?

— To znaczy, iż nie wierzyła pani, że można mnie kupić. Nikogo w dzisiejszych czasach nie można kupić. — Wyjąłem czek Keitha Sebastiana i pokazałem go jej. — Sebastian oddał mi twój czek.

Spróbowała mi go wyrwać. Cofnąłem rękę poza jej zasięg.

— Nie bądź taka pazerna, Etto.

Jej twarz pod maską makijażu przybrała wyraz wściekłości.

— Nie nazywaj mnie tak. Mam na imię Ruth.

Zawróciła w stronę swojego krzesła, lecz zamiast usiąść, otworzyła szufladę w stoliku pod telefonem. Doskoczyłem do niej w chwili, kiedy wyjmowała gotowy do strzału rewolwer, i wyrwałem go jej z ręki.

Cofnąwszy się, odwróciłem się do Hacketta. Był już na nogach, zbliżał się do mnie. Nie musiałem do niego strzelać. Natychmiast wrócił do miejsca, w którym siedział.

— Odejdź od stołu, Hackett. Przejdź na tamtą stronę pokoju, do matki.

Minąwszy matkę, oparł się najpierw plecami o komplet Dickensa, po czym przysiadł nieporadnie na trójstopniowych schodkach bibliotecznych w rogu pokoju. Pani Marburg stała przez chwilę w wyzywającej pozie, lecz w końcu usiadła na swoim krześle.

Zająłem opuszczone przez jej syna miejsce przy magnetofonie i wcisnąłem klawisz odtwarzania. Magnetofon, którego używał Fleischer, musiał być uruchamiany głosem, gdyż w nagraniu nie było dłuższych przerw ani momentów ciszy. Po śpiewie Laurel usłyszałem szmery towarzyszące sporządzaniu drinka, a zaraz po nich już znacznie hałaśliwsze odgłosy robienia następnego. Laurel śpiewała teraz jakąś własną piosenkę, kończącą się refrenem: „Davy, Davy, Davy”.

Drzwi do pokoju otworzyły się, po czym zamknęły. Zabrzmiał głos Davy'ego:

— Cześć, Laurel.

— Mów do mnie „mamo”.

— To by było nie w porządku. Hej, nie całuj mnie.

— Mam prawo. Czy nie traktowałam cię jak matka?  
— Ostatnio tak. Czasem się zastanawiam dlaczego.  
— Bo jestem twoją matką. Obciąłabym sobie prawą rękę, żeby tego dowieść.  
— Czy głowę też?  
— Ach! — wykrzyknęła, jakby sprawił jej fizyczny ból. — To nieładnie z twojej strony tak do mnie mówić. Nie miałam nic wspólnego z zamordowaniem twojego ojca.  
— Ale wiesz, kto go zabił.  
— Już ci kiedyś powiedziałam: to był młody człowiek, bitnik z brodą.  
— W tamtym czasie nie było bitników — mruknął niedowierzająco Davy.  
— Jakkolwiek go nazwać, zrobił to ten człowiek.  
— Kim on był?  
Po chwili wahania rzekła:  
— Nie wiem.  
— Więc czemu go kryjesz?  
— Nie kryję go.  
— Kryjesz go. Powiedziałaś Fleischerowi i w sądzie, że zabity nie był moim ojcem. Mnie powiedziałaś, że był. Która wersja jest prawdziwa?  
Odpowiedziała słabym głosem:  
— Nie bądź taki niemły. Nie skłamałam ani wtedy, ani teraz. Człowiek, którego przejechał pociąg...  
Pani Marburg jęknęła tak głośno, że nie dosłyszałam końca zdania. Kiedy zaczęła mówić, wyłączyłem magnetofon.  
— Czy muszę tu tkwić całą noc, żeby wysłuchiwać jakiejś mydlanej opery?  
— Przecież to rodzinna taśma — odparłem. — Bardzo nostalgiczna. Twój wnuk i jego matka rozmawiają o tym, co się stało z twoim synem. Nie chciałybyś się dowiedzieć, co się z nim stało?  
— To nonsens! Mam tylko jednego syna.

Odwrociła się do siedzącego w rogu Hacketta, odsłaniając zęby w czymś, co miało sprawiać wrażenie matczynego uśmiechu. Poruszył się nerwowo pod jej spojrzeniem, po czym po raz drugi się odezwał, starannie dobierając słowa:

— Nie ma sensu udawać, mamó. On się może łatwo dowiedzieć wszystkiego o Jasperze. Myślę, że już teraz wie. Myślę również, iż można mu powiedzieć prawdę.

— Nie bądź głupcem.

— Jaką prawdę? — spytałem.

— Że zabiłem mojego przyrodniego brata, Jaspera Blevinsa. Jeśli pozwolisz mi opowiedzieć, jak do tego doszło, spojrzysz na to inaczej. Jestem pewny, że żadna ława przysięgłych mnie nie skaże.

— Nie bądź taki pewny — powiedziała jego matka. — Robisz wielki błąd, obdarzając zaufaniem tego sukinsyna.

— Muszę komuś zaufać — odparł. — Ten człowiek uratował mi życie. I nie zgadzam się z tobą, że powinniśmy wstrzymać wypłatę jego czeku. Zasłużył na te pieniądze.

Wtrąciłem się:

— Miałeś mi opowiedzieć, w jaki sposób zabiłeś Jaspera. Wziął głęboki oddech.

— Zaczniemy od tego, dlaczego go zabiłem. Jasper zamordował mojego ojca. Byliśmy sobie bardzo bliscy, choć przez wiele lat go nie widziałem. Mieszkałem w Londynie, studiowałem ekonomię, żeby potem przejąć od niego prowadzenie interesu. Tata był w kwiecie wieku, więc nie spodziewałem się, że to nastąpi tak szybko. Wiadomość, że został zamordowany, zerwała we mnie wszelkie hamulce. Byłem jeszcze bardzo młody, ledwie przekroczyłem dwudziestkę. Wróciwszy do domu, postanowiłem pomścić śmierć mojego ojca.

Mówił tak, jakby recytował wyuczony na pamięć tekst, co sprawiało, że trudno mu było wierzyć.

— W jaki sposób wysledziłeś mordercę?

— To się okazało całkiem łatwe. Odkryłem, że Jasper był skłócony z tatą.

— Kto ci o tym powiedział?

Spojrzał na matkę, która uczyniła dłonią odgradzający gest.

— Nie mieszaj mnie do tego. Jeśli chcesz skorzystać z mojej rady, to natychmiast się zamknij.

— Czego pani się boi, pani Marburg? — spytałem.

— Ciebie.

Hackett mówił dalej głosem, w którym brzmiała płaczliwa nuta:

— Chcę skończyć to, co mam do powiedzenia. Odkryłem, że Jasper ze swoją żoną są na ranczo, i pojechałem tam. To było na drugi albo trzeci dzień po śmierci taty. Oskarżyłem go o tę zbrodnię, a on rzucił się na mnie z siekierą. Na szczęście byłem od niego silniejszy. Wyrwałem siekierę i rozbiłem mu czaszkę.

— Więc to ty byłeś tym mężczyzną z brodą?

— Tak. Zapuściłem brodę, kiedy studiowałem w Londynie.

— Czy Laurel widziała, jak zabiłeś Jaspiera?

— Tak. Była świadkiem całego zajścia.

— A chłopczyk?

— Davy też to widział. Trudno mieć do niego pretensję, że tak mnie urządził. — Hackett dotknął opuchniętych ust i okolonych sinymi obwódkami oczu.

— Co zaszło między tobą i Davym?

— Dał mi niezły wycisk, co widać. Z początku chciał mnie podłożyć pod pociąg, ale potem zmienił zamiar i zmusił mnie, żebym mu pokazał drogę do rancza. Chciał, żebym mu zrekonstruował przebieg wydarzeń, więc opowiedziałem mu to samo, co teraz tobie. Zaczął mnie bić tak strasznie, iż pomyślałem, że chce mnie wykończyć, ale znów zmienił zamiar.

— Powiedziałeś mu, że jesteś jego ojcem? Jego rodzonym ojcem?

Na twarzy Hacketta pojawił się wyraz zaskoczenia. Uniesiony kącik ust i przymknięte oko sprawiały wrażenie, jakby doznał lekkiego udaru.

— Powiedziałem. Jestem jego ojcem.

— Co było dalej?

— Rozwiązał mi ręce i nogi. Zaczęliśmy rozmawiać. Głównie on mówił. Obiecałem mu uznanie go za syna i pieniądze, ale jemu zależało tylko na poznaniu prawdy.

— Czyli dowiedzeniu się, kto zabił Jaspера?

— Tak. Nie pamiętał mnie. Całe tamto wydarzenie zatarło mu się w pamięci.

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedziałem. — Twierdzisz, że zabiłeś Jaspера w obronie własnej. Zgadza się z tobą, że żadna ława przysięgłych nie skazałaby cię za nic więcej niż zabójstwo w afekcie, nawet gdyby to nie było w samoobronie. Czemu więc zadałeś sobie tyle trudu z podłożeniem ciała pod pociąg?

— Na prośbę Laurel. Przypuszczam, że miała poczucie winy z powodu naszego romansu w Teksasie. Przyznaję, że ja też miałem poczucie winy... wobec niej i za wszystko inne. Pamiętaj, że Jasper był moim bratem. Czuję się jak Kain.

Możliwe, że czuł się jak Kain, lecz nawet gdyby nie kłamał, było to dawno temu. W tej chwili wszystko, co mówił, brzmiało fałszywie. Jego matka poruszyła się niespokojnie i po raz wtóry mu przerwała:

— Jeszcze się nie nauczyłeś, że czas to pieniądz? Spowiadasz się temu sukinsynowi?

Patrząc uważnie na moją twarz, odparł:

— Nie wierzę, że pan Archer mógłby być szantażystą.

— Idioto, on nie przyzna, że to jest szantaż. Żaden z nich. Nazywają to śledztwem albo wywiadem osobistym, albo usługą za usługę. Płacimy mu za mieszkanie, żeby miał gdzie mieszkać, płacimy za lokal biurowy, żeby mógł w nim trzymać swoje akta, a on nam daje pięć centów za dolara. — Wstała z krzesła. — Jaka jest twoja nowa cena, ty sukinsynu?

— Nie wyrażaj się brzydko, Etto. Takie słowa psują twój matczyzny wizerunek. Zastanawiam się, w jaki sposób Laurel stała się właścicielką budynku mieszkalnego i jak twoja matka weszła w posiadanie swojego.



— Zostaw w spokoju moją matkę, ona nie ma z tym nic wspólnego. — Miałem wrażenie, że trafiłem w czuły punkt pani Marburg.  
— Rozmawiałaś z Alną?

— Trochę. Ona wie więcej, niż ci się zdaje.

Pierwszy raz, odkąd poznałem panią Marburg, ujrzałem w jej oczach prawdziwy strach.

— Co ona wie? — spytała.

— Że Jasper zabił Marka Hacketta. Myślę, iż jest zdania, że zrobił to z twojej inicjatywy.

— Nie, do diabła! To był pomysł Jaspera.

Popeniła błąd i natychmiast się w tym zorientowała. Strach, który przed chwilą pojawił się w jej oczach, ogarnął resztę twarzy.

— Czy Jasper powiedział ci, że zabił Marka? — spytałem.

Przez chwilę rozważała w myśli możliwe konsekwencje rozmaitych wariantów odpowiedzi i w końcu odparła:

— Nie pamiętam. To było dawno temu, a ja byłam wtedy w bardzo złym stanie psychicznym.

— Widzę, że znasz Piątą Poprawkę. Może taśma ma lepszą pamięć. — Sięgnąłem po magnetofon, chcąc go włączyć.

— Zaczekaj! — zawołała pani Marburg. — Ile chcesz za zaprzestanie dalszych działań? Za to, że wyjdiesz stąd i zapomnisz o nas? Ile?

— Nie brałem pod uwagę takiej ewentualności.

— Zastanów się. Proponuję ci milion dolarów. — Wstrzymała na moment oddech, po czym dodała: — Bez podatku. Będziesz żył jak król.

Rozejrzałem się po pokoju.

— Czy tak żyją królowie?

— To się na nic nie zda, mamó — odezwał się ze swojego kąta Hackett. On na to patrzy inaczej niż my. Lepiej przestańmy z nim rozmawiać, tak jak chciałaś.

— Słyszałaś, co powiedziałam? — spytała mnie pani Marburg.

— Milion bez podatku. To nasza ostateczna oferta. Nie musisz kiwnąć palcem, żeby go zdobyć. Wystarczy, że stąd wyjdiesz.

Hackett przyglądał mi się uważnie.

— Tracisz czas, mamó — stwierdził. — Jemu nie zależy na naszych pieniądzech. Chce naszej krwi.

— Zamknijcie się oboje. — Włączyłem magnetofon, cofnąłem odrobinę taśmę, po czym ponownie usłyszeliśmy głos Davy'ego:

— ...albo mnie okłamujesz. Która z wersji jest prawdziwa? Głos Laurel:

— Nie bądź taki niemiły. Nie skłamałam ani wtedy, ani teraz. Człowiek, którego przejechał pociąg, był twoim prawdziwym ojcem.

— Co innego powiedziałaś mi kiedyś indziej. Powiedziałaś, że moim ojcem jest Stephen Hackett.

— Bo był.

Spojrzałem na Hacketta. Słuchał uważnie, wpatrując się we mnie z natężeniem. Na twarzy miał dziwne uczucie głodu. Wyraz pogardy w jego oczach ustąpił miejsca chłodnemu wyalienowaniu.

Davy powiedział:

— Nie rozumiem.

— Nie chcę, żebyś rozumiał. Nie chcę, żebyś grzebał w przeszłości.

— A-le-ja-chcę-wie-dzieć-kim-jes-tem — odparł, skandując sylaby. — Muszę się dowiedzieć. To dla mnie bardzo ważne.

— Po co ci? Jesteś moim synem. Wystarczy, że ja cię kocham.

— Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć, kto był moim ojcem?

— Powiedziałam ci. Nie możesz na tym poprzestać? Napytamy sobie biedy.

Otworzyły się jakieś drzwi.

— Dokąd idziesz? — spytała Laurel.

— Moja dziewczyna czeka na mnie. Przepraszam, muszę już iść.

Drzwi się zamknęły. Laurel trochę popłakała, potem zrobiła sobie drinka. Ziewnęła. Dalej słychać było nocne poruszanie się po mieszkaniu, zamykanie wewnętrznych drzwi, odgłosy przejeżdżających ulicą samochodów...

Przewinałem taśmę do przodu i usłyszałem własny głos:

— ...gadanie mądrali z sali bilardowej.

W odpowiedzi głos Laurel:

— Davy jest czymś więcej. Nie jest tylko gadaczem czy typem knajpianego mędrka. Jest poważny.

— Co jest w nim poważnego?

— Chce dorosnąć, stać się poważnym człowiekiem i robić coś pożytecznego.

— Myślę, że on panią oszukuje, pani Smith... — Był to mój własny groteskowy głos z przeszłości.

Ponownie przewinałem taśmę do przodu. Usłyszałem znany zgrzyt otwierających się drzwi wejściowych, a potem głos Laurel:

— Czego chcesz?

Nie było odpowiedzi, tylko odgłos zamykania drzwi. Po chwili głos Hacketta:

— Chcę wiedzieć, z kim rozmawiałaś. Wczoraj wieczorem miałem telefon...

— Od Davy'ego?

— Od Jacka Fleischera. Kim, u licha, jest Davy?

— Nie pamiętasz, Jasper? — spytała Laurel.

Westchnęła, kiedy ją uderzył. Słychać było dalsze ciosy, dopóki westchnienia nie zmieniły się w rżenie. Patrzyłem na mężczyznę, który podawał się za Stephena Hacketta. Wyglądało na to, że emocjonalnie był w tej chwili w mieszkaniu Laurel. Siedział w napięciu na stolku, podniecony zarejestrowanymi na taśmie głosami. Przerwałem jego trans.

— Czym ją uderzyłeś, Jasper?

Wypuścił powietrze z dziwnym odgłosem — było to coś w rodzaju piskliwego skomlenia. Nawet jego matka odwróciła od niego oczy.

Zapytałem Ruth:

— Czym ją uderzył?

— Skąd, na Boga, mogą wiedzieć?

— Bezpośrednio po tym udał się do ciebie. Prawdopodobnie ukrył narzędzie w twoim domu. Przede wszystkim jednak, jak przypuszczam, potrzebował moralnego wsparcia. Kiedy tamtego popołudnia wrócił tutaj, przywiózł cię ze sobą.

— To nie czyni mnie odpowiedzialną.

— Mylisz się. Nie można czerpać korzyści z morderstwa bez przyjęcia współodpowiedzialności za nie.

— Nie wiedziałam, że zabił Laurel — powiedziała z naciskiem.

— Wiedziałaś, że zabił Marka Hacketta, prawda?

— Odkryłam to znacznie później.

— Ale nie ujawniłaś tego.

— Jest moim synem.

— Tak jak Stephen, ale w jego przypadku twoje macierzyńskie instynkty nie zadziałały. Ukartowałaś z Jasperem, że zabije Stephena i zajmie jego miejsce.

Obrzuciła mnie trwożnym spojrzeniem, jakby świadomość ohydy tego czynu dotarła do niej dopiero teraz, o piętnaście lat za późno.

— Jakże mogłabym być zdolna do popełnienia czegoś takiego?

Te słowa miały prawdopodobnie stanowić zaprzeczenie, ale były zarazem pytaniem, na które odpowiedziałam:

— Byłaś na prostej drodze do bankructwa. Mark Hackett wiedział o twoim romansie z Sidneyem Marburgiem. Miał zamiar się z tobą rozwieść i odciąć cię od pieniędzy. Zabicie Marka niewiele załatwiło. Cała masa spadkowa przechodziła na Stephena, więc jego też trzeba było sprzątnąć. Nikt w Kalifornii go nie znał. Od wielu lat nie było go w kraju, a kiedy wyjechał do Europy, mieszkaliście jeszcze wszyscy w Teksasie. Twój kochanek, Sidney, był zbyt spostrzegawczy, ale nie chciałaś go wyeliminować, więc wysłałaś go do Meksyku

na czas wymiany. Sid widział przelotnie Stephena, kiedy ten przyleciał z Anglii, i zapamiętał, że miał brodę. Wysłałaś Stephena na rancho, gdzie czekał już na niego Jasper. Zabijając brata, Jasper zyskiwał coś więcej niż pieniądze. Tożsamość Stephena była doskonałym kamuflażem dla mordercy jego ojca. Zabił Stephena i zgolił mu brodę. — Spojrzałem na syna pani Marburg. — Byłeś kiedyś fryzjerem, prawda, Jasper?

Odpowiedział mi spojrzeniem tak pustym jak oczodoły w wyschniętej czaszce.

— Zostawiłeś na miejscu Laurel, żeby wywiodła w pole miejscowe władze, a sam wróciłeś tu i zająłeś miejsce swojego brata. To nie było trudne, bo miałeś oparcie w twojej matce. Przypuszczam, że najtrudniejsze było nauczenie się fałszowania podpisu brata, ale jesteś również trochę artystą. Masz odrobinę zdolności w wielu dziedzinach, ale twoje prawdziwe 8 █████ to morderstwa i oszustwa.

Mężczyzna siedzący w rogu splunął na mnie, lecz chybił. Skończyło się jego życie bogatego i szczęśliwego człowieka. Ten pokój — wraz ze wszystkimi książkami i obrazami — już do niego nie należał. Znow był tylko synem Alberta Blevinsa, samotnym w pustce świata.

— Przez czternaście lub piętnaście lat — ciągnąłem — nie działa się nic, co mogłoby zagrozić twojemu szczęściu. Żyłeś sobie spokojnie, jeździłeś po Europie, zasmakowałeś w dobrym malarstwie. Byłeś nawet do tego stopnia pewny, iż wszystko się udało, że popełniłeś bigamię. Niewątpliwie wypłacałeś się Laurel przez ten cały czas. Zawdzięczałaś jej wiele, przede wszystkim to, że zmyliła Jacka Fleischera. Na nieszczęście popadła w osamotnienie, którego nie rekompensowały niewielkie pieniądze, jakie od ciebie dostawała. Poza tym miała wyrzuty sumienia z powodu syna, którego porzuciła, więc spróbowała nawiązać z nim kontakt. To wystarczyło, żeby obudzić czujność Jacka Fleischera. Jestem pewny, że od początku was podejrzewał. Będąc na emeryturze, miał wolne ręce. Założył podsłuch w

mieszkaniu Laurel i zaczął badać okoliczności zamkniętej sprawy. Wiemy z taśmy, co się potem działo. Fleischer zatelefonował do ciebie. Wykończyłeś Laurel, a potem skorzystałeś z okazji i zabiłeś Fleischera. Chciałbyś coś dodać do tego, co powiedziałem?

Hackett milczał. Siedział pochylony do przodu, z rękami opartymi na kolanach. Mówiłem dalej:

— Nietrudno sobie wyobrazić, jak to się dalej potoczyło. Davy uwierzył, że odnalazł ojca i że jego życie zaczyna się od nowa. Odłożył dubeltówkę i rozwiązał cię. Wtedy przechwyciłeś broń, ale Davy zdążył uciec. Jack Fleischer był starszy i nie taki szybki lub może oszołomiło go nagłe odkrycie. Czy cię rozpoznał, Jasper, i wiedział tuż przed śmiercią, kto do niego strzela? Tak czy inaczej, my już to wiemy. Zabiłeś Fleischera i wrzuciłeś dubeltówkę do potoku. Potem położyłeś się na brzegu, czekając na ratunek.

— Nie masz dowodu na żaden z twoich domysłów — oświadczyła pani Marburg.

Syn był innego zdania. Ześliznął się ze stołka. Ociężałe i jakby z niechęcią szedł ku mnie z oczami wlepionymi we własny rewolwer w mojej dłoni.

Miałem czas zastanowić się, jak postąpić. Gdybym czuł do niego choć odrobinę sympatii, to bym go zastrzelił. Wziąłem na cel jego prawą nogę i pociągnąłem za spust.

Upadł u stóp swojej matki, jęcząc i trzymając się za kolano. Nie wyciągnęła ręki, żeby go ukoić lub choćby dotknąć. Siedziała nad nim z pochyloną głową, patrząc na niego, a ja pomyślałem, że właśnie tak wyglądają potępieni, patrzący z przerażeniem i pogardą na gorszych od siebie.

Huk strzału zwabił Aubreya. Aresztował oboje na podstawie podejrzenia o współdziałanie w popełnionych morderstwach.

Parę godzin później tego wieczoru, przecisnąwszy się przez tłum młodych ludzi na Stripie, wspiałem się po schodach do mojego biura. Zimny kurczak, popity solidną porcją whisky, smakował mi lepiej, niż mogłem się spodziewać.

Wypiłem drugą porcję